WYZNANIE NIEMKI, KTÓRA PRZEJRZAŁA NA OCZY

Znam Niemców, którzy będą uciekać do Polski przed imigrantami

Chodakiewicz: Żydzi a reprywatyzacja w Polsce

Z ILONĄ ŁEPKOWSKĄ O OSTREJ WOJNIE O „KORONĘ KRÓLÓW"

Lista milionerów – prezydentów miast

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 6,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)
NR 3/256 15–21 STYCZNIA 2018

DO RZECZY UJAWNIA

Dlaczego odszedł Macierewicz

PLUS Ziemkiewicz: Czy stronnicy byłego szefa MON doprowadzą do podziału w PiS?

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 100 tys. egzemplarzy

PREMIERA „DO RZECZY"!

NOWA KSIĄŻKA R. ZIEMKIEWICZA

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

SZUKAJ
W DOBRYCH PUNKTACH
I SALONACH PRASOWYCH
ORAZ NA STOISKACH
POCZTY POLSKIEJ

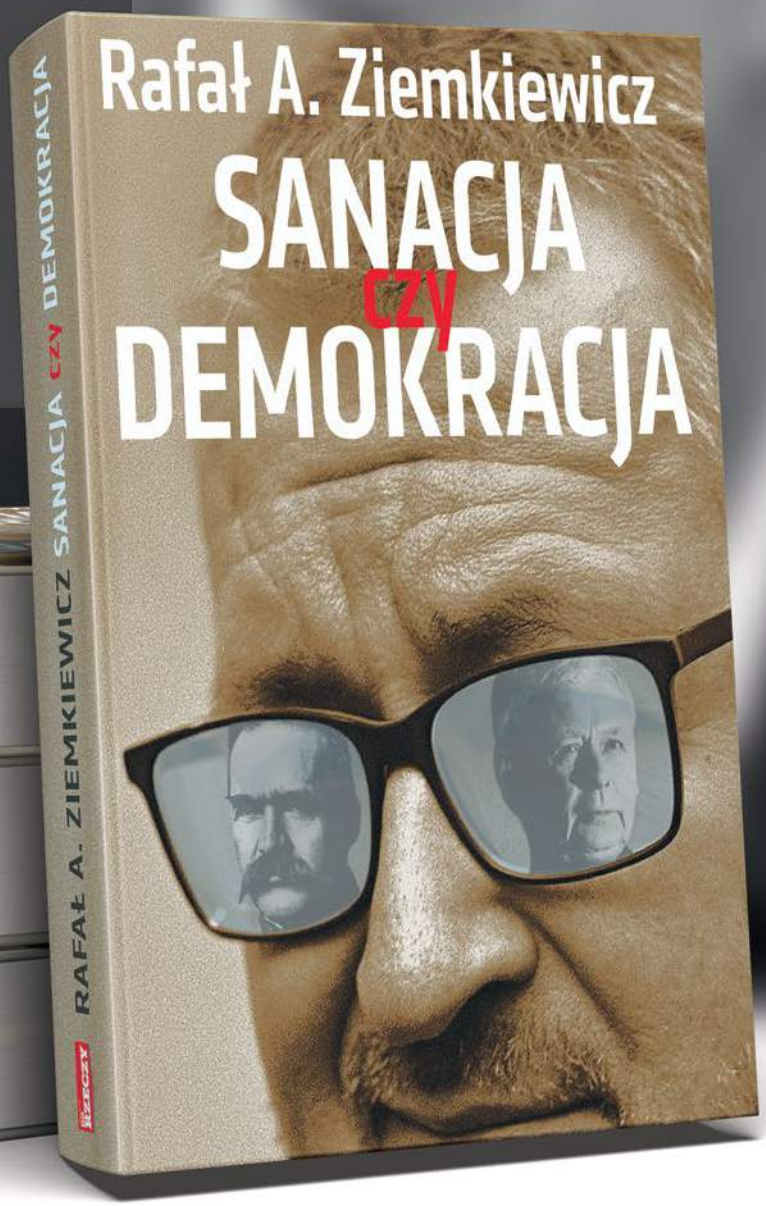

34,90 PLN

Również na zamówienie: tel. +48 22 529 12 10, prenumerata@pmpg.pl

eprasa.pl d5eabde7d4

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Mateusz Morawiecki może więcej

Nie ma co udawać – zaskoczeni byli wszyscy. O ile zmiany na stanowiskach ministra spraw zagranicznych czy ministra zdrowia były łatwe do przewidzenia, o tyle informacja o odwołaniu Antoniego Macierewicza spadła niczym grom z jasnego nieba. To była w pełnym tego słowa znaczenia niespodzianka. Jakie wnioski płyną z całej sytuacji?

Pierwszy jest banalny. Obecne kierownictwo PiS jest, co się tyczy wypływu najważniejszych informacji, wyjątkowo szczelne. Post factum oczywiście wielu obserwatorów przyznaje się do wcześniejszej wiedzy, tyle że to klasyczne robienie dobrej miny do złej gry. Tak jak w przypadku nominacji na funkcję premiera, tak też w przypadku dymisji ministra Macierewicza, a może jeszcze bardziej, Jarosławowi Kaczyńskiemu udało się zachować do ostatnich chwil ścisłą tajemnicę. Jest to możliwe, bo – i to wniosek drugi – wbrew powszechnemu przekonaniu o „nieusuwalności" i „niezależnym zapleczu politycznym" poszczególnych polityków, to prezes PiS ostatecznie podejmuje kluczowe decyzje.

Wprawdzie na użytek najbardziej zaangażowanych i nieprzejednanych zwolenników PiS można opowiadać o tym, że dymisja ministra została „wyszantażowana" przez prezydenta (skoro prezes się nigdy nie myli i Antoni Macierewicz też się nie myli, a tego drugiego w rządzie nie ma, to trzeba było znaleźć kogoś trzeciego, kto ministra z niego usunął), ale to bajeczka dla grzecznych dzieci. Gdyby nie wola prezesa PiS, obecny konflikt między Andrzejem Dudą a Antonim Macierewiczem mógłby się jeszcze tlić bez końca.

Trudno powiedzieć, co zaważyło ostatecznie. Być może marne efekty pracy komisji do spraw wyjaśnienia katastrofy smoleńskiej? Antoni Macierewicz już kilka razy publicznie zapowiadał, że lada moment wszystko będzie jasne, jednak za tymi obietnicami nie szły fakty. Brak nowych dowodów nadrabiany był coraz śmielszymi hipotezami i coraz bardziej egzotycznymi analogiami, ostatnio do wypadku wojskowego MiG-a. Przypomnę, że do tej pory, mimo upływu kolejnych miesięcy, nic nie wiadomo o tym, by którekolwiek z zachodnich laboratoriów, do których przesłano próbki ze Smoleńska, potwierdziło obecność substancji wybuchowych.

Być może prezes PiS uznał, że dalsza eskalacja konfliktu z Andrzejem Dudą zaczyna zagrażać w ogóle bezpieczeństwu armii i że minister celowo go podsyca? A może doszedł do wniosku, że również inne obietnice szefa MON, szczególnie te dotyczące zakupu uzbrojenia dla wojska, składane były na wyrost? Wreszcie na decyzji mogły zaważyć coraz bardziej widoczna słabość oraz rozbicie opozycji: to idealna sytuacja, żeby dokonać zmiany i nie musieć się przy tym liczyć z najtwardszą grupą własnego elektoratu. Z pewnością ważnym czynnikiem musiało być też zdanie nowego premiera, Mateusza Morawieckiego, a to wypadło dla szefa MON najwyraźniej mało pozytywnie.

To zresztą jest druga, najważniejsza nauka ze zmian w rządzie. Wbrew opinii sceptyków okazało się, że Mateusz Morawiecki może pozwolić sobie na znacznie więcej niż Beata Szydło. To na pewno nie jest jego rząd autorski – ministerstwa „siłowe" są w ręku zaufanych Jarosława Kaczyńskiego, ale też nie jest to rząd utworzony poza premierem lub niezależnie od niego. Po rekonstrukcji można śmiało powiedzieć, że Morawiecki nie jest i nie chce być premierem malowanym; przeciwnie, coraz wyraźniej będzie chciał tworzyć fakty polityczne. Jego najsłabszym punktem jest nadal brak własnego zaplecza politycznego, ale z powodzeniem nadrabia tę słabość zaufaniem prezesa. Wygląda na to, że rok 2018 będzie należał do Mateusza Morawieckiego. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl d5eabde7d4

TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PRZEGRANA WOJNA MACIEREWICZA
Kulisy dymisji ministra obrony narodowej

20 PIOTR SEMKA
PIS W TRÓJKĄCIE WPŁYWÓW

23 ROZMOWA Z TOMASZEM SAKIEWICZEM
LEWY STYCZNIOWY?

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
NOCNA ZMIANA BIS

KRAJ

30 ROZMOWA Z REBECCĄ SOMMER
NIEMCY UCIEKNĄ DO WAS
Niemiecka działaczka organizacji zajmującej się pomocą uchodźcom: Polska może być wyspą stabilności w UE

33 MARCIN MAKOWSKI
BOGATY JAK PREZYDENT

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
PRZESTĘPCY DO REJESTRÓW

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PRZYWRÓCIĆ GODNOŚĆ BOHATEROM

KULTURA

42 ROZMOWA Z ILONĄ ŁEPKOWSKĄ
„KORONA KRÓLÓW" ODNIESIE SUKCES
Konsultantka scenariuszowa serialu TVP: Nie lekceważę żadnego widza

46 ŁUKASZ WARZECHA
CZY BĘDZIE POLSKA „THE CROWN"?

48 PIOTR GOCIEK
W KRAJU BEZ BOGA

50 KATARZYNA KOSTRZEWSKA
PEJZAŻ DUMY NARODOWEJ

NIE PRZEGAP

52 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

58 MAREK JAN CHODAKIEWICZ
KOMU MIENIE?
Polska odpowiedź na roszczenia

62 ROBERT BOGDAŃSKI
O MABENIE NA POWAŻNIE

HISTORIA

64 ADAM HLEBOWICZ Z KARELII
GDZIE JEST KALEVALA?
Na brzegach wielkich jezior

68 TOMASZ LENCZEWSKI
SUPERAGENTKA PRZEBITA NOŻEM

ŚWIAT

70 ROZMOWA Z BORISEM BIELENKINEM
BRUDNE ŁAPY ZAGRANICZNEGO AGENTA
Między łagrem a dyskoteką

72 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
SIEDMIU DZIELNYCH LUDZI

75 SZEWACH WEISS
W CIENIU IRAŃSKIEGO ATOMU

EKONOMIA

76 JACEK PRZYBYLSKI
KOSZTOWNE E-MARZENIA
Elektryczna rewolucja

79 TOMASZ WRÓBLEWSKI
NOWA WOJNA TRZYDZIESTOLETNIA

82 ROBERT WOJNAROWSKI
ZŁOTY I JEGO HISTORIA

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
UCIEC PRZED COLITIS
Nieswoiste zapalenia jelit

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ (10), WARZECHA (11), GMYZ, GOCIEK (14), ZALEWSKI, WOLSKI (61), ZYCHOWICZ, KOPER (67), KOWALCZUK (74), GABRYEL, RYBIŃSKI (88), KOMUDA (92), TYRMAND (96), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl d5eabde7d4

WSPOMNIENIE

Przed pięcioma laty, 17 stycznia 2013 r. odeszła

ŚP

Jadwiga Kaczyńska

moja i mojego Brata Lecha Mama.
31 grudnia 2017 r. minęła 91. rocznica Jej urodzin.

Była mądrą, dobrą Kobietą, troskliwą Matką, niosła ze sobą i przekazywała innym piękną tradycję polskiej inteligencji, patriotyzmu, uczciwości, zaangażowania w sprawy innych, otwartości wobec ludzi bez względu na ich życiową pozycję, głębokiego przywiązania do rodziny i Kościoła.

Była dla swoich najbliższych, dla mojego Brata i dla mnie, nauczycielem i podporą. Pozostała nią mimo bardzo ciężkiej choroby także w ostatnim okresie życia, po smoleńskiej tragedii. Pozostawiła po sobie najlepszą pamięć i niemożliwą do zapełnienia pustkę.

Msza Święta w piątą rocznicę Jej śmierci zostanie odprawiona 17 stycznia 2018 r. o godz. 19:00 w Bazylice Świętego Krzyża w Warszawie.

Syn Jarosław

KONDOLENCJE

Z żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

BOGUSŁAWA BANASZAKA

Profesora Nauk Prawnych
cenionego specjalisty z zakresu prawa konstytucyjnego i administracyjnego
wychowawcy wielu pokoleń prawników
Dziekana Wydziału Prawa i Administracji
Uniwersytetu Zielonogórskiego
Sędziego Trybunału Stanu

wyrazy głębokiego współczucia
RODZINIE i BLISKIM
składa
Minister Sprawiedliwości Prokurator Generalny
Zbigniew Ziobro

KONDOLENCJE

Szanownej Pani

Annie Fotydze,

Posłance do Parlamentu Europejskiego,
serdeczne wyrazy współczucia i żalu
z powodu śmierci

ŚP.

Ojca

W imieniu Delegacji Prawa i Sprawiedliwości
w Parlamencie Europejskim
składa Ryszard Legutko

eprasa.pl d5eabde7d4

Drodzy Czytelnicy,

Dzisiaj owszem, list, ale otwarty, w sprawie, o której w zeszłym numerze pisał Jacek Przybylski („Srogie kary za »mowę nienawiści«"), a w obecnym opowiada Rebecca Sommer (s. 30).

List otwarty w sprawie wolności słowa w Niemczech

Od początku 2018 r. w Niemczech obowiązuje nowe prawo, które ma rzekomo przyczynić się do walki z mową nienawiści. Zgodnie z nim administratorzy znaczących portali społecznościowych będą musieli płacić horrendalnie wysokie kary, do 50 mln euro, za brak szybkiej reakcji na wpisy uznane za hejterskie. O tym, co jest, a co nie jest przejawem mowy nienawiści, oraz o tym, czy dany wpis usunięto odpowiednio szybko, decyduje kilkudziesięcioosobowa grupa urzędników niemieckiego ministerstwa sprawiedliwości. Dodatkowo niemieckie ministerstwo sprawiedliwości umieściło na swoich stronach internetowych formularz pozwalający na szybkie zgłoszenie przez użytkowników treści uznawanych na niepoprawne.

Stanowczo protestujemy przeciwko takim rozwiązaniom. To drastyczna forma naruszenia wolności słowa i ekspresji, niespotykana dotąd w cywilizowanych państwach. Trudno nie dostrzec, że taka forma działania – grupa podległych rządowi urzędników, którzy decydują o tym, które treści są słuszne, i mają prawo nakładać wysokie kary – przypomina klasyczną instytucję cenzury represyjnej. Może ona mieć też tzw. efekt mrożący dla przebiegu debaty publicznej: wiedząc o karach, uczestnicy dyskusji będą świadomie rezygnować z wyrażania swoich myśli.

Z najwyższym niepokojem obserwujemy proces niszczenia wolności debaty publicznej w Niemczech i przyjmowanie rozwiązań typowych dla państw autorytarnych i nieliberalnych. Wolność słowa jest fundamentem i zasadą współczesnej demokracji. Jednocześnie wyrażamy solidarność z niemieckimi kolegami, dziennikarzami i blogerami, którym państwo niemieckie postanowiło odebrać prawo do swobody wyrażania myśli. Z najwyższym zdumieniem też przyjmujemy do wiadomości osobliwy fakt, że tak drastyczne i niebywałe ograniczenie wolności słowa nie spotkało się dotąd z właściwą i proporcjonalną reakcją różnych europejskich instytucji. Dlatego zachęcamy dziennikarzy i blogerów państw w całej Unii Europejskiej do wyrażenia stanowczego sprzeciwu wobec nowego niemieckiego prawa – jeśli takie rozwiązania nie spotkają się z należytym oporem świata dziennikarskiego, można się obawiać, że również inne rządy będą próbować, idąc za przykładem Niemiec, niszczyć wolność słowa.

Warszawa, 10 stycznia 2018 r.

Podpisy pod listem:
Krzysztof Skowroński, prezes SDP, Jolanta Hajdasz, Witold Gadowski, Paweł Lisicki, Tomasz Sakiewicz, Michał Karnowski, Bronisław Wildstein, Dorota Kania, Piotr Semka, Jadwiga Chmielowska. Jan Pospieszalski, Aleksandra Rybińska, Michał Rachoń, Stefan Truszczyński, Wiktor Świetlik, Rafał Ziemkiewicz, Piotr Gabryel, Mariusz Pilis, Andrzej Potocki, Andrzej Bogatko, Piotr Gociek, Łukasz Warzecha, Aleksander Wierzejski, Łukasz Jankowski, Antoni Opaliński

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępcy redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**
Z ZESPOŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmand, Paweł Wawrzyński, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski**
DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Karol Gac, Mateusz Maranowski** (także Polskie Radio), **Jan Fiedorczuk**
Współpraca: **Miłosz A. Lodowski**
Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedzielko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Filip Błażejowski/Gazeta Polska/Forum; Oprac. graf.: PEGAZ**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 503 016 998
PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa** (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, *tel.:* +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 100 tys. egzemplarzy
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl d5eabde7d4

5. URODZINY „DO RZECZY”!

29 STYCZNIA 2018 R.

ATRAKCJE I NIESPODZIANKI DLA NASZYCH CZYTELNIKÓW!

CZYTAJCIE UWAŻNIE NAJBLIŻSZE NUMERY, ŚLEDŹCIE SERWIS WWW.DORZECZY.PL ORAZ NASZE PROFILE W MEDIACH SPOŁECZNOŚCIOWYCH!

A JUŻ W TYM TYGODNIU MAMY DLA WAS:

– 50 KOSZULEK NA 5. URODZINY „DO RZECZY” *

– ORAZ 5 EKSKLUZYWNYCH ZAPROSZEŃ NA 5. URODZINY „DO RZECZY” **

* ZRÓB ZDJĘCIE, GDZIE I JAK CZYTASZ NASZ TYGODNIK. OPUBLIKUJ PIĘĆ TAKICH ZDJĘĆ, Z RÓŻNYMI NUMERAMI „DO RZECZY”, NA FACEBOOKU, OZNACZ @DORZECZY I UŻYJ HASZTAGU #5LATDORZECZY. 50 AUTORÓW NAJCIEKAWSZYCH ZDJĘĆ OTRZYMA PATRIOTYCZNE KOSZULKI RED IS BAD.

** WEJDŹ NA STRONĘ PRENUMERATA.DORZECZY.PL LUB ZADZWOŃ POD NR TEL. 22 529 12 10 I ZAMÓW PRENUMERATĘ „DO RZECZY” NA 24 MIESIĄCE. OPŁAĆ ZAKUP DO 22.STYCZNIA I ZGŁOŚ SIĘ DO NAS. PIĘĆ PIERWSZYCH OSÓB OTRZYMA POJEDYNCZE ZAPROSZENIE NA SPOTKANIE URODZINOWE „DO RZECZY”.

eprasa.pl d5eabde7d4

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Z reżysera słaby krytyk

Ponad miesiąc temu pan Rafał Zakrzewski z „Gazety Wyborczej" był łaskaw przepisać w swoim tekście liczne fragmenty dwóch prognoz na temat pułapek dla PiS w 2018 r. – Rafała A. Ziemkiewicza i mojej skromnej osoby. Niedawno w podobny sposób posiłkował się tekstem Wojtka Wybranowskiego.

Skłoniło mnie to do paru zgryźliwych pytań. Czy już nie jesteśmy „prorządowym, PiS-owskim biuletynem"? Na jakiej zasadzie nagle staliśmy się dla „Gazety Wyborczej" źródłem godnych cytowania prognoz? Oczywiście odpowiedź była jasna – nasze prognozy brały pod uwagę scenariusze na tyle złe dla rządzącej partii, że Zakrzewski postanowił zaznajomić z nimi czytelników „GW" ku pokrzepieniu ich serc.

Jednak cały incydent skłonił mnie do nienowej refleksji – po prawej stronie publicystyka ostrzegająca przez złymi tendencjami czytana jest uważniej przez rządzącą partię i per saldo skłania niekiedy PiS do korygowania linii. A co się dzieje po stronie obozu „antykaczyzmu"?

Weźmy casus Mateusza Kijowskiego. Czy „Gazeta Wyborcza" nie mogła odpowiednio wcześniej zadać sobie pytania, z czego żyje ambitny działacz z kitką? Czy nie mogła wsłuchać się w krążące po KOD opowieści o dziwnych fakturach na usługi komputerowe, z których utrzymywał się lider nowego ruchu? Przyprzeć go do muru w wywiadach, pytając o rozmaite wątpliwe akcje, takie jak próby ściągnięcia prezydenta Baracka Obamy na wiec KOD przy okazji szczytu NATO w Warszawie, lub dziwne happeningi, takie jak ten z wpychaniem się Kijowskiego w tłum po pogrzebie „Inki"?

Odpowiedź brzmi krótko – mogła to zrobić, ale nie było to łatwe, skoro ta sama „Gazeta" lansowała, jak mogła, Kijowskiego. Tak samo było z Ryszardem Petru. Jego cechy partyjnego despoty, człowieka, który przeczytał za mało książek i który potraktował swoją partię jako miejsce poszukiwania kandydatki do wspólnego wyjazdu na Maderę, można było zauważyć już jesienią 2016 r. A jednak „GW" wolała lansować atrakcyjny image Petru jako nowej, ciekawej osobowości w polskiej polityce. W obu przypadkach skończyło się fatalnie.

Pragenezą tego zjawiska jest, tkwiąca od początku istnienia dziennika z Czerskiej, ambicja, aby samemu kreować politykę, a nie koncentrować się jedynie na jej recenzowaniu.

Przecież na przełomie lat 2016 i 2017 „Gazeta Wyborcza" podawała miejsca i godziny protestów KOD. A w dniach pierwszych manifestacji, budzących jeszcze spore nadzieje – na pierwszej stronie dziennika lewicowe autorytety wzywały do jak najliczniejszego stawiania się pod Sejmem czy Trybunałem Konstytucyjnym.

Nie twierdzę, że po prawej stronie nie występuje zjawisko idealizowania ulubionych bohaterów, ale śmiem twierdzić, że krytycyzmu jest mimo wszystko więcej. I może to dlatego opozycja zaplątuje się ostatnio w efektownym stylu we własne nogi, a PiS resetuje właśnie swój wizerunek. ©℗

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/PAP

AWARYJNE LĄDOWANIA

Dramatyczne chwile przeżyli pasażerowie samolotu lecącego z Krakowa do Warszawy. W środę bombardier dash Q400 z 63 osobami na pokładzie niemal rozbił się o płytę lotniska, bo nie wysunęło się przednie podwozie. Cudem nikomu nic się nie stało.

To nie pierwsze problemy z bombardierami Q400. 15 grudnia maszyna wykonująca rejs z Wrocławia do Warszawy także musiała lądować awaryjnie na lotnisku Chopina. W czwartek z kolei na lotnisku w Krakowie lądował awaryjnie samolot airbus A319 linii Lufthansa. Przyczyną miała być uszkodzona opona. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. ANDRZEJ RUDIAK/FORUM

Kto winien wypadku z Szydło

Po prawie roku od zdarzenia nie zakończyło się jeszcze prokuratorskie postępowanie w sprawie wypadku z udziałem limuzyny wiozącej ówczesną premier Beatę Szydło.

Wiadomo już jednak – ujawniło to Radio RMF FM – że śledczy otrzymali materiały od biegłych. Akta śledztwa od czerwca mieli biegli z Zakładu Badania Wypadków Drogowych Instytutu Ekspertyz Sądowych im. Jana Sehna w Krakowie. To oni m.in. na podstawie zapisów monitoringu zrekonstruowali przebieg wypadku (nie można było wykorzystać danych z rządowej limuzyny, bo lokalizator GPS był w niej wyłączony).

Według tej rekonstrukcji 10 lutego 2017 r. wieczorem w Oświęcimiu kierowca fiata seicento na widok uprzywilejowanego samochodu zjechał do prawego krawężnika i zatrzymał auto. Gdy minął go pierwszy samochód z kolumny, włączył się do ruchu i wtedy uderzyła w niego limuzyna wioząca Szydło. Samochód z ówczesną premier według wyliczeń poruszał się wówczas z prędkością ok. 55 km/godz. Jego kierowca zaczął manewr hamowania, a auto najechało na studzienkę w jezdni. Po uderzeniu w fiata rządowa limuzyna wjechała w drzewo z prędkością ok. 30 km/godz. Ranna została premier i dwaj funkcjonariusze BOR.

Według takiej rekonstrukcji wina za wypadek spoczywać będzie na kierowcy seicento. Włączanie się do ruchu jest bowiem manewrem przy którym – zgodnie z Prawem o ruchu drogowym – kierujący jest zobowiązany do zachowania szczególnej ostrożności i musi ustąpić pierwszeństwa innemu pojazdowi lub uczestnikowi ruchu drogowego. ©℗ ***Łukasz Zboralski***

RYSUNEK TYGODNIA

SZEF KRS ZREZYGNOWAŁ

Od 15 stycznia Krajowej Radzie Sądownictwa przestanie przewodniczyć sędzia Dariusz Zawistowski. O tej decyzji na Twitterze poinformowała członkini KRS Krystyna Pawłowicz. Wyjaśniła też powód tej rezygnacji – ma mieć związek z reformą sądownictwa. To „niezgoda na stan prawny, który zacznie w ramach reformy obowiązywać od 16 I w KRS" – napisała Pawłowicz.

Rzecznik KRS Waldemar Żurek w oficjalnym komunikacie dodał, że ustawy reformujące wymiar sprawiedliwości „w ocenie Krajowej Rady Sądownictwa zostały uznane za niezgodne z Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej". Członkowie KRS zaapelowali też do sędziów, by nie wyrażali zgody na kandydowanie na nowych członków Krajowej Rady Sądownictwa.

Podpisana przez prezydenta ustawa nowelizująca przepisy dotyczące KRS, która wchodzi w życie w połowie stycznia, zmienia sposób wyboru sędziów do jej składu. Do tej pory o wyborze decydowały środowiska sędziowskie. Od teraz 15 sędziów KRS wybieranych będzie na czteroletnią kadencję przez Sejm. Każdy klub będzie mógł wskazać do dziewięciu kandydatów. Lista musi zawierać co najmniej jednego kandydata wskazanego przez każdy klub. Wybór zatwierdzany będzie większością trzech piątych głosów. ***(luz)*** ©℗

WYSTAWA O REPRESJACH

PATRONAT DO RZECZY

Wystawa „Niemcy i Sowieci – represje wobec obywateli polskich w czasie II wojny światowej" umożliwia zwiedzającym zapoznanie się z represjami stosowanymi wobec ogółu obywateli przedwojennego Państwa Polskiego. Pokazany obraz terroru obu agresorów jest przerażający, zadziwiająco zbieżny i konsekwentnie realizowany.

„Niemcy i Sowieci – represje wobec obywateli polskich w czasie II wojny światowej", to kolejna wystawa planszowa z zapoczątkowanego w 2016 r. cyklu „Wybrane zagadnienia z historii Polski". Wystawy te skierowane są w pierwszym rzędzie do turystów odwiedzających kopalnię soli i Zamek Żupny w Wieliczce. Cykl jest przygotowywany z myślą zarówno o polskim odbiorcy, jak i o odbiorcy zagranicznym. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl d5eabde7d4

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Zakuglowani 2

Słowo „zakuglować się", przypomnę, weszło do komentarzy politycznych po głosowaniu w sprawie raportu komisji rywinowskiej. Sojusz Lewicy Demokratycznej próbował wtedy rozegrać sprawę misternie i kazał części swoich posłów głosować za jednym projektem, drugiej za drugim, tak by żaden nie dostał wymaganego minimum głosów.

Jeśli za durniów i nieudaczników ma teraz PO i Nowoczesną nawet „lewica rozporkowa" – to kto z nimi pozostanie?

Jednak ktoś pomylił się w liczeniu i ostatecznie Sejm przyjął raport najbardziej antyeseldowski, napisany przez Ziobrę, Leszek Miller zaś doznał największego upokorzenia w swej karierze, gdy musiał prosić śp. Andrzeja Leppera, aby go ratował, opuszczając głosowanie, a ten udawał, że go nie słyszy.

Stare dzieje, ale stanęły mi przed oczami, gdy z niedowierzaniem patrzyłem na wyniki głosowań nad społecznymi projektami w sprawie aborcji. Prominentni politycy PiS, na czele z samym Prezesem, nawet tacy jak Krystyna Pawłowicz i Dominik Tarczyński, głosowali za skierowaniem do dalszych prac obu. Jednak projekt lewicowy, proaborcyjny, upadł, bo przeciwko niemu głosowało kilku posłów PO, a kilkudziesięciu politykom i „polityczkom" z PO i Nowoczesnej, również tym chętnie się lansującym na czarnych protestach, nie chciało się w tym głosowaniu wziąć udziału, choć byli w Sejmie.

Nie chciało się – czy raczej kombinowali, by dzieląc głosy, zrealizować jakiś makiaweliczny plan, a teraz się wstydzą przyznać, nie wiem. Może po prostu „opozycja totalna" tak się przyzwyczaiła głosować odwrotnie niż PiS, że gdy PiS zagłosował, jak zagłosował, kompletnie zgłupiała. W każdym razie dla „totalnej opozycji", która wizerunkowo już i tak „leży i kwiczy", była to ostateczna kompromitacja. Furia (ale i skrywana radość), z jaką rzucili się na nią po tej wtopie działacze i „autorytety" lewicy, nie ma sobie równych – z taką wściekłością nie atakowali nawet PiS. Bo też PiS przynajmniej nic im nigdy nie obiecywał.

Jeśli za durniów i nieudaczników ma teraz PO i Nowoczesną nawet „lewica rozporkowa", ostatni, najbardziej karny zasób zwolenników, gotowych miotać jajami, kłaść się w poprzek miesięcznic i walić kopytami w policyjne tarcze pod Sejmem – to kto z nimi pozostanie? Ci, którzy zawdzięczają PO posady? To wciąż liczna grupa, ale gdy się okaże, że opozycja im tych posad już nie obroni, rozpierzchnie się jak PZPR jesienią 1989 r. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Schetyna jak szeptucha

Konflikt wewnętrzny, wojna domowa – wieszczył Grzegorz Schetyna tuż po rekonstrukcji rządu PiS. Mistyka, parapsychologia zawsze były bliskie pewnej części klasy politycznej, z jasnowidzem Stefanem Ossowieckim spotykał się marszałek Józef Piłsudski, jednak któż by się spodziewał, że dar prekognicji odezwie się u lidera Platformy.

Wystarczyło głosowanie nad projektem ustawy liberalizującej przepisy aborcyjne, by i tak skonfliktowana już opozycja, której głosami de facto ważny dla lewicowo-liberalnego elektoratu projekt przepadł, skonfliktowała się jeszcze bardziej, pogrążając we wzajemnych waśniach i wyrzynce. Kupiłem popcorn i śledzę: Platforma wyrzuca trzech posłów, którzy zagłosowali przeciw projektowi ułatwiającemu mordowanie dzieci poczętych, Nowoczesna nakłada kary finansowe na tych, którzy w głosowaniu udziału nie wzięli. Przy okazji Joanna Scheuring-Wielgus postanowiła ujawnić, co myśli o swoich kolegach, nazywając partię średniowieczną. Poniekąd trochę racji ma; na opozycji bowiem zapanowała właśnie jesień średniowiecza, płoną stosy, padają trupy, a elektorat – który opozycja projektem liberalizacji aborcji chciała pozyskać – domaga się krwi i dalszej czystki, oskarżając zarówno PO, jak i N. o zdradę. Armagedon.

Konserwatywna strona sceny zawsze była słaba w wojnach ideologicznych, przegrywając je najczęściej z kretesem, nie potrafiąc podjąć polemiki z populistycznymi hasłami lewicy ani przekonać społeczeństwa do swych racji. Tym razem wybrano inną, „techniczną" drogę, licząc, że to opozycyjny chaos utopi aborcyjny projekt. Udało się, a kulisy sprawy kolejny raz pokazują, jak – na szczęście dla prawicy – poważny jest po lewej stronie kryzys przywódczy, organizacyjny i intelektualno-merytoryczny. ©℗

eprasa.pl d5eabde7d4

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Dlaczego musieli odejść?

Zmianami w rządzie premier Morawiecki zapracował na kredyt zaufania. Większy, mniejszy – kwestia uznania, ale jednak.

Malkontent musi jednak zauważyć, że wyborcy zostali – tradycyjnie niestety, a jest to tradycja nie PiS, lecz całej III RP – potraktowani protekcjonalnie i nieco niepoważnie. Nikt nie pofatygował się, żeby wyjaśnić, dlaczego z rządu musieli odejść Jan Szyszko, Witold Waszczykowski, Konstanty Radziwiłł, Anna Streżyńska i Antoni Macierewicz. Oczywiście każdy, kto obserwuje politykę, może snuć swoje przypuszczenia, w niektórych przypadkach graniczące z pewnością i oczywistością. Szyszko stwarzał ogromne problemy wizerunkowe, zdarzało się to też Waszczykowskiemu, który w dodatku nie zawsze dobrze współdziałał z prezydentem. Macierewicz to wątpliwy stan armii plus ogromny konflikt z Andrzejem Dudą. Anna Streżyńska – zbyt niezależna, a poza tym to cena, którą Jarosław Gowin musiał zapłacić za obsadzenie bliskimi mu ludźmi resortów zdrowia i przedsiębiorczości. I tak dalej – komentatorzy żyją z rozwikływania politycznych zagadek.

Spekulacje to jednak za mało. Niemal nikt nie rozumie, czy poza kwestiami czysto politycznymi, w sensie polityki partyjnej, były jakieś merytoryczne powody, dla których resort cyfryzacji musiała opuścić Anna Streżyńska. Sympatycy Antoniego Macierewicza zareagowali na jego dymisję bardzo emocjonalnie, momentami wręcz histerycznie, ale to reakcja o tyle zrozumiała, że nikt nie pofatygował się, aby wytłumaczyć im, czemu musi odejść z rządu rzekomo świetny szef MON. Można uważać, że Macierewicz powinien był rząd opuścić, ale nie zmienia to faktu, że jego wyborcom należy się szacunek, a zatem i wyjaśnienia.

Niestety, wyjaśnianie czegokolwiek przez rządzących nie jest w III RP standardem

Niestety, wyjaśnianie czegokolwiek przez rządzących nie jest w III RP standardem. Platforma wymieniała „absolutnie najlepszych ministrów" na „jeszcze lepszych" bez słowa. Bo tak. Podobnie działo się z szefami ważnych spółek Skarbu Państwa. PiS kontynuuje tę praktykę. Wspaniałą panią premier wymieniono na jej zastępcę zaledwie kilka godzin po odrzuceniu wotum nieufności i do dziś oficjalnie nie wiadomo dlaczego.

Każda władza powinna pamiętać, że traktowanie wyborców jako głosów gwarantowanych się mści. A wyborcy lekceważenia nie lubią. ©℗

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Korona królów, ofiary rekonstrukcji

Początek nowego roku na Twitterze upłynął pod znakiem dwóch historycznych wydarzeń. Oba dotyczyły brutalnej gry o władzę i w podobnym stopniu podzieliły prawicę. Mowa oczywiście o rekonstrukcji rządu i premierze „Korony królów".

Zacznijmy chronologicznie. „Polska »Gra o tron«" wywołała tak wielkie emocje, że w pewnym momencie stosunek do telenoweli stał się papierkiem lakmusowym patriotyzmu. „Niebywały hejt na »Koronę« pokazuje, że pokłady pedagogiki wstydu są u nas nieprzebrane [...]. Także na prawicy" – ubolewał Jacek Karnowski. O „rechociażach" i „netflixowych smakoszach", którzy krytykują dzieło TVP i „wbiją szpilkę każdemu, kto tworzy coś samodzielnie" – pisał z kolei Michał Karnowski. Na pytanie Łukasza Warzechy, czy dopuszczają, że serial może się jednak komuś nie podobać, bracia odparli zgodnie, acz niechętnie, że jednak dopuszczają.

Na szczęście wiceminister kultury Paweł Lewandowski miał w sobie więcej pokładów samokrytyki i choć po premierze pierwszych odcinków stwierdził, że „zgnił, jak to zobaczył", błyskawicznie wpis wykasował. A teraz zostawmy na chwilę jedenastą muzę i przejdźmy do prawdziwej polityki.

„Najlepszy szef MON od czasu Piłsudskiego jednak odejdzie?" – w gorączce rekonstrukcyjnej zapytał tygodnik „Sieci". Ponieważ najlepszy szef MON pół godziny później odszedł, a tweet wyglądał jak sabotaż zakonspirowanej we Fratrii komórki Tomasza Sakiewicza, postanowiono powetować zbytnią wylewność. Wpis zniknął, a z wyjaśnieniami pospieszył Marcin Fijołek. „Pan, który był odpowiedzialny za tego rodzaju harce na oficjalnym koncie, również uległ pewnej rekonstrukcji" – oznajmił w aurze tajemniczości, niczym polski Littlefinger, tfu, doradca na dworze króla Łokietka.

Nastrój i mądrość etapu udzieliły się również wracającemu na Twittera Samuelowi Pereirze. Ten, już po ogłoszeniu nowego gabinetu premiera Morawieckiego, udał się bowiem na „rekonstrukcję fryzury" do Gości Serafin, która w zaskakującym transferze zamieniła mikrofon Wirtualnej Polski na nożyczki. „Wszyscy lgną teraz do centrum" – skomentował ze słynną złośliwością radykalny Piotr Semka. ©℗

eprasa.pl d5eabde7d4

ŚPIEWAĆ KAŻDY MOŻE. NIESTETY

Marina Łuczenko, żona piłkarza Wojciecha Szczęsnego, od dawna już użala się w mediach na to, że nikt nie traktuje jej poważnie. Że ludzie jej zazdroszczą i piszą, że jest jedynie żoną swojego męża. Tymczasem ona jest także piosenkarką, ostatnio nagrała podobno nawet jakąś płytę, która ku jej rozpaczy nie okazała się sukcesem. Niestety nie dało to Marinie do myślenia, bo wciąż chce kontynuować swą muzyczną karierę. Chociaż narzekała, że w Turynie, dokąd musiała się przeprowadzić po podpisaniu przez męża kontraktu z Juventusem, nie ma gdzie śpiewać, bo brakuje jej profesjonalnego studia. Jak donosi „Fakt", Wojciech Szczęsny postanowił uszczęśliwić swą małżonkę i wybudować dla niej studio, by mogła się muzycznie realizować. – Marina strasznie się bała, że nie będzie miała co robić w Turynie – mówi informator tabloidu. – Okazało się jednak, że jest to świetne miasto. Tylko że po raz pierwszy mieszka w miejscu, gdzie nie ma swobodnego dostępu do studia nagraniowego. Jest sfrustrowana, bo czuje, że to blokuje jej proces twórczy. Wojtek postanowił więc takie studio dla niej zbudować – dodaje. Trudno mu się dziwić, że woli, by Marina śpiewała w studiu niż w domu. Studio przynajmniej będzie dźwiękoszczelne.

BYĆ JAK BEYONCÉ

Z życia innej żony znanego piłkarza. Sara Boruc, żona Artura Boruca, też żali się na to, że partnerki piłkarzy są niedoceniane i niesprawiedliwie oceniane. Mówi o tym w najnowszym wywiadzie dla jednego z kolorowych magazynów. – U nas ciągle roztrząsa się, kto, co i za ile – narzeka Sara. – Wylicza nam się wszystko, choć często robią to osoby żyjące na takim samym albo nawet wyższym poziomie. Rozumiem, że ludzi może denerwować, jakie mamy standardy, ale tak ułożony jest świat. Każdy powinien żyć własnym życiem. Ja nie mam pretensji do Beyoncé, która zarabia miliardy dolarów, że stać ją na to, by codziennie kupować samolot. Poza tym uważam, że nie żyję ponad stan – tłumaczy. I teraz nie wiadomo, czy gratulować Sarze skromności, czy współczuć, że nie żyje jak Beyoncé?

FOT. KAMIL PIKLIKIEWICZ/EAST NEWS

FOT. PAWEŁ GROMADA

CZŁOWIEK ORKIESTRA

Jeszcze będzie o skromnej Sarze. W tym samym wywiadzie żona Artura Boruca pochwaliła się, że projektowaną przez nią biżuterię nosi Anna Lewandowska! To nie wszystko. Sara ma ambicje projektowania także własnych ubrań, bo uważa, że zna się na tym lepiej niż większość projektantów. – Mam wrażenie, że największe nazwiska na rynku to projektanci, którzy utknęli w miejscu już dawno temu. Sprzedają ciągle to samo, a potem wypuszczają T-shirty z kretyńskimi nadrukami, które z modą nie mają nic wspólnego, nic kreatywnego i ja tego nie popieram – mówi. – Lubię modę, bo dzięki temu mogę stworzyć swój drugi świat. Często jest tak, że coś mi się bardzo podoba, ale nikt tego nie podchwytuje. Mija jakiś czas, ja tę rzecz dawno odstawiam i nagle okazuje się, że jest modna. Umiem wyczuć trendy – dodaje skromnie. Oprócz tego Sara ma też ambicje muzyczne. Wzorem Mariny chciałaby nagrać kiedyś własną płytę. Całe szczęście Sara ma tyle talentów, że ledwo jej wystarcza czasu, by opowiadać o nich w wywiadach. Na realizację raczej nie ma szans. Ufff...

MAMA PRAWDĘ CI POWIE

Perfekcyjna Pani Domu, czyli Małgorzata Rozenek – teraz już Majdan – w wywiadzie udzielonym niedawno jednemu z kolorowych magazynów poskarżyła się, że nie wszystko, co robi, spotyka się z akceptacją jej rodziców. – Mama mnie krytykuje, ale też bardzo wspiera. Często żartuje, że tyle wysiłku i pieniędzy włożyli z tatą w moje wykształcenie, a ja skończyłam w telewizji – opowiada Rozenek. – Mama potrafi po emisji odcinka któregoś z moich programów zadzwonić i powiedzieć: „Boże, co ty na siebie założyłaś?!" albo: „Nie popadaj w egzaltację i nie gadaj takich głupot!" – żali się gazecie. Warto czasem posłuchać rodziców. Szkoda, że niektórzy tak rzadko to robią. ©℗

eprasa.pl d5eabde7d4

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, no i stało się. Kamil Stoch postanowił obudzić demony polskiego nacjonalizmu i ku uciesze oszalałych januszów wygrał na austriackiej ziemi Turniej Czterech Skoczni. W dodatku wygrywając wszystkie konkursy w ramach turnieju, pozbawił niemieckiego skoczka Hannawalda samodzielnego rekordu.

Nam natomiast szczególnie zabrakło, skoro już się Stoch musiał wepchać na afisz, jakiegoś wyraźnego odniesienia do sytuacji w tym kraju. Wiecie, może jakiś apel o przywrócenie demokracji, wolnych sądów czy tabletki ellaOne?

Ewentualnie mógłby przynajmniej wyciągnąć podczas dekoracji zza kombinezonu specjalnie na tę okazję przygotowany egzemplarz konstytucji i przeczytać fragmenty zgromadzonej publiczności. Zmarnowana szansa, szkoda.

Ta cała rekonstrukcja rządu to chyba tylko po to, żeby podkarpackie janusze i grażyny miały się czym ekscytować podczas dyskusji przy porannym praniu w rzece.

Naszym zdaniem to żadna rekonstrukcja, tylko efekt wewnątrzfashystoffskich rozgrywek personalnych. Prawdziwa rekonstrukcja nastąpiłaby wtedy, gdyby Morawieckiego zastąpiła Lubnauer, Macierewicza – Gajewska, a ministrem rozwoju została Kamila Gasiuk-Pihowicz.

Oczywiście nie mogłoby w takiej sytuacji zabraknąć miejsca dla Richiego Petru, który założył Plpe Antru nie po to, iżby teraz go marginalizować.

A w ramach powrotu do równowagi po tej pseudorekonstrukcji proponujemy wam psychozabawę pt. „Którym resortem w rządzie powinieneś/powinnaś/powinnoś kierować?".

1. Twój główny obszar zainteresowania to:

a) ruchy miejskie i remarszrutyzacja transportu publicznego

b) konflikty personalne i oglądanie „Gry o tron"

c) „pokraczne czołgi, falliczne karabiny, sztywni chłopcy w sztywnych mundurach" (by Magda Środa)

d) iżby wreszcie zdać ten licencjat

e) blogi w Internecie

2. Z bliska widziałeś/widziałaś/widziałoś kiedyś:

a) wieżowiec

b) tekturową teczkę, zupełnie jak z IPN

c) pistolet na wodę

d) swojego promotora

e) tradycyjne książki, nie e-booki!

3. Gdybyś mógł/mogła/mogło ustawą znieść jedną rzecz, byłoby to:

a) ruch samochodowy

b) fashysm i prawactwo

c) falliczne karabiny

d) oceny na studiach

e) „Trylogia", „Pan Tadeusz", wszystkie te takie smutne patriotyzmy

Najwięcej odpowiedzi:

a) Jako miejski aktywista wreszcie zagospodarował(a/o) byś przestrzeń publiczną dla ludzi, nie dla maszyn. W pełni zrealizował(a/o)byś się w resorcie infrastruktury.

b) Twoje hobby to polityka i zakulisowe rozgrywki, iż regularnie oglądasz „Grę o tron". W resorcie spraw wewnętrznych i administracji wreszcie mógłbyś/mogłabyś/mogłobyś zlikwidować fashysm i prowadzić ten kraj do Europy.

c) Wojna i przemoc jednocześnie cię przerażają i fascynują. Często śnią ci się czołgi i karabiny, przez co później jest ci wstyd przed frendami z korpo. W Ministerstwie Obrony Tenkrajowej twoja rola polegałaby na demontażu armii i wtykaniu kwiatów do luf karabinów.

d) Masz złe doświadczenia na studiach, iż prześladowali cię opresyjni wykładowcy? Czeka na ciebie resort nauki i szkolnictwa wyższego, w którym wreszcie zlikwidował(a/o)byś te nieżyciowe oceny w myśl zasady dyplom prawem, nie towarem.

e) Od podstawówki buntujesz się przeciwko „Trylogii" oraz Słowackiemu i już wtedy zaczytywałeś się w Jasiu Kapeli. W resorcie kultury wreszcie przywrócisz odpowiednie proporcje między dotowaniem nowoczesnej sztuki zaangażowanej a promocją tzw. tradycyjnej kultury. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

eprasa.pl d5eabde7d4

dwaj panowie g

Zmiany, zmiany, zmiany. Chcieliśmy efektownie pożegnać odprawionych z dworu ministrów, ale to przecież bez sensu. Na zawsze pozostaną w naszych sercach. I w naszej rubryce. Ministrem się tylko bywa, w rubryce się jest.

Potwierdzamy – pewne zmiany w rządzie skrywane były do samego końca. Na przykład Achim Brudziński jeszcze w dniu powołania na nowego Błaszczaka odpowiadał rano partyjnym kolegom: – Ja? Do ministerstwa? Eee, bzdura!

Ucieszyła nas wiadomość, że Paweł Szefernaker będzie wickiem u ministra Achima Brudzińskiego odpowiedzialnym za administrację i wojewodów. Już widzimy oczyma wyobraźni, jak Paweł zwołuje odprawy wojewodów i ich sztorcuje. Na przykład: – No co tam u was się dzieje w woj. łódzkim, prof. Zbigniewie Rau? Znowu zajmujecie się myślą de Tocqueville'a, zamiast przygotowaniami do nawałnic?

Wejście Szefiego do resortu Achima oznacza, że nie będzie ministrem cyfryzacji, jak spekulowano. Informujemy, że inne spekulacje, jakoby Ankę Streżyńską miał zastąpić jeden z dotychczasowych wicków, nie do końca są prawdziwe. Minister będzie nowy i prawdziwy – to znaczy porządny polityk z PiS.

Apropos Anki Streżyńskiej – rządowe wiewiórki mówią, że to i tak cud, iż utrzymała się tak długo. Po raz pierwszy miała bowiem wylecieć po słynnym wywiadzie dla Kondzia Piaseckiego w Radiu Zet, kiedy odcinała się od polityki rządu. Czyli w kwietniu 2017 r. Teraz to polityka rządu odcięła się od Anki.

Achim został nowym Błaszczakiem, a Błaszczak nowym Macierewiczem – chcieliśmy napisać, ale nie możemy, bo nikt nie jest w stanie zastąpić wielkiego hetmana koronnego Antoniego. Szczerze mówiąc, Antoni postawił poprzeczkę tak wysoko, że nie jesteśmy pewni, czy nawet sam Macierewicz byłby w stanie godnie zastąpić Macierewicza. Będzie więc tak, jak będzie.

Uwaga! Wyjaśniamy zamieszanie z Krzyśkiem Szczerskim. Na ostatniej prostej negocjacji w sprawie objęcia przez niego MSZ zawistował dodatkowy warunek: bierze resort, jeśli zostanie także wicepremierem. Wiewiórki nie mają wątpliwości: warunek został postawiony nie po to, by nim zostać, lecz by nim nie zostać.

Nowym Srebrnym Lisem Dyplomacji został więc Jacek Czaputowicz, nasz redakcyjny kolega z „Do Rzeczy", bo w ostatnich latach publikował u nas nieraz. Ministra zwanego Czapą znamy od lat. Jeden z Panów G. mieszkał z nim nawet po sąsiedzku. Niestety, żaden z powyższych faktów nie uprawnia nas do stosowania wobec Czapy taryfy ulgowej.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Witamy więc w naszej rubryce szczególnie ciepło.

Z życia Czapy-Czaputowicza: jego właściwie znają wszyscy. Rzecz w tym, że w czasach PRL jego mieszkanie było położone najbliżej Dworca Centralnego, więc cała opozycja, która przyjeżdżała do stolicy, pierwsze swoje kroki kierowała właśnie tam. Moglibyśmy sobie oczywiście dworować, że Czapa to taki Tewje Mleczarz, bo ma pięć córek. Dziewczyny jednak niezmiernie urodziwe i żadna według naszej wiedzy nie wyszła za komucha.

Apropos córek – wyjaśniamy, kim jest słodkie małe dziecię, które zaraz po powołaniu nowych ministrów zaczęło spacerować pośrodku sali w Pałacu Prezydenckim. To jedna z czterech córek nowego ministra zdrowia, Łukasza Szumowskiego, który – jak przystało na prawdziwego konserwatystę – stawił się na ceremonii z rodziną w komplecie.

Wracając do MSZ. Na korytarzach resortu pojawił się dawno niewidziany Andrzej Sadoś. Jeden z panów G. miał z nim do czynienia, kiedy organizował spotkanie polskich i niemieckich redaktorów naczelnych. Sadoś jako rzecznik prasowy reprezentował wówczas minister Annę Fotygę. I to była katastrofa. Zaczęliśmy wtedy szukać odpowiedzi na pytanie: „Kto zacz i jakie są jego kompetencje?". Okazało się, że to kolega Misia Kamińskiego z ławy szkolnej. I to są jego kompetencje.

Misiu Kamiński był wówczas niezmiernie wpływową postacią. Wychodził więc Sadosiowi wiceministra, a potem placówkę. Teraz podobno Sadoś ma wrócić na wicka.
Zaiste wpływy Miśka w PiS są nadal ogromne. Inna sprawa, że sam Sadoś nie pozostawał bierny i słał na Nowogrodzką wiernopoddańcze adresy, jeżdżąc jednocześnie po Waszczu. Może więc uważa, że to on obalił Srebrnego Lisa Dyplomacji i oczekuje nagrody. Biada, biada, biada.

Do stanowisk przymierza się też niejaki Rafał Wiśniewski, swojego czasu znany z tego, że rwał boki przy dowcipach opowiadanych przez Radka Sknerusa Sikorskiego. Jak wiadomo, ulubione dowcipy Radka dotyczyły Smoleńska. Biada, biada, biada.

eprasa.pl d5eabde7d4

Tymczasem w Eine Totalopposition. Sejmowe wiewiórki przewidują bliski wzrost popularności Peezelu. Nie, nie wśród wyborców, ale wśród posłów wywalonych z PeŁo i wychodzących z Nowoczesnej po sejmowej chryi o aborcję. To dobrze dla naszych zielonych braci. Rządowe wiewiórki informują bowiem, że PiS pracuje nad przemienieniem kolejnych ludowców w uczciwych posłów Zjednoczonej Prawicy. Import nowych członków klubu parlamentarnego bardzo się więc Peezelowi przyda.

Na szczęście Kaśka Lubnauer zajmuje się także poważnymi rzeczami, nie tylko bojem o aborcję. Na przykład poinstruowała członków Nowoczesnej Kropki, że w każdych przekaziorach, do których łażą, mają robić sobie fotki i wrzucać je na Twitter. Ale nie wszyscy jej posłuchali.

Apropos planów kłusowniczych PiS: napotkany ważny kukista uśmiechnął się do nas: – No, wreszcie możemy odpocząć, teraz PiS będzie rozmontowywał inne partie. I westchnął z ulgą. Błąd. Opowiedzieliśmy o tym ważnej PiS-owskiej wiewiórce. Ona też się uśmiechnęła, ale z innego powodu. – Na ich miejscu jeszcze bym się nie cieszył – odparła.

Zkolei Nowoczesne wiewiórki opowiadają, skąd wziął się Plan Petru. Otóż Rysiek miał wielką ochotę na fotel wicemarszałka Sejmu – na osłodę po tym, jak przestał być naczelnym Ryśkiem wszystkich Nowoczesnych. Ale i tego poskąpiła mu okrutna Kaśka. Wziął więc własny los we własne ręce.

My oczywiście wyrażamy zadowolenie z powstania nowego stowarzyszenia Plan Petru i wyrażamy nadzieję, że przemiana stowarzyszenia w partię zajmie tyle, ile kiedyś przemiana stowarzyszenia NowoczesnaPL w partię – czyli trzy miesiące. Jednocześnie zgłaszamy obywatelski postulat, żeby od początku jasno objaśnić, jak ma być realizowany Plan Petru: w pięciolatkach, w dekadach czy może jakoś inaczej.

Jednocześnie dajemy odpór krytykantom. To nieprawda, że wszystko w Planie Petru nie ma sensu. Jedna rzecz np. nam się bardzo podoba. Nie ma w nim ani słowa o samochodach elektrycznych.

Uwaga, uwaga, ogłaszamy alarm dla miasta Warszawy! Rafał Trzaskowski (kandydat) i Paweł Rabiej (wicekandydat) dopinają szczegóły planu dla stolicy i chcą zamknąć sprawę do końca stycznia. Umęczone miasto znikąd nie może oczekiwać pomocy, a przecież po 12 latach z Hanką zasługuje na odrobinę spokoju.

Rafał i Paweł pracują nad wielkim planem dla Warszawy w biurze poselskim Rafała, które robi wrażenie, bo jest w nim bardzo dużo książek. Mamy jeszcze lepszą propozycję na miejsce negocjacji. To Biblioteka Narodowa.

Tymczasem w Krakowie. Tamtejsze wiewiórki opowiadają, że prezydent Jacek Majchrowski jednak nie chce kandydować po raz pięćset siedemnasty na włodarza grodu Kraka. Co pogrąża PeŁo i Nowoczesną Kropkę w żałobie, bo chciały go poprzeć i mieć problem z głowy. A tak będzie trzeba znaleźć własnego charyzmatycznego kandydata. Słyszeliśmy, że gotowy na trudne wyzwania jest poseł Jerzy Meysztowicz. Sęk w tym, że wyzwanie nie jest gotowe na niego.

Uwaga, uwaga, ogłaszamy alarm dla miasta Warszawy! Rafał Trzaskowski (kandydat) i Paweł Rabiej (wicekandydat) dopinają szczegóły planu dla stolicy i chcą zamknąć sprawę do końca stycznia

Apropos Krakowa – przekaziory się emocjonują exodusem małopolskich radnych z PeŁo do PiS. Tymczasem szykuje się podobno ciekawszy transfer. Bogusław Sonik, poseł PeŁo, ma ochotę na przejście do Porozumienia Jarosława Gowina. I Porozumienie też jest na niego gotowe. ©℗

eprasa.pl d5eabde7d4

DO RZECZY UJAWNIA

Wojciech Wybranowski

Przegrana wojna Macierewicza

Usunięcie Macierewicza z rządu planowane było od dawna. Tylko wciąż pojawiały się problemy, które oddalały to w czasie

Wydawało się, że jest politykiem, który w rządzie PiS przetrwa, mimo licznych kontrowersji, do końca kadencji. Chociaż w klubie parlamentarnym i partii nie miał poważnego zaplecza, to był – dzięki sprawie katastrofy smoleńskiej, której wyjaśnianiem się zajmował – niekwestionowaną gwiazdą terenowych spotkań z wyborcami PiS. Dlaczego musiał odejść ze stanowiska w MON? Jego dymisji towarzyszą dwie opowieści. Jedna to historia o tajnym spisku, układach i agenturze. Druga – o rosnącym konflikcie, nielojalności, utracie zaufania i politycznym pragmatyzmie.

„CZARNY PONIEDZIAŁEK" I WTOREK

Pierwszy dzień ubiegłego tygodnia. Dwadzieścia cztery godziny do zapowiadanej przez premiera Mateusza Morawieckiego rekonstrukcji rządu. W Ministerstwie Obrony Narodowej panuje umiarkowany optymizm, bliscy współpracownicy Macierewicza są przekonani, że skoro wbrew medialnym spekulacjom nie został „zrekonstruowany" w połowie grudnia, gdy powoływano rząd Morawieckiego, to pozycja ich szefa jest bezpieczna.

– Macierewicz. Zostaje i już. Nie ma żadnych powodów do dymisji, wygaszamy konflikt z prezydentem – przekonuje nas jeden z najbliższych współpracowników Macierewicza. – Nie był w ostatnich dniach wzywany do KPRM, nie było żadnych rozmów z Kaczyńskim, w których usłyszałby, że odchodzi – dodaje.

Później, gdy pójdziemy tropem tej opowieści, okaże się, że nie do końca odpowiada ona faktom. Niewykluczone jednak, że szef MON albo nie do końca ufał ludziom, z którymi był blisko, albo też do końca wierzył, że uda mu się obronić stanowisko.

– Do ostatniej chwili wiele się ważyło, decyzje były zmieniane dosłownie z godziny na godzinę, np. jeszcze w piątek miałem iść do jednego resortu, w poniedziałek dowiedziałem się, że idę do innego, ale los Antoniego wtedy był już praktycznie przesądzony. Tylko cud mógłby go uratować – usłyszymy potem od jednego z nowych ministrów w rządzie Mateusza Morawieckiego.

Jednak w tamto poniedziałkowe popołudnie członkowie gabinetu szefa MON radzą nad zaplanowaną na 17 stycznia wizytą szefa MON w Stanach Zjednoczonych, gdzie Macierewicz ma się spotkać z doradcą amerykańskiego prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego gen. Herbertem Raymondem McMasterem. Późnym wieczorem w MON odbywa się posiedzenie kierownictwa resortu. Wcześniej Macierewicz jedzie na chwilę do telewizji Republika. Mówi o katastrofie smoleńskiej, sprawie, która dla lidera PiS Jarosława Kaczyńskiego jest niezwykle ważna. W tym samym czasie w innym miejscu Warszawy trwają gorączkowe konsultacje dotyczące zmian w składzie rządu. Kawałki układanki są przesuwane z miejsca na miejsce. Późnym wieczorem wśród dziennikarzy idzie hyr, że Macierewicz jednak zostanie zdymisjonowany. Trafną listę zmian

eprasa.pl d5eabde7d4

Jarosław Kaczyński od 2016 r. wiedział, że Antoni Macierewicz będzie generował kolejne konflikty FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

w rządzie Morawieckiego podaje Konrad Piasecki, dziennikarz Radia Zet.

W kierownictwie MON robi się nerwowo, ale jednak jeszcze pozostaje nadzieja, że to tylko kolejna dziennikarska spekulacja. Po godz. 23.30 ze złudzeń nic nie zostaje. Jeden z dyrektorów ważnego departamentu w MON dostaje telefon od swojego znajomego z najbliższego otoczenia premiera Morawieckiego. – Dymisja mojego szefa stała się bardzo prawdopodobna – mówi nam.

Oficjalnie o zakończeniu misji Macierewicza jego zaufani ludzie dowiadują się dopiero we wtorek przed południem. Podczas oficjalnego pożegnania z pracownikami MON nie padają też słowa o przyczynach dymisji. Taka rozmowa odbywa się tylko w gronie ludzi, którym Macierewicz ufa. I tam – według naszych informatorów – mają paść bardzo mocne słowa w stylu charakterystycznym dla wielu wypowiedzi byłego szefa MON. To zdania sugerujące zdradę i podstępne knowania ludzi, którzy w imię własnych interesów szkodzą krajowi i jemu. – To, co usłyszeliśmy, było wstrząsające. Przyszłość i bezpieczeństwo Polski w kolejnych latach są mocno zagrożone. Można traktować to jedynie w kategoriach zdrady – opisuje nasz informator z MON. Żadnych szczegółów podać nie chce. Po wahaniu dodaje tylko: – Niech pan odpowie sobie na pytanie, dlaczego ustawy dezubekizacyjnej w wojsku nie udało się przeprowadzić.

MACIEREWICZ PRZYCHODZI DWA RAZY

„Do Rzeczy" sprawdziło, jak w rzeczywistości wyglądały kulisy dymisji Antoniego Macierewicza. I tu pojawia się druga historia. Nie ma w niej agentów, spisków, są za to kulisy twardej, brutalnej, ale także pragmatycznej – z punktu widzenia przywódców Zjednoczonej Prawicy – gry politycznej, która, jak się mówi w tym obozie, wymagała poświęcenia głowy byłego szefa MON.

Preludium do wtorkowej dymisji Antoniego Macierewicza miało mieć miejsce cztery dni wcześniej, w piątek 5 stycznia. Wtedy został wezwany na Nowogrodzką, na spotkanie z Jarosławem Kaczyńskim. Rozmowa miała trwać ok. godziny i była rzekomo pełna mocnych słów z jednej i drugiej strony. – Według tego, co wiem, prezes miał jednoznacznie zakomunikować mu, że pożegna się ze stanowiskiem – mówi nam prominentny polityk obozu Zjednoczonej Prawicy. – Nie wykluczam jednak, że Antoni uznał, iż jeszcze ma szansę się utrzymać, dlatego postanowił walczyć. Każdy, kto go dobrze zna, wie, że są rzeczy, których on nie przyjmuje do wiadomości albo interpretuje po swojemu.

W PiS krąży też inna wersja, według której Macierewicz usłyszał, że jego pozycja jest zagrożona, ale decyzje zapadną dopiero po naradzie z premierem. To dlatego być może próbował jeszcze walczyć.

Krótko po rozmowie z Kaczyńskim do mediów wyciekła informacja o zaproszeniu dla Macierewicza do Białego Domu na spotkanie z doradcą prezydenta Donalda Trumpa ds. bezpieczeństwa narodowego gen. Herbertem Raymondem McMasterem w sprawie wzmacniania wschodniej flanki NATO oraz metod odstraszania Rosji, czyli kwestii bardzo ważnych dla polskiego bezpieczeństwa. O sprawie zrobiło się głośno. I według naszych informatorów wówczas, w sobotę, Macierewicz jeszcze raz pojawia się przy Nowogrodzkiej, gdzie chce ponownie rozmawiać z Kaczyńskim. Tym razem odbija się od zamkniętych drzwi prezesa.

– Oczywiście cały czas istniał pewien margines, że postanowienie o dymisji

eprasa.pl d5eabde7d4

Macierewicza zostanie cofnięte tuż przed ogłoszeniem rekonstrukcji, ale był to margines naprawdę minimalny. To była decyzja, która dojrzewała przez wiele miesięcy i w końcu została sformalizowana – mówi nam osoba z otoczenia Jarosława Kaczyńskiego. – I tak wygrał kilka tygodni – dodaje.

Chodzi o to, że Macierewicza miało nie być już w składzie nowego rządu tuż po przejęciu sterów przez Morawieckiego. Zrezygnowano z tego dosłownie w ostatniej chwili. Jeden z naszych informatorów, uczestnik części „rekonstrukcyjnych" negocjacji, mówi nam, że partia chciała spokoju przy pracach nad ustawą budżetową, w której zwiększano też finansowanie na obronność. Z kolei sam Morawiecki chciał nieco okrzepnąć na fotelu premiera. No i zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Zdaniem tego informatora jeszcze w grudniu mogło się odbyć inne, „pokojowe" rozwiązanie sprawy szefa MON – dymisji Macierewicza towarzyszyłaby narracja o powierzeniu nowych ważniejszych obowiązków, np. stanowiska wicemarszałka lub marszałka Sejmu.

– Kilka ważnych osób w kancelarii było gotowych na zmiany na tym stanowisku. Co najmniej od dwóch, trzech tygodni. Niekoniecznie na Antoniego Macierewicza – mówi nasz informator z Kancelarii Sejmu RP. Oznaczać to może, że brano też pod uwagę, jak spekulowały media, takie stanowisko nie tyle dla byłego szefa MON, ile dla byłej premier Beaty Szydło.

Ostatecznie fotel wicemarszałka Sejmu zaproponowano Beacie Mazurek, dotychczasowej rzeczniczce klubu PiS. Macierewiczowi przypadł fotel poza kręgami państwowej władzy. Został przewodniczącym podkomisji smoleńskiej, czyli wrócił na stanowisko, które zajmował, będąc jeszcze w opozycji.

Macierewicz długo chronił w MON Bartłomieja Misiewicza, dając opozycji pole do ataków FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

NACISKAŁ NIE TYLKO PREZYDENT

Dlaczego były szef MON „poległ" w ubiegłym tygodniu? Gdy pytamy o to bliskich współpracowników Macierewicza, to oprócz dramatycznej historii o tajemniczych naciskach słyszymy przekonywanie, że nie było żadnych merytorycznych powodów.

– Wojsko się rozwijało, konflikt z prezydentem Dudą zakończyliśmy, próby podsycania go były tylko ze strony BBN. Nie sądzę, by to Duda miał przeforsować dymisję po tym, jak ustąpił Kaczyńskiemu w sprawie sądów – opowiada bliski współpracownik Macierewicza. – Niektórzy spekulują, że szefa załatwiła sprawa gen. Kraszewskiego. To jednak przecież zamknięte, dowody są druzgocące, Kraszewski jest skończony – zaznacza.

To wersja jednej strony. Jest też i druga. Według niej konflikt Macierewicza z Dudą i „sprawa Kraszewskiego" co prawda nie zmiotły Macierewicza, ale przelały czarę goryczy.

W czerwcu ubiegłego roku Służba Kontrwywiadu Wojskowego, kierowana przez Piotra Bączka, zaufanego człowieka Macierewicza, wszczęła postępowanie „w związku z wątpliwościami" wobec gen. Jarosława Kraszewskiego, dyrektora Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi w prezydenckim Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Szczegóły sprawy są tajne. Według plotek chodzi m.in. o domniemane powiązania gen. Kraszewskiego z jednym z oficerów ukraińskiej armii, który miał wręczyć mu butelkę wódki. Ukraińskie wojsko, zdemoralizowane sytuacją w państwie, skorumpowane, podzielone, uchodzi za pole werbunkowe rosyjskich służb. W połowie grudnia SKW zamknęła sprawę decyzją o cofnięciu Kraszewskiemu dostępu do informacji niejawnych. Zamknięcie postępowania umożliwiło generałowi złożenie odwołania od decyzji do premiera Morawieckiego.

Na początku stycznia premier powierzył zbadanie tej sprawy Mariuszowi Kamińskiemu, koordynatorowi służb specjalnych. Jak się nieoficjalnie dowiedzieliśmy, Kamiński jeszcze nie zapoznał się z dokumentami. Jednak nasi informatorzy z otoczenia premiera mówią, że sama „analiza" sprawy, którą wcześniej – ponoć z wielkimi oporami – przekazał Bączek, miała okazać się kompromitująca. – Dęte zarzuty – słyszymy w tych kręgach.

„Sprawa Kraszewskiego" była jednym z najostrzejszych pól konfliktu między dużym pałacem a Macierewiczem dotyczących kontroli nad wojskiem. Jej efektem było choćby wstrzymanie przez prezydenta nominacji generalskich dla kandydatów zgłoszonych przez Macierewicza. Jedna z internautek ujawniła też nagranie, na którym prezydent Andrzej Duda podczas spotkania z sympatykami mówił o szefie MON: „Musi sobie parę rzeczy przemyśleć. Jak będzie wobec uczciwych oficerów stosował takie ubeckie metody, jak Platforma stosowała wobec niego, to będzie kiepsko".

eprasa.pl d5eabde7d4

Czy Kaczyński i Morawiecki ulegli prezydentowi Andrzejowi Dudzie i na jego żądanie zdymisjonowali Antoniego Macierewicza? – Prezydent rzeczywiście bardzo twardo stawiał kwestię niemożności porozumienia z Macierewiczem nie tylko w tej sprawie, lecz także w wielu innych kwestiach. Proszę jednak pamiętać, że to nie on podejmował decyzję, przecież nie odmówił zaprzysiężenia Macierewicza w połowie grudnia – mówi nam jeden z ministrów Kancelarii Prezydenta RP.

– Ostateczna decyzja o dymisji Macierewicza zapadła w triumwiracie prezes-premier-prezydent i była zgodna, żaden z nich nie widział już go w rządzie – dodaje nasz informator.

Jak ustaliło „Do Rzeczy", sprawa odwołania Antoniego z rządu pojawiała się w wewnątrzpartyjnych rozmowach na przestrzeni ostatnich kilkunastu miesięcy wiele razy. Brano pod uwagę m.in. łatwość wchodzenia Macierewicza w konflikty z mediami, ze środowiskami, które nie są PiS nieżyczliwe, i wreszcie z politykami własnej partii, którzy mieli lepszy niż szef MON dostęp do ucha prezesa.

Antoni Macierewicz miał m.in. lekceważąco traktować byłą premier Beatę Szydło, mieć konflikt z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą (dotyczący m.in. tego, kto ma wyjaśniać katastrofę smoleńską), konflikt o kontrolę nad wojskowymi służbami specjalnymi z Mariuszem Kamińskim, konflikt o to, kto będzie odpowiadał za cyberbezpieczeństwo z Anną Streżyńską (akurat odwołaną razem z nim) i z szefem MSW Mariuszem Błaszczakiem. Wreszcie, co najważniejsze, miał spór z nowym premierem. W grudniu „Super Express" informował, że Macierewicz w partyjnym głosowaniu opowiedział się przeciw powierzeniu Morawieckiemu funkcji szefa rządu. – Nawet z Suskim miał spór – śmieje się osoba z otoczenia Kaczyńskiego. – Kiedy w naszych gremiach rozważaliśmy dymisję Macierewicza w różnych okresach, jakkolwiek był chwalony za daleko idące zmiany w armii, nie było nikogo, kto twardo sprzeciwiałby się jego odwołaniu.

STAŁ SIĘ NIEWYGODNY

Kiedy pierwszy raz uznano, że Macierewicz powinien odejść z rządu? Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba cofnąć się do listopada 2016 r. Media były wówczas pełne informacji o kolejnych wyskokach Bartłomieja Misiewicza, współpracownika Macierewicza. Ówczesna premier Beata Szydło, tak jak prezes Jarosław Kaczyński, domagała się publicznie szybkiej dymisji Misiewicza. Szef MON jednak zwlekał, a kiedy ostatecznie usunął swojego młodego protegowanego, szybko okazało się, że Misiewicz trafił na lukratywne stanowisko do jednej z państwowych spółek.

Na łamach „Do Rzeczy" jesienią 2016 r. ujawniliśmy, że Kaczyński kilkakrotnie dyscyplinował Macierewicza, m.in. za wpadkę z opowieścią o rzekomo sprzedanych Rosji przez Egipt okrętach desantowych Mistral, którą opozycja wykorzystała do uderzenia w PiS. Podczas jednego ze spotkań obu polityków doszło do bardzo gwałtownej kłótni między nimi, w której obaj nie przebierali w słowach. – To był ten moment, kiedy prezes najprawdopodobniej uznał, że Macierewicz będzie generował kolejne konflikty, że będzie sporym obciążeniem dla rządu i partii – mówi polityk PiS.

W kolejnych miesiącach środowisko Macierewicza obok sukcesów – m.in. udanych negocjacji ze Stanami Zjednoczonymi w sprawie lokacji baz NATO w Polsce i przybycia amerykańskich żołnierzy – zaliczało kolejne wpadki. Prof. Wacław Berczyński, szef komisji smoleńskiej, wypalił w jednym z wywiadów, że to on „wykończył caracale", czyli że miał wpływ na wycofanie się Polski z zakupu śmigłowców dla wojska od Francuzów. Rząd miał spory problem, by wytłumaczyć się z tych słów, a opozycja przez kilka tygodni „grała" sprawą, domagając się m.in. powołania komisji śledczej.

Pod koniec kwietnia w „Do Rzeczy", powołując się na źródła z kręgów PiS, Kamila Baranowska napisała, że Macierewicz stracił już status nietykalnego. Byliśmy pierwszym tygodnikiem, który ujawnił, że przyszłość kontrowersyjnego szefa MON w rządzie dobrej zmiany wisi na włosku. – Był taki pomysł, by latem, po zaplanowanym kongresie w Przysusze, odwołać Macierewicza i kilku innych niespełniających naszych oczekiwań członków rządu. Były plany, by kongres był nowym otwarciem, momentem łagodzenia konfliktów – mówi nam jeden z polityków PiS. Dlaczego tak się nie stało? – Wybuchł konflikt z prezydentem w sprawie sądów, swoje kombinacje zaczął Gowin, plany nowego otwarcia na kilka miesięcy diabli wzięli – odpowiada.

Kolejną zaplanowaną datą rekonstrukcji, która miałaby dotknąć również Macierewicza, był listopad. Jednak rozmowy wewnątrzkoalicyjne dotyczące powołania nowego premiera spowodowały odsunięcie tej kwestii. Ostatecznie szef MON stracił stanowisko dopiero w ubiegłym tygodniu.

– Kwestia odwołania Macierewicza jest złożona, to szerszy projekt. Przed wyborami nie możemy mieć konfliktowych pól zapalnych między dużym pałacem, kancelarią premiera i Nowogrodzką. Pomysł, by ograniczyć opozycji możliwość ataków, usuwając tych ministrów, w których mogli walić jak w bęben, jest istotnym elementem tego projektu – mówi nam prominentny polityk Zjednoczonej Prawicy.

CO BĘDZIE DALEJ?

Zmiana szefa MON wywołała spore wzburzenie części twardego elektoratu PiS. Prawicowy Internet zagotował się od niewybrednych komentarzy i zarzutów, w których słowo „zdrada" było najłagodniejsze. Redaktor Katarzyna Gójska w wywiadzie dla Niezależna.pl oskarżyła prezydenta Andrzeja Dudę nawet o to, że „stoi tam, gdzie stało ZOMO", a redaktor naczelny „GP" Tomasz Sakiewicz zapowiedział, że już nigdy na Dudę nie zagłosuje. Paweł Piekarczyk, były działacz Ligi Republikańskiej i wieloletni bard prawicy, odesłał prezydentowi Krzyż Kawalerski Polonia Restituta, zarzucając, że Duda stanął po stronie oficerów z dawnych WSI i WSW.

– Będziemy studzić emocje, rozmawiać. Mam nadzieję, że z czasem te emocje opadną – mówi nam jeden z ministrów Kancelarii Prezydenta.

Emocje studził też Jarosław Kaczyński, który podczas ostatniej miesięcznicy katastrofy smoleńskiej podziękował Antoniemu Macierewiczowi za wkład w wyjaśnianie przyczyn tej tragedii. I apelował: – Droga naprawy Rzeczypospolitej jest kręta, ale proszę wszystkich o zaufanie, ponieważ idziemy w jednym kierunku i razem dojdziemy do celu.

W otoczeniu Macierewicza mówi się, że on sam jeszcze nie podjął decyzji co do swojej dalszej politycznej przyszłości.

W felietonie wyewmitowanym na antenie Radia Maryja Antoni Macierewicz przekonywał, że zrobi wszystko by wspierać nowego szefa MON Mariusza Błaszczaka oraz rząd premiera Morawieckiego. – Przynajmniej na kilku polach będzie jeszcze wiele do zrobienia – mówił. Jakby na przekór tym słowom w piątek do dymisji podał się Piotr Bączek, szef SKW i prawa ręka Macierewicza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

PiS w trójkącie wpływów

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Piotr Semka

Prezes nie decydował sam. Nowy skład rządu to wynik kompromisu sił mających obecnie w PiS największe wpływy. Efektem rekonstrukcji jest również zrównoważenie wpływów we frakcjach Zjednoczonej Prawicy

Tak, intuicje wielu wyborców PiS są trafne. Coś się zmieniło. Nie na tyle, by zbladła wszechwładza Jarosława Kaczyńskiego. Po raz pierwszy jednak skład rządu był wynikiem ucierania się życzeń Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego i Andrzeja Dudy. To jest dziś trójkąt władzy, który tworzy obóz dobrej zmiany.

Spróbujmy podsumować sytuacje tych trzech postaci po sławetnej rekonstrukcji.

1. JAROSŁAW KACZYŃSKI

Decydując się na odwołanie szefa MON, Kaczyński zademonstrował, że jest gotów zapłacić sporą cenę, aby tylko załagodzić kryzys, który psuł relacje na linii Pałac Prezydencki – rząd. Pojawiają się też opinie, że było to spłacanie zobowiązań za podpis prezydencki pod ustawami sądowymi, które Kaczyński uważa za fundament przetrwania dobrej zmiany.

Oznacza to też, że Kaczyński poważnie myśli o wsparciu PiS dla Andrzeja Dudy w wyborach w 2020 r. PiS nie ma w tej chwili bardziej popularnego kandydata, a pomysł na wystawienie Beaty Szydło miałby sens tylko wtedy, gdyby nadal była premierem. A od miesiąca już nim nie jest. Pozostaje obecny prezydent, który mimo urazów części elektoratu PiS zdobywa wysokie noty w sondażach popularności. Zimny realista, jakim jest Kaczyński, zwraca na takie czynniki uwagę.

Musiał pamiętać też, że w grudniu zeszłego roku z pałacu przy Krakowskim Przedmieściu wysyłano ostrzeżenia, że jeśli Macierewicz znajdzie się wśród nowych ministrów – wręczenia nominacji może nie być. A paraliżujący, prestiżowy spór był ostatnią rzeczą, której chciał szykujący „nowe otwarcie" lider PiS.

Otwarcie zbudowane na chęci odmrożenia relacji z Unią i usunięcia ministrów uważanych za wizerunkowy kłopot. W ślad za tym szła chęć zdobycia centrowego elektoratu w czasie wyborów samorządowych i polityczne marzenie o wielkiej kumulacji – zdobycia w 2019 r. większości dającej możliwość wdrożenia nowej konstytucji. Dopiero wtedy nazwa IV RP będzie już jak najbardziej uzasadniona.

Antoni Macierewicz przeoczył moment, w którym zaczął być postrzegany przez Kaczyńskiego jako problem. A nawet szacunek dla przeszłości opozycyjnej, wdzięczność za pomoc w przetrwaniu PiS po szoku 10 kwietnia i świadomość strat wizerunkowych nie zatrzymują Kaczyńskiego, gdy coś nie pasuje do jego planu.

Lider PiS miał też w pamięci własną irytację z powodu zbyt długiego serialu pozbywania się z MON Bartłomieja Misiewicza i być może uznał, że prezydent istotnie bywał lekceważony. Kaczyński sam wobec Andrzeja Dudy miewał podobne grzeszki, ale wódz ma ten przywilej, że to on rozlicza innych z błędów.

Jeszcze w grudniu niektórzy politycy PiS, czując nadchodzący konflikt, snuli pomysły nagrody pocieszenia dla szefa MON w postaci fotela marszałka Sejmu. Już wtedy brzmiało to naiwnie. Lider PiS nieprzypadkowo obsadził rolę marszałka Sejmu w pełni dyspozycyjnym Markiem Kuchcińskim. Jak niesie wieść, prezes źle wspomina marszałkostwo Marka Jurka z lat 2005–2007, gdy wszedł z samodzielnym politykiem w ostry konflikt.

Było więc jasne, że Kuchciński może być spokojny o swój fotel. A wicemarszałkostwo powszechnie uznawano za propozycję, która Macierewicza nie zainteresuje. Pozostała decyzja – zostawić lub usunąć. I Kaczyński wybrał to drugie. Ryzykuje pojawienie się w partii nowej frakcji – katolicko-konserwatywnej, a nawet odejście byłego szefa MON i powstanie czegoś na prawo od PiS.

Jak widać, postanowił to ryzyko podjąć. Na krótką metę skala oburzenia nie okazała się tak duża, jak początkowo się zdawało, ale czas pokaże, jak głębokie będą efekty tego czołowego zderzenia.

Kaczyński będzie się teraz starał, by rany w miarę możności się zabliźniły. W czasie miesięcznicy 10 stycznia podkreślał: „Chwała tym, którzy walczyli o prawdę, na czele z Antonim Macierewiczem". Kilka godzin wcześniej podkomisja smoleńska ogłosiła, że analiza materiału dowodowego wskazuje na liczne wybuchy na pokładzie tupolewa. Lider PiS może zachęcić Macierewicza do nadzorowania powstawania raportu o przyczynach tragedii, który ma być ogłoszony 10 kwietnia.

Głównym zajęciem prezesa będzie jednak teraz testowanie „koncepcji Morawieckiego". Lider PiS uległ jego charme'owi, dając mu pełną władzę nad gospodarką, choć nie zapomniał o umieszczeniu u boku premiera Marka Suskiego, który pewnie da znać o każdym mogącym zaniepokoić prezesa fakcie. Kaczyński będzie uważnie obserwował, czy Morawiecki osłabi konflikt z Brukselą i czy utrzyma wzrost gospodarczy, niezbędny do zachowania programu „500+", a za chwilę i do programu „Mieszkanie Plus". A w wolnych chwilach Kaczyński będzie miał czas zająć się najbliższym zadaniem – niezwykle trudnymi dla PiS wyborami samorządowymi. Z pewnością użyje w kampanii w wielkich miastach centrowych twarzy rządu, takich jak Morawiecki czy Jadwiga Emilewicz.

2. ANDRZEJ DUDA

Wspominałem już, że może czuć się wygranym. Jego sprzeciw wobec Antoniego Macierewicza znalazł finał w odejściu szefa MON. A jednak czuć w wypowiedziach urzędników pałacu pewne zakłopotanie tym zwycięstwem. Rzecznik prezydenta Krzysztof Łapiński sili się dziś wobec byłego założyciela KOR na kurtuazję. – Żadnej wojny nie było. W wielu aspektach była współpraca – mówi Łapiński.

Dyskretnie przypominana jest też okoliczność, że decyzja o dymisji Macierewicza zapadła w PiS. Szef gabinetu prezydenta RP Krzysztof Szczerski podkreśla, że „tezy, jakoby doszło do szantażu, wymuszenia czy działania wbrew woli większości parlamentarnej, są nieuprawnione". I przypomniał:

– Nie ma możliwości, by prezydent czy ktokolwiek inny, był w stanie wymusić czy zaszantażować większość parlamentarną, by dokonywała zmian wbrew swojej woli – podkreślił. Co ciekawe, to samo zaznacza Jacek Sasin z PiS: – Zdanie prezydenta ws. dymisji Macierewicza miało znaczenie, ale decyzja była uzgodniona z prezesem i kierownictwem PiS.

A jednak uraz w stosunku do osoby prezydenta utrzyma się wśród części wyborców PiS. Tu najostrzej wypowiadali się przedstawiciele „Gazety Polskiej" – Tomasz Sakiewicz, deklarujący, że prezydent nie otrzyma więcej jego głosu, czy Katarzyna Gójska, mówiąc, że prezydent „stanął tam, gdzie kiedyś ZOMO". No cóż, szok wywołany odwołaniem Macierewicza psychologicznie łatwej odreagować, obciążając tym prezydenta zamiast Jarosława Kaczyńskiego.

Jak silny i jak trwały będzie taki uraz twardego elektoratu wobec gospodarza Belwederu?

To będzie już zależeć od głowy państwa. Na pewno nie pomoże w tym triumfalny powrót gen. Jarosława Kraszewskiego. Pytanie, jak ułoży się współpraca z Mariuszem Błaszczakiem jako szefem MON.

W czasie uroczystości wręczania nominacji nowym ministrom prezydent podkreślał wagę dobrego „team spirit" w obozie dobrej zmiany. Jednocześnie sugerował ministrom, by w razie kłopotów korzystali z jego pomocy. Nie zabrzmiało to chyba najlepiej w uszach Mateusza Morawieckiego.

Sprawa rekonstrukcji ujawniła też słabości ośrodka prezydenckiego. Chodzi o odrzucenie przez duży pałac oddania MSZ Krzysztofowi Szczerskiemu.

Jeszcze w grudniu sam Szczerski przyznawał, że „taka propozycja jest na stole". A jednak Szczerski się uchylił i podobno uczynił to w ostatniej chwili. Dlaczego?

Wśród krążących opinii dominują dwie – nawzajem siebie niewykluczające. Po pierwsze sam Szczerski miał uznać, że przyjście do MSZ w apogeum kryzysu z Brukselą to ciężkie i niewdzięczne zadanie. Po drugie – sam Andrzej Duda dojść miał do wniosku, że nie znajdzie nikogo lepszego do kierowania kancelarią.

Tyle względy ludzkie. Ale jest jeszcze polityka. Odrzucając propozycję poszerzenia wpływów o ministerstwo przy al. Szucha, prezydent ograniczył swoje pole działania. A na dodatek rozczarował Kaczyńskiego, niemile zdziwionego, jak można odrzucać tak atrakcyjną propozycję.

Tym bardziej że Mateusz Morawiecki już zdradza ambicje prowadzenia polityki międzynarodowej i będzie mieć oparcie w dwóch „zawodowcach" – Jacku Czaputowiczu i Konradzie Szymańskim.

Pytanie: Czy prezydent i premier będą umieli koordynować swoje działania? Na razie między Andrzejem Dudą a szefem rządu – mimo przynależności do tej

eprasa.pl d5eabde7d4

samej generacji – nie widać specjalnej chemii.

3. MATEUSZ MORAWIECKI

Uznawany za wielkiego wygranego obecnego rozdania. Wreszcie ma to, na czego brak narzekał za rządów Beaty Szydło – pełnię władzy nad gospodarką.

Elektorat go zaakceptował. W ostatnim sondażu popularności uzyskał wynik równy z prezydentem Dudą – 46,7 proc., wyraźnie wyprzedzając Beatę Szydło z wynikiem 40,9 proc. I wykazuje polityczną zręczność, o którą niewielu go posądzało.

Trafnie wskazuje politolog Jarosław Flis: – Morawiecki zaczyna jak wytrawny polityk – jednocześnie zabezpiecza dobre samopoczucie Kaczyńskiego i możliwość własnej realizacji celów.

Co więcej, nowy premier może mieć świadomość, że jest dobrym zabezpieczeniem dla PiS na wypadek ewentualnego powrotu Donalda Tuska do kraju.

Na tle Morawieckiego były lider Platformy nie błyszczy specjalnie ani światowością, ani dawnymi sukcesami z epoki „zielonej wyspy". Jak mówi jeden z polityków PiS: – Tusk jest ostrożny. Wróci na białym koniu, by połączyć opozycję tylko wtedy, gdy będzie pewny, że ma 70 proc. szans na sukces. Im silniejszy będzie Morawiecki, tym mocniej Donald będzie się zastanawiać, czy ryzykować nieudany come back.

Morawiecki jednak już samą swoją osobowością narzuca pewien nowy styl. O ile politycy PiS lubili podkreślać swe lekceważenie dla kanonów politycznej poprawności – o tyle nowy szef rządu nie ma problemów z szybkim tweetem: „Nie ma miejsca na rasizm w Polsce. Atak na dziewczynkę z powodu koloru jej skóry jest godny najwyższego potępienia". Pamiętał o osobnych telewizyjnych życzeniach na Boże Narodzenie kościołów wschodnich.

I bez problemu zorganizował coś, na co Beata Szydło nie miała zbytniej ochoty – spotkanie premiera z dziennikarzami zachodnimi akredytowanymi w Polsce. Budowaniu wizerunku na Zachodzie ma służyć też profesjonalnie rozbudowywany zespół public relations jego rządu. Morawiecki dostał wiele szans. Teraz – według nawyków z biznesu – metodycznie szykuje się do ich wykorzystywania.

4. KONIEC STAREGO ŚWIATA

„To może być początek nowego PiS-u" – pisze o rekonstrukcji Piotr Zaremba, nie kryjąc, że kibicuje takiej zmianie.

Swoje zadowolenie demonstruje też szef Nowej Konfederacji Bartłomiej Radziejewski: „Najważniejsze pytania na najbliższe miesiące? Po pierwsze, czy będzie to tylko lifting, czy dobra zmiana w fatalnej dotąd polityce zagranicznej i bardzo kiepskiej obronnej? Po drugie, czy ruch w stronę politycznego centrum będzie trwały, a jeśli tak, to czy przyniesie coś konkretnego, jakąś poprawę w stosunku do klasy średniej, do instytucji?".

Nieprzypadkowo zwrot Morawieckiego przyjęli dobrze ci publicyści, którzy, jak Zaremba, bronili weta prezydenta z lipca i którzy, jak publicyści NK, zachęcają do kompromisu z Niemcami i Unią. Jednak jest też w tym głos nowego pokolenia z okolic np. Klubu Jagiellońskiego, dla którego zakochany w myśliwskich rytuałach Jan Szyszko czy dający się podejść „Bildowi" w prasowym wywiadzie minister Witold Waszczykowski to postacie z jakiejś odległej planety.

Najwięcej wygrała frakcja ludzi Morawieckiego, która od dawna utrzymuje sojusz taktyczny z Porozumieniem Jarosława Gowina

Prawdą jest, że rekonstrukcja wpłynęła na równowagę wpływów we frakcjach Zjednoczonej Prawicy.

Najwięcej wygrała frakcja ludzi Morawieckiego, która od dawna utrzymuje sojusz taktyczny z Porozumieniem Jarosława Gowina. Osłabła pozycja Solidarnej Polski; jej lider Zbigniew Ziobro ma w rządzie już tylko Beatę Kempę, która zająć ma się pomocą dla uchodźców na miejscu, w krajach Bliskiego Wschodu. W rządzie pamięta się, że Morawiecki i Ziobro zderzyli się jakiś czas temu w sporze o miejsca w radzie nadzorczej PZU. Tamte animozje mogą rzucać się cieniem na obecne relacje premiera z ministrem sprawiedliwości. Ziobro znajduje się jednak pod osobistym parasolem Kaczyńskiego z racji wagi, jaką szef PiS przypisuje reformie sądów. Formalnie wciąż mocny jest zakon PC – Mariusz Błaszczak, Joachim Brudziński, Mariusz Kamiński i Marek Suski jako szef gabinetu premiera.

Jednak standardy narzucane przez frakcję premierowską są bardzo szykowne i europejskie. Palatyni prezesa mogą coraz mniej pasować do świata, w którym na pierwszy plan wysuwają się Jadwiga Emilewicz czy Jacek Czaputowicz.

Jeśli wcześniej wszystko zależało od dotarcia do ucha prezesa, to wzmacnianie się roli Morawieckiego jest kłopotliwym dysonansem. Jeden z polityków zakonu PC mówi: – Jeśli twarzą sukcesu PiS w wyborach samorządowych i sejmowych będzie Morawiecki, to wtedy wysunie się w naturalny sposób na następcę Kaczyńskiego.

Zaniepokojeni są też konserwatywni politycy dbający o dobre relacje z Radiem Maryja.

Ci obawiają się, że zmiany w rządzie i dominacja podejścia „co o tym pomyśli Zachód" zmieni PiS. I to, co miało być tylko taktyką na najbliższe wyborcze lata – może doprowadzić do metamorfozy partii. „Ryzykowna zmiana" – taki tytuł nosił tekst o rekonstrukcji w „Naszym Dzienniku". Jeden z byłych polityków ZChN w klubie PiS wskazuje: – W CDU też kiedyś puszczano oko, że trzeba wykonać pewne gesty wobec centrum, ale przesuwano się mimowolnie na lewo, bo generacja '68 przepychała wciąż centrum w kierunku tzw. postępu.

Jednak obok nadziei jednych i obaw drugich, mimo lęków o marginalizację Antoniego Macierewicza i nadziei na zwrot ku klasie średniej – jedno uczucie jest bezcenne dla wyborców PiS. Poczucie wiatru w żaglach i zabierania pola opozycji – partiom, które przy okazji projektu „Ratujmy kobiety" zaplątały się w Sejmie we własne nogi, gdy „Gazeta Wyborcza" pisze, że „opozycja się doigrała, a PiS idzie ją zjeść". Na wyciszenie sporów na prawicy już wpłynęła hałaśliwa taktyka opozycji cieszenia się na wojnę domową wewnątrz prawicy. To – jak zawsze – zachęca do zwarcia szeregów wokół Jarosława Kaczyńskiego. Na smoleńskiej miesięcznicy 10 stycznia lider PiS apelował: „Ufajcie, że idziemy w dobrym kierunku".

Zdecydowana większość po prawej ufa. I to jest prawdziwa tajemnica sukcesów samotnika z Nowogrodzkiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

Z Tomaszem Sakiewiczem, redaktorem naczelnym „Gazety Polskiej"
rozmawia Maciej Pieczyński

Lewy styczniowy?

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Na Dudę już nie zagłosuję. Sprawa odwołania ministra Macierewicza jest oczywista. Andrzej Duda dopiął swego. Wyszantażował tę dymisję, a ja obiecałem, że w takiej sytuacji na niego nie zagłosuję. I tej obietnicy dotrzymam" – tak skomentował pan dymisję Macierewicza. Dlaczego nie obwinia pan Morawieckiego i Kaczyńskiego? Premier i prezes PiS nie mieli nic wspólnego z tą decyzją?

TOMASZ SAKIEWICZ: Formalnie wniosek o dymisję Macierewicza musiał złożyć premier. Wiem jednak od ludzi z otoczenia Morawieckiego, że nie byli szczęśliwi z powodu tej decyzji. Po prostu premier musiał poświęcić Macierewicza, żeby ułożyć sobie współpracę z prezydentem. Dochodziły do mnie takie sygnały – nie wiem, na ile prawdziwe – że Andrzej Duda postawił Morawieckiemu i Kaczyńskiemu ultimatum. Do tego stopnia prezydent upierał się przy dymisji, że zagroził, iż nie podpisze żadnej nominacji ministerialnej, jeżeli Macierewicz pozostanie na stanowisku.

Dziwi się pan? Przecież Duda i Macierewicz byli mocno skonfliktowani...

Trzeba pamiętać, że prezydent postawił konkretny warunek pozostania Macierewicza w rządzie. Tym warunkiem było wyjaśnienie i zakończenie sprawy gen. Kraszewskiego. Warunek ten został spełniony. Prezydent w rozmowie ze mną zapewnił, że jeżeli pojawią się wobec Kraszewskiego zarzuty, do których będzie mógł się ustosunkować, to uzna sprawę za załatwioną. Zarzuty się pojawiły. Są bardzo poważne. Generał Kraszewski ma wszelkie możliwości, by się do nich odnieść. Więc w czym rzecz? Tutaj chodzi o polityczne ambicje Andrzeja Dudy. On walczy o władzę, która się z mocy konstytucji prezydentowi nie należy. Gdyby chodziło o jakiekolwiek inne ministerstwo, można by było machnąć ręką i powiedzieć: „No trudno, to jest polityka". Natomiast w tle mamy kwestię najważniejszą przynajmniej z punktu widzenia twardego elektoratu PiS, czyli sprawę Smoleńska. Prezydent zaryzykował, że wyjaśnianie przyczyn tej tragedii nie będzie kontynuowane. Sam nic nie zrobił dla prawdy o tym, co się wydarzyło 10 kwietnia. A przecież był beneficjentem sprawy smoleńskiej. Byłby politykiem kompletnie nierozpoznawalnym, gdyby nie to, że wystąpił w filmie „Mgła". Wcześniej nikt go nie znał. Zaistniał dzięki temu, że 5 mln widzów zobaczyło jego twarz w dokumencie poświęconym tragedii smoleńskiej.

Jednak w kampanii prezydenckiej Andrzej Duda nie epatował Smoleńskiem. Nie obiecywał wyjaśniania katastrofy. Swojego zwycięstwa nie zawdzięcza więc tematyce smoleńskiej.

Andrzeja Dudę wybrali ludzie, którzy wierzyli w to, że sprawa smoleńska jest kluczowa i trzeba ją wyjaśnić. Rozumieli też, dlaczego kandydat PiS na prezydenta nie epatuje tą tematyką – dlatego, że próbuje zdobyć tych parę procent elektoratu środka. Jednak oprócz elektoratu środka jest jeszcze parędziesiąt procent wyborców, dla których sprawa Smoleńska jest niezwykle istotna. Bez wyjaśnienia przyczyn tragedii 10 kwietnia nikt nie będzie na serio traktował naszego kraju. Stawką jest tutaj nie tylko honor, lecz także niepodległość Polski.

Czy myśli pan, że po dymisji Macierewicza PiS już nie będzie się zajmował sprawą smoleńską?

Nie sądzę. Myślę, że minister Błaszczak zrobi wszystko, żeby tę sprawę wyjaśnić...

Jest jeszcze komisja smoleńska...

Zobaczymy, co się stanie z tą komisją. Ja uważam ministra Błaszczaka za uczciwego i kompetentnego człowieka. Poza tym jego nominacja zapewne spowoduje, że zwiększą się wpływy Jarosława Kaczyńskiego w MON. Jenak to nie zmienia faktu, że Andrzej Duda, naciskając na dymisję Macierewicza, nie przejmował się tym, jakie to będzie miało konsekwencje dla wyjaśniania przyczyn tragedii smoleńskiej. Poza tym gdzie jest aktywność prezydenta w sprawie Smoleńska na arenie międzynarodowej?! Nawet nie próbuje rozliczyć Trumpa z danej przez niego obietnicy pomocy w wyjaśnieniu przyczyn. Nie widzę, żeby Andrzej Duda robił cokolwiek, by umiędzynarodowić sprawę smoleńską.

Sądzi pan, że Mariusz Błaszczak poradzi sobie w MON, że zdobędzie autorytet u generałów?

Żeby nowy minister poradził sobie z generałami, muszą być spełnione trzy warunki. Po pierwsze – kompetencje. Tutaj myślę, że może nie być najgorzej. Wprawdzie Mariusz Błaszczak nigdy wcześniej nie miał do czynienia z obroną narodową, ale kierował pokrewnym resortem siłowym. Ma też spore doświadczenie pracy w rządzie. Po drugie – trzeba mieć autorytet. Tutaj będzie trudno, bo Macierewicz już zdążył sobie na ten autorytet zapracować... W wojsku najważniejsze jest to, by posługiwać się odpowiednim językiem, kompetentnie zarządzać ludźmi, pokazać im pewną wizję. Z tym Macierewicz sobie poradził. Nie wiadomo, jak będzie z Błaszczakiem. Po trzecie – żeby MON sprawnie funkcjonował, potrzebna jest ścisła współpraca wszystkich ośrodków władzy zajmujących się wojskiem. Prezydent zarzucał ministrowi Macierewiczowi brak chęci do współpracy, ale wydaje mi się, że to jednak Andrzej Duda torpedował działania szefa MON. Przykładem było choćby blokowanie nominacji generalskich. Być może teraz ten problem zniknie. Może nawet Andrzej Duda zatwierdzi te same nominacje, których chciał Macierewicz, tyle że formalnie zaproponowane przez Błaszczaka...

eprasa.pl d5eabde7d4

No właśnie, może dymisja Macierewicza spowoduje, że udrożni się współpraca między MON a Pałacem Prezydenckim.

Tak, to byłby duży plus tej sytuacji. Trzeba jednak pamiętać, że to, co zrobił Andrzej Duda, było policzkiem dla bardzo wielu zwykłych wyborców PiS. W chwili, gdy rozmawiamy, mijają dopiero trzy godziny od ogłoszenia dymisji Macierewicza, a ja już odebrałem setki telefonów. Dzwonią do mnie zrozpaczeni działacze Klubów „Gazety Polskiej". Mówią o zdradzie, to, co się zdarzyło, nazywają „lewym styczniowym". Dymisja Macierewicza potwornie zaszkodzi też rządowi Morawieckiego. Premier stał się ofiarą tej decyzji. Chcąc mieć szybko zaprzysiężony gabinet, chcąc mieć współpracę z prezydentem, tak naprawdę zgodził się na dyktat prezydenta. Nie pomoże mu to na starcie. Na pewno będzie mu przez to trudniej zdobyć sympatię twardego elektoratu PiS.

A gdzie w tej układance jest miejsce dla Kaczyńskiego? Czy prezes PiS nie potrafił złamać oporu prezydenta? A może po prostu nie chciał? Może prawdą jest, że namaścił Morawieckiego na swojego następcę i to jemu pozostawił decyzję?

Oczywiście bez zgody Kaczyńskiego do tej dymisji by nie doszło. Nie wierzę w to, że Morawiecki zupełnie samodzielnie postanowił odwołać Macierewicza. Trzeba jednak pamiętać, w jakiej sytuacji znalazł się PiS. Wiele wskazuje na to, że szantaż Dudy dotyczył również ustaw o sądach. Mógł zagrozić, że ich nie podpisze, mimo że w znacznej mierze zawierały one prezydenckie poprawki. W tle były nominacje prezydenckie, których brak też zaszkodziłby rządzącym. Kaczyński znalazł się pod wielką presją. Nie potrafię powiedzieć, na ile była to jego decyzja, a na ile dał wolną rękę Morawieckiemu. Z drugiej strony – gdyby było tak, że wszystkie decyzje zatwierdza prezes bez udziału premiera, to byśmy wrócili do sytuacji z Szydło, kiedy to główny ośrodek zarządzania znajdował się przy Nowogrodzkiej. Pewnie więc Kaczyński dał na początek jakieś większe uprawnienia Morawieckiemu. Z kolei Morawiecki niewiele mógł zrobić wobec szantażu Dudy.

Tuż po dymisji pojawiły się pogłoski, że Macierewicz zostanie marszałkiem Sejmu. Rzeczniczka PiS zaprzeczyła, by zapadła taka decyzja. W chwili, gdy rozmawiamy, wygląda na to, że Macierewicz nie dostanie żadnego eksponowanego stanowiska...

Nie wiemy, czy dostanie, czy pozostanie szeregowym posłem. W kuluarach słyszałem jednak z bardzo poważnych ust, że rzeczywiście pojawił się pomysł, by Macierewicz zasiadł na fotelu marszałka...

Czy więc Jarosław Kaczyński zrekompensuje Macierewiczowi tę dymisję?

Bardzo żałuję Antoniego Macierewicza. Ze wszystkich polityków jego znam najdłużej. Najistotniejsze nie jest jednak to, czy się kogoś personalnie skrzywdziło czy nie, bo polityk musi mieć grubą skórę. PiS musi jakoś tę decyzję wytłumaczyć swojemu twardemu elektoratowi. To jest bardzo ważne nie tylko dla elektoratu, lecz także dla samej partii. Bo bez najwierniejszych zwolenników PiS nie ma PiS. Złudna jest wiara w to, że można odciąć się od twardego elektoratu, nie przejmować się i dalej iść do przodu. Twardy elektorat jest jak magnes, który przyciąga pozostałych zwolenników. Wokół tego jądra dopiero tworzy się siła formacji. PiS musi dla tych ludzi opracować przekonują narrację.

Dymisja Szydło też była niemiłym zaskoczeniem dla najwierniejszych zwolenników PiS. Jednak mimo początkowych pomruków niezadowolenia ze strony „betonu" ostatecznie partia nawet zyskała w sondażach. Teraz może być podobnie.

Dymisja Szydło była podparta awansem popularnego także w twardym elektoracie Morawieckiego. To była decyzja Kaczyńskiego w pełni poparta przez Dudę. Nawet Szydło nie sprawiała wrażenia, jakby coś jej się nie podobało. Przyjęła przecież funkcję wicepremiera. Dymisja Macierewicza to co innego...

– Bez wyjaśnienia przyczyn tragedii 10 kwietnia nikt nie będzie na serio traktował naszego kraju – mówi Tomasz Sakiewicz. Na zdjęciu: na pikiecie Solidarnych 2010 przed siedzibą TVP w 2012 r. FOT. KRZYSZTOF WÓJCIK/FORUM

Były już szef MON ma wielu oddanych zwolenników, którzy głosują nie tyle na PiS, ile właśnie na Macierewicza i Smoleńsk. Wielu zapewne wskoczyłoby za nim w ogień. Czy PiS może się obawiać, że urażony Macierewicz odejdzie i stworzy własną formację, odbierając partii Kaczyńskiego jego elektorat?

Antoni Macierewicz już kilka razy próbował budować własną siłę polityczną. Bezskutecznie. Wie, że taki scenariusz nie miałby sensu...

Dlatego że Macierewicz nie ma zdolności organizacyjnych?

Żadna partia, niezależnie od zdolności organizacyjnych swojego lidera, nie wygra z partią Kaczyńskiego. PiS grozi inne niebezpieczeństwo. Trzonem kampanii

eprasa.pl d5eabde7d4

wyborczych byli aktywiści z różnych ruchów społecznych, w tym z Klubów „Gazety Polskiej". Wiem, że ci ludzie już na pewno nic nie zrobią dla Andrzeja Dudy. To akurat oczywiste.

„Gazeta Polska" odmówi poparcia Jarosławowi Kaczyńskiemu?!

Redakcja i kluby to są jednak dwie różne rzeczy. Problemy mogą pojawić się w terenie. W czasie kampanii wyborczej

ktoś przecież musi wyjść na ulice, rozklejać plakaty, rozdawać ulotki, przychodzić na spotkania z politykami PiS… Do tej pory robili to m.in. klubowicze „Gazety Polskiej". Teraz mogą nie mieć do tego wystarczającej motywacji. Bardzo łatwo człowieka zniechęcić. Dymisja Macierewicza może zdemobilizować najważniejszych dla PiS aktywistów… Trzeba jednak pamiętać, że Kaczyński jest wciąż najbardziej popularnym politykiem w Klubach „Gazety Polskiej".

Czy jest możliwe, że pójdą gdzie indziej zagłosują na kogo innego?

Nie muszą do nikogo iść. Proszę pamiętać, że największą partią w Polsce jest partia niegłosujących. Jeżeli klubowicze „Gazety Polskiej" zbojkotują wybory, będzie to dla PiS poważny problem. Znam tych ludzi i wiem, że każdy błąd bardzo dużo kosztuje, wiem, jak trudno buduje się ich zaufanie i jak łatwo je stracić.

Skoro klubowicze „Gazety Polskiej" tak bardzo żałują Macierewicza, to na ich bazie mógłby on stworzyć nową formację. Chociażby po to, by zaszkodzić PiS…

Nie wierzę w taki scenariusz. Może 10–20 lat temu tak by się stało, ale nie dzisiaj. Macierewicz nie znalazłby zresztą wielu chętnych polityków do nowego projektu. Co innego, gdyby się okazało, że sprawa smoleńska kompletnie utknęła. Wówczas byłoby bardzo potrzebne zaplecze polityczne do walki o prawdę. Nie wierzę jednak, by Kaczyński pozwolił na zatuszowanie tej sprawy. Zarówno ze względów honorowych, jak i osobistych musi dojść do prawdy o Smoleńsku. A do tego będzie musiał wykorzystać ludzi Macierewicza. Ktoś przecież będzie musiał nadzorować śledztwo smoleńskie…

To jaka będzie pańskim zdaniem przyszłość Antoniego Macierewicza?

Dla PiS rozsądne będzie, żeby znaleźć jakieś miejsce dla niego. Powtarzam: najważniejsze, by Macierewicz dokończył śledztwo smoleńskie. Jarosław Kaczyński powinien znaleźć formułę, w której byłoby to możliwe. Oczywiście może sprawę przekazać komu innemu, ale teraz wątpię, czy liczący na wyjaśnienie tragedii 10 kwietnia twardy elektorat uwierzy komukolwiek poza Macierewiczem – po ośmiu latach prowadzonego przez niego śledztwa.

A może rekonstrukcja to tylko gra o centrum przed wyborami samorządowymi?

Gdyby tak było, należałoby to inaczej rozegrać. Przede wszystkim rzeczywiście porozumieć się z Macierewiczem i od razu zaproponować mu inną funkcję.

Chyba że władzę w PiS przejmuje ciążący ku centrum triumwirat Morawiecki-Duda-Gowin namaszczony przez Kaczyńskiego.

Duda stał się teraz tak niepopularny w elektoracie PiS, że jeśli Morawiecki chce myśleć o przejęciu władzy w tej partii, to będzie musiał się od prezydenta zdystansować. Duda też miał już szansę na to, by zapracować na schedę po Kaczyńskim. Po dwóch kadencjach prezydenckich mógłby stać się prawdziwym liderem tej formacji. Okazał się jednak wielkim rozczarowaniem. I to z wielu różnych powodów. Macierewicz jest tylko jednym z nich… Tak naprawdę Dudzie brakuje jakiejkolwiek spójnej wizji politycznej.

Pańska zastępczyni – Katarzyna Gójska-Hejke – stwierdziła, że Duda „stanął tam, gdzie stało ZOMO". Nie za ostro?

Gdyby jeszcze za decyzjami Dudy stały jakieś ważkie projekty polityczne, wielkie racje… Jednak przepraszam, czy dla gen. Kraszewskiego warto wypowiadać wojnę własnemu elektoratowi? Duda popełnił błąd wynikający z braku doświadczenia, ale także z nadmiernych emocji… Widzieliśmy te emocje, gdy na ulicy krzyczał coś o „ubeckich metodach" Macierewicza. To nie jest poważna polityka.

Czy jest możliwe, że PiS nie poprze reelekcji Dudy?

Jest to możliwe, choć na razie nie ma o tym mowy. Kaczyński potrafi jednak dostosować się do sytuacji. Z pewnością poprze takiego kandydata, który – po pierwsze – zagwarantuje realizację choćby części programu, a po drugie – będzie miał szansę wygrać.

> **To, co zrobił Andrzej Duda, było policzkiem dla bardzo wielu wyborców PiS. Dzwonią do mnie zrozpaczeni działacze Klubów „Gazety Polskiej"**

Szanse Andrzeja Dudy na wyborcze zwycięstwo gwałtownie spadły. Dzisiaj ma w sondażach poparcie części wyborców PO czy Nowoczesnej, ale kiedy te partie wystawią swojego kandydata, Duda straci centrum. Poza tym sondażowe poparcie czasem topnieje błyskawicznie, o czym przekonał się przecież Komorowski…

To kto, jeśli nie Duda? Szydło?

Beata Szydło miałaby dziś większe szanse na zwycięstwo w wyborach prezydenckich. Obiecałem, że jeśli Macierewicz zostanie zdymisjonowany, to nie zagłosuję na Dudę. A ja w odróżnieniu od pana prezydenta obietnic dotrzymuję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

Nocna zmiana bis

Rafał A. Ziemkiewicz

Zdrada, działanie służb, druga „nocna zmiana" – wyznawcy Macierewicza są wstrząśnięci dymisją szefa MON, a w roli winnego postawili prezydenta Andrzeja Dudę

Zwolennikom Antoniego Macierewicza wystarczyło kilka pierwszych godzin po ogłoszeniu jego dymisji, by zbudować spójną narrację. Pojawiła się ona natychmiast w wypowiedziach publicystów związanych z „Gazetą Polską" w TVP Info, na jej stronach internetowych, w mediach społecznościowych. Narracja ta mocno akcentuje, że jeszcze w przeddzień ogłoszenia rekonstrukcji rządu, w czwartek 8 stycznia, pozycja ministra obrony narodowej była (jakoby) dla wszystkich oczywista i zdradziecki cios został zadany z zaskoczenia, w ostatniej chwili.

To ważny element, symbolicznie nawiązujący do mitu „nocnej zmiany", czyli obalenia w 1992 r. rządu Jana Olszewskiego przez zagrożone siły SB i jej byłych konfidentów. Tak samo jest z pozostałymi elementami narracji: „złogi" WSI skupione w BBN, wokół prezydenta Dudy, on sam w roli Wałęsy, czyli zdrajca, który wcześniej brany był za swego i dopiero teraz „spadła mu maska"... Jest tu jednak jeden słaby punkt. Dopóki Antoni Macierewicz nie ogłosi, że odchodzi z PiS i nie zdeprecjonuje publicznie tej formacji tak, jak czynił to kiedyś z ROP czy ZChN, jako przegniłej, skorumpowanej i wyprzedającej Sprawę, ostrze tej opowieści nie może zostać skierowane przeciwko Jarosławowi Kaczyńskiemu.

JEDNA DRUŻYNA

Wyznawcy Macierewicza – związek emocjonalny między bohaterem a jego

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. ANDRZEJ WIKTOR/FORUM

stronnictwem jest tak silny, że to słowo jest uprawnione – w roli szwarccharakteru obsadzili więc prezydenta Dudę. To on miał w ostatniej chwili „zaszantażować" i „wymusić". Pozwala to utrzymać gniew wyznawców Macierewicza w ryzach, w dotychczasowej logice walki partyjnych frakcji, w których przeciwnikami mogą być Duda, Morawiecki, Ziobro czy Gowin, ale Kaczyński – Komendant – jest stojącym ponad nimi wszystkimi arbitrem i to właśnie o jego życzliwość toczy się walka. To ratuje narrację, ale zarazem ją niszczy, bo przecież nikt nie ma wątpliwości, że prezydent mógł co najwyżej na dymisję nalegać, ale to nie on podjął ostateczną decyzję. Co więcej, następcą Macierewicza w resorcie został polityk bardzo bliski i wierny Komendantowi. Jakkolwiek by kombinować i kręcić frazami, wychodzi na to, że to sam Komendant stał się wskutek „szantażu" prezydenta i propagandowej nagonki „Gazety Wyborczej" i Tomasza Piątka narzędziem w rękach WSI. Żelazny elektorat tego nie kupi.

Dlatego narracja „drugiej nocnej zmiany" na razie nie stanie się zarzewiem buntu wewnątrz PiS. A gdyby nawet Antoni Macierewicz zdecydował się taki bunt podnieść (co nieprawdopodobne), nie pociągnie za sobą w tej chwili znaczącej grupy. Już widać, że po pierwszych bardzo żywiołowych reakcjach środowiska „Gazety Polskiej" hasło „murem za Antonim" zaczęło ustępować miejsca tonującym

eprasa.pl d5eabde7d4

„źle się stało, ale musimy być jedną drużyną, idziemy dalej, zwyciężamy".

Narracja „jednej drużyny" jest bardzo zręczna. Daje Macierewiczowi możliwość podporządkowania się decyzji Kaczyńskiego i jednoczesnego zachowania twarzy – to wszystko prawda, może powiedzieć swym wyznawcom, ale ustępuję dla wspólnego dobra, a wy trwajcie z bronią u nogi. A zarazem polityczna skuteczność zbiega się w niej z rzeczywistością, ponieważ można decyzję o odsunięciu Macierewicza interpretować różnie, wskazywać konkretne przesłanki i powody – spór z prezydentem, konflikty w resorcie i merytoryczne zastrzeżenia do różnych decyzji podjętych przez Ministra Obrony Narodowej – ale w oczach Jarosława Kaczyńskiego zadecydować musiało właśnie kryterium, którego wyrazem stało się słowo klucz „jedna drużyna". Mówiąc krótko: Antoni zrobił swoje, Antoni musi odejść. Brzmi to cynicznie i brutalnie, ale taka właśnie jest polityka.

TARAN PREZESA

Macierewicz uosabia bowiem wszystkie zalety i wady „bohaterów podziemia", potrzebne w walce z totalitaryzmem i szkodliwe w demokracji. Niezłomność, upór, niespożytą energię i oddanie idei łączy z całkowitą odpornością na realia i argumenty. Sławomir Jastrzębowski w pisanym na bieżąco komentarzu podsumował byłego ministra obrony jako człowieka, który zawsze wie, jak jest i jak było, i żadne argumenty go nie obchodzą: „Albo mi służysz, albo jesteś moim wrogiem". To celny opis, z jedną poprawką – Macierewicz wie nie tyle, jak jest, bo to go mało obchodzi, ile „jak powinno być". Nie zajmuje się odczytywaniem rzeczywistości, ale nakładaniem na nią takiej narracji, która niesie ze sobą odpowiednie emocje i odpowiednio „ustawia" podział polityczny jako zasadniczy podział między Dobrem i Złem. Przy czym Macierewicz zawsze stara się być właścicielem i dysponentem narracji najbardziej radykalnej, najdalej idącej, co wszystkich innych uczestników gry czyni w oczach jego wyznawców albo zdrajcami, albo mięczakami. Doskonałym przykładem tej metody funkcjonowania w polityce jest to, co zrobił Macierewicz z tragedią w Smoleńsku, od pierwszej chwili budując narrację zamachu, konsekwentnie zmieniając badanie katastrofy w gromadzenie przesłanek uprawdopodabniających „wybuchy w powietrzu" i jednocześnie ustawiając się na pozycji jedynego sprawiedliwego, niezłomnie dążącego ku wskazanej przez siebie prawdzie.

Takie cechy polityka, który niegdyś zakładał KOR, czynią z niego tyleż atut, co i problem PiS. Z jednej strony, był w stanie jako minister zneutralizować cwanych, okopanych aparatczyków, czego symbolem było wejście „na rympał" do Centrum Eksperckiego NATO. Z drugiej, trudno tolerować w rządowym zespole człowieka kierującego się wyłącznie własną, radykalnie formułowaną narracją, demonstracyjnie wymawiającego posłuszeństwo konstytucyjnemu zwierzchnictwu i zaskakującego swą formację niedopuszczalnymi na takim szczeblu deklaracjami w rodzaju: „Rosja prowadzi przeciwko Polsce wojnę hybrydową" albo „Polska jest gwarantem integralności terytorialnej Ukrainy".

Jarosław Kaczyński znalazł sposób na niesforną naturę Macierewicza. Postanowił używać go jako swego rodzaju tarana, jako człowieka demolki do burzenia wrogich struktur, przełamywania oporu. Jednak gdy już Macierewicz swą niszczycielską misję wykona, Komendant wycofuje go i zastępuje kimś, kto pozostawione przez niego zgliszcza zagospodaruje, zaoferuje rozproszonym siłom rozejm i przywróci rozbitym instytucjom zdolność działania.

Narracja „jednej drużyny" jest bardzo zręczna. Daje Macierewiczowi możliwość podporządkowania się decyzji Kaczyńskiego i jednoczesnego zachowania twarzy

Właśnie tak posłużył się Macierewiczem w sprawie rozwiązania WSI – wtedy operacja z przyczyn obiektywnych nie została doprowadzona do końca, ale utajnienie i publiczne zdeprecjonowanie przez śp. Lecha Kaczyńskiego „Aneksu" (m.in. w wywiadzie rzece przeprowadzonym z nim przez Łukasza Warzechę, notabene autoryzowanym do druku już przez brata) pozwala stwierdzić to jednoznacznie. I taki też jest sens obecnej dymisji. Szkoda miejsca na powtarzanie tego, co zauważają wszyscy komentatorzy, że w ten sposób pozbywa się Kaczyński gorszącego sporu na zapleczu, że zabiera „totalnej opozycji" wygodny dla niej cel ataków. „Dobro drużyny", rozumiane jako zdobycie w następnych wyborach większości konstytucyjnej, ponad wszystko. Wzmożonym, którzy oskarżają Kaczyńskiego (choć mówią: prezydent), że „stanął tam, gdzie stało ZOMO", czy nawet rzucają nadanymi przez Andrzeja Dudę orderami, warto przypomnieć, że PiS swą historyczną szansę zawdzięcza faktowi, iż sam Kaczyński potrafił w odpowiednim momencie powściągnąć osobiste ambicje i oddać miejsca w pierwszym szeregu Andrzejowi Dudzie i Beacie Szydło. Wymaganie tego samego od Antoniego Macierewicza nie mieści się w głowach tym, którzy rozumują w kategoriach „jedynej prawdy", lecz w logice polityki demokratycznej i skuteczności w jej uprawianiu – jak najbardziej.

Żywiołowe emocje, jakie wywołały w żelaznym elektoracie PiS „opowiedzenie się przez prezydenta po stronie ludzi WSI" i mocne słowa, jakie padły w mediach uważanych za PiS-owski hard core, pokazują, że decyzję o zmniejszeniu wpływów Macierewicza podjął Kaczyński być może w ostatnim momencie. Na razie nie zdołają one naruszyć jedności i karności w obozie władzy. Byłoby jednak naiwnością sądzić, że te emocje wygasną. Zostaną tylko schowane.

O WŁOS OD PRAWDY

Dymisja ma dla Macierewicza także dobre strony. Nie tylko pozwala na zbudowanie wokół niego mitu, w którym wskutek zdrady prezydenta przegrywa bitwę, ale nadal wiedzie swych zwolenników ku zwycięstwu w wojnie z „ludźmi WSI", lecz także zwalnia go z dotrzymania wielokrotnie składanych obietnic, zwłaszcza rozwiązuje problem nieznalezienia dowodów rzekomego zamachu w Smoleńsku (to znaczy – takich dowodów przedstawił dotąd Macierewicz multum, tylko wszystkie poszlakowe i nieprzekonujące, a na dodatek wzajemnie sprzeczne). Teraz można już mówić śmiało: porażająca prawda była o włos, tylko zdrada Dudy uniemożliwiła jej ujawnienie. Nie zwyciężymy, dopóki nie rozprawimy się z nim i innymi „złogami".

Tylko Jarosław Kaczyński zapewnia w tej sytuacji swej „drużynie" jedność. W chwili gdy go z jakichkolwiek powodów zabraknie, gotowa już narracja radykałów zostanie wydobyta z hibernacji i użyta do bezlitosnej walki o sukcesję.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

SZOKUJĄCE DOKUMENTY!

UJAWNIAMY, CO NAPRAWDĘ WYDARZYŁO SIĘ W BIRCZY

Piotr Zychowicz – **Polacy, Żydzi, Holokaust**
Tomasz Stańczyk – **Krótsza lista Sendlerowej**
Peter Godwin – **Krwawe zbrodnie Mugabe**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Watykan przeciwko Polsce**
Sławomir Koper – **Kochanki Stanisława Augusta**
Marian Zacharski – **Sowiecki agent 007**
Marcin Bartnicki – **Polskie żywe torpedy**
Sławomir Cenckiewicz – **Bolszewicy z Birczy**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl d5eabde7d4

Z Rebeccą Sommer, niemiecką działaczką organizacji zajmującej się pomocą uchodźcom
rozmawia Piotr Włoczyk

Niemcy uciekną do

PIOTR WŁOCZYK: Jeszcze nie tak dawno była pani gorącą orędowniczką niemieckiej polityki imigracyjnej, założyła pani nawet stowarzyszenie pomagające przybyszom z krajów muzułmańskich. Jak Polska powinna się zachować w tej kwestii wobec nacisków Brukseli?

REBECCA SOMMER: Odpowiem w ten sposób: znam Niemców, którzy wybierają się do Polski, ponieważ mają dość tego, co się u nas dzieje.

Niemcy uciekający do Polski? Proszę się nie obrazić, ale to brzmi po prostu nierealnie.

Znam takich ludzi. Jeżeli Polska i Węgry pozostaną przy swoim w tej kwestii, to możecie stać się krajami, do których uciekać będą niektórzy Niemcy czy Francuzi. Możecie wręcz zostać wyspami stabilności w Europie.

Ten opór ma jednak swoją cenę. Bruksela nie toleruje sprzeciwu wobec swojej polityki imigracyjnej.

Cóż, ten problem nie dotyczy tylko Brukseli. Również w Niemczech mamy siły, które chcą zdemolować ideę ludów z ich własną tożsamością, z ich własnymi państwami. Chcą stworzyć ujednolicone europaństwo ze społeczeństwem bez tożsamości. Wpychają nam ten projekt do gardeł, mimo że widać, jak niechętni są temu zwykli ludzie. Ja naprawdę kocham inne kultury, ale wszyscy musimy zachować autonomię i tożsamość. Szanujmy i cieszmy się naszymi różnorodnymi europejskimi kulturami.

Jeszcze w 2015 r. ta rozmowa wyglądałaby zupełnie inaczej. Jak przyjęła pani stanowisko Angeli Merkel wobec napływu mas przybyszów z krajów muzułmańskich?

Przyklasnęłam temu, pokochałam wtedy Merkel! Wtedy jeszcze chciałam pomóc każdemu i naprawdę wierzyłam, że wszyscy ci ludzie uciekali przed pie-

eprasa.pl d5eabde7d4

Protest uchodźców w Niemczech przeciw obozom przejściowym i deportowaniu ich z UE, grudzień 2017 r. FOT. ARMIN WEIGEL/DPA/PAP

was

kłem i byli w olbrzymiej potrzebie. Pomagałam imigrantom od dawna – jeszcze w 2012 r. założyłam grupę pomocową Arbeitsgruppe FLUCHT + MENSCHENRECHTE, w ramach której pomagaliśmy wszystkim przybyszom. Okazało się jednak, że byłam wtedy naiwna, tak samo jak wszyscy w Niemczech.

Kiedy to się zmieniło?

To był proces. Przełomowym wydarzeniem były sylwestrowe ataki w Kolonii. To było szokujące doświadczenie nie tylko dla mnie, lecz także generalnie dla Niemców. Nigdy czegoś takiego nie doświadczyliśmy w naszym kraju. Jako kobieta oraz działaczka praw człowieka byłam zszokowana doniesieniami o innych kobietach, które zostały zaatakowane przez tylu uchodźców, spośród których wielu było muzułmanami z północnej Afryki i Bliskiego Wschodu.

Media nie stanęły wtedy w obronie społeczeństwa, stały się częścią tego chorego systemu. Wtedy doszło do nas, jak wielki mamy problem z mediami i z naszymi politykami, którzy kontrolują przecież policję. Naciskana przez polityków policja, chcąc być „politycznie poprawna", bardzo niechętnie dzieliła się z opinią publiczną informacjami na temat tamtych zdarzeń.

I wtedy zaczęłam grzebać w pamięci, wracając do moich rozmów z wieloma uchodźcami – większość z nich była oczywiście młodymi mężczyznami. W moim przekonaniu większość z nich ma w głowach hidżaby, ponieważ dorastali w świecie islamu. W przeciwieństwie do muzułmańskich kobiet ich hidżabów nie widać, więc można je zaobserwować tylko podczas rozmów z nimi, gdy tłumaczą np., jaką rolę widzą dla kobiet. I to się kompletnie rozmija z naszą kulturą.

Pamiętajmy jednak, że nie wszyscy migranci z krajów muzułmańskich to ludzie wierzący.

Tak, ale w znakomitej większości mężczyźni ze świata muzułmańskiego, którzy nie wierzą, wydają się umiarkowani, chodzą modnie ubrani, jedzą wieprzowinę i odwiedzają dyskoteki, i tak mają światopogląd ukształtowany przez islam. To po prostu nie pasuje do naszego świata.

Przez te wszystkie lata poznałam bardzo wielu uchodźców. Spędzałam z nimi całe dnie. Nasze rozmowy zawsze kończyły się na ich religii – chcieli mnie przekonać, że ich religia jest najlepsza, i liczyli na to, że uda im się mnie nawrócić. Większość z nich naprawdę nie rozumie tego, że kobieta i mężczyzna są równi.

W 2015 r. mieliśmy w naszym stowarzyszeniu już ok. 300 wolontariuszy, chcieliśmy po prostu pomagać ludziom przybywającym do Niemiec. Nasz kraj był kompletnie nieprzygotowany, by pomagać uchodźcom. My, wolontariusze, dawaliśmy m.in. lekcje niemieckiego mieszkańcom każdego schroniska dla uchodźców w naszej dzielnicy we wschodnim Berlinie.

Ilu z nich było prawdziwymi uchodźcami?

Po wszystkim zrozumiałam, że bardzo wielu z nich nie przybyło do nas z terenów objętych wojną. Oni szukali po prostu lepszego życia. W innym przypadku zostaliby w Turcji, Libanie, Libii czy w każdym innym kraju, do którego trafili w pierwszej kolejności. Chcieli przyjechać do Niemiec, ponieważ wiedzieli, że mogą u nas liczyć na dużo więcej. Jednak nawet wtedy, przed sylwestrem w Kolonii, gdy jeszcze pomagałam wszystkim, kilka rzeczy nie dawało mi spokoju. Na przykład spotkałam kilku uchodźców, którzy odmawiali podawania mi ręki.

Przyjmowała to pani jednak „ze zrozumieniem"?

Tak, przed sylwestrem w Kolonii „rozumiałam" to i zachowywałam się tak samo jak reszta Niemców – „oni są inni i potrzebują trochę czasu, żeby się przystosować do naszych warunków".

Niestety, jesteśmy zawsze pełni szacunku wobec innych kultur, jednocześnie zapominając, że mamy też własną kulturę. Po „Kolonii" zaczęłam głośno oznajmiać, że nie będę tolerowała ludzi, którzy odmawiają mi podania ręki.

Zapewne wielu Niemców uznałoby pani zachowanie za przykład niebezpiecznej nietolerancji.

Prawdę mówiąc, mam to w nosie. Staram się po prostu bronić moich praw oraz mojej kultury. Przecież kiedy jadę do krajów muzułmańskich, to nie ubieram się tak jak u siebie w Niemczech. Szanuję ich kulturę, więc domagam się tego samego, gdy oni przybywają do Niemiec. Wychodzę z prostego założenia: jeżeli nie chcesz podać ręki kobiecie, to lepiej wracaj do kraju muzułmańskiego i tam szukaj azylu.

Dlaczego Niemcy tak słabo sygnalizują przybyszom, żeby ci przystosowali się do nowych warunków?

Słabo? Niemcy w ogóle nie wysyłają takiego sygnału. Mamy olbrzymi problem z lewicą i zielonymi. Oni mówią wprost: „Nie ma czegoś takiego jak niemiecka kultura" i przekonują do tego ludzi. Trzeba się przeciwstawiać takiemu myśleniu.

To, że ktoś pochodzi z Syrii, nie oznacza od razu, że dana osoba żyła w strefie wojennej. Jeszcze raz zapytam: Dlaczego ci uchodźcy nie zostaną w Turcji, Libanie, Jordanii, Iraku czy innym kraju muzułmańskim? W Turcji nie ma wojny, to

eprasa.pl d5eabde7d4

podobna kultura, to część ich muzułmańskiego świata, więc powinni oni się czuć tam lepiej niż w Niemczech.

Wchodzimy na bardzo grząski grunt. A przynajmniej tak to chyba jest odbierane w Niemczech.

Dla mnie to zwykłe pytanie, ale z jakichś względów nie można go zadawać w mojej ojczyźnie. Oczywiście uchodźcy mają u nas dużo lepsze szanse na przyszłość niż w Turcji. W Niemczech tacy ludzie mogą się wzbogacić, żyjąc z pomocy społecznej, nie muszą płacić za mieszkania i w związku z tym wielu z nich wysyła pieniądze swoim rodzinom w Turcji, Syrii czy Libanie. „Uchodźcy" z Bałkanów, którzy w żadnej mierze nie są uchodźcami, robią to samo: żyją u nas w schroniskach, oszczędzają pieniądze i budują domy w swoich krajach. Znam kilka takich przypadków.

Lewica i zieloni mają na ustach slogan: „Nikt nie jest nielegalny!". Tylko co to oznacza? Nawet przed „Kolonią" nigdy bym się pod czymś takim nie podpisała. Jeżeli wpuścimy do nas wszystkich biednych ludzi, to wszyscy razem pójdziemy na dno.

Żyje pani w demokracji, nikt pani nie broni demonstrować przeciw temu.

W Niemczech? To się staje powoli niemożliwe. Nasz minister sprawiedliwości Heiko Maas stworzył prawo, które ogranicza wolność wypowiedzi w Internecie. Pisanie o faktach w kontekście islamu grozi zablokowaniem. Podam panu przykład: chciałam nagłośnić przypadki, gdy tubylczą ludność Indonezji zmusza się do przyjęcia islamu. Nie mogę jednak tego robić, ponieważ jest to blokowane. To jest niebezpieczne, ponieważ inne kraje mogą pójść naszą drogą. W ten sposób atomizuje się społeczeństwo, utrudnia się skupianie ludziom wokół ważnych tematów i stawianie oporu złej polityce.

Nie chcę żyć w takim kraju. W tym roku doszło do tego, że nie wyszłam w Berlinie w sylwestra na miasto, ponieważ bałam się o swoje bezpieczeństwo. Nie chciałam wracać sama w nocy i znowu stać się ofiarą napaści.

Znowu?

Pięć razy zostałam zaatakowana w miejscach publicznych przez mężczyzn mówiących po arabsku. Raz uderzyli mnie w głowę butelką i wylądowałam na podłodze. Nikt mi nie pomógł. Ciężko liczyć na policję. Naprawdę żal mi dziś naszych policjantów, ponieważ politycy związali im ręce. Wiem to od trzech policjantów: kiedy uchodźca jest złapany na gorącym uczynku na kradzieży, mają z tym nic nie zrobić – takie dostali polecenie. Tylko jeżeli zdarzy się to kilkukrotnie, to mogą w końcu zareagować normalnie.

Zdaje pani sobie sprawę, jak trudno w to uwierzyć?

Ale to prawda. Po wydarzeniach z Kolonii nie powinno to być zbyt zaskakujące. Takie są dzisiejsze Niemcy.

Jesteście pragmatycznym narodem. Przecież gdyby było tak źle i byłoby to tak oczywiste, to wasz rząd zmieniłby stosunek do imigrantów.

Cóż, sytuacja jest naprawdę zła. Bardzo wielu Niemców patrzy na to krytycznie, ale boją się otworzyć usta. Wszystko przez nasz parlament. Kiedy politycy z AfD – nie jestem wielką fanką tej partii – chcą rozmawiać o faktach na temat uchodźców, inni politycy zaczynają się na nich wydzierać: „Hańba, hańba!". Nierzadko też ludzie, którzy nikogo nie obrażają, tylko mówią o ważnych faktach w tym kontekście, nazywani są rasistami!

Ja wciąż pomagam uchodźcom – tym prawdziwym, którzy potrzebują pomocy – więc kiedy ja chcę rozmawiać o imigracji, ludzie nie za bardzo mogą mnie nazwać rasistką. Mówią więc: „Ale przecież nie wszyscy są źli, rozmawiajmy o konkretnych przypadkach".

A nie tak powinna wyglądać dyskusja o tym złożonym problemie?

Ale ja przecież nie mówię, że wszyscy muzułmanie nam zagrażają, ponieważ znam wielu, którzy potrafią się dostosować. Myślę jednak, że fair będzie stwierdzenie, iż ogromna liczba tych, którzy przybyli do nas z wrogim nam w gruncie rzeczy światopoglądem, nigdy nie powinna zostać wpuszczona.

Przedstawiła pani bardzo niepokojący obraz współczesnych Niemiec. Jeżeli jest tak źle, to co będzie dalej?

Jeżeli widziałabym szansę na wyjście z tej trudnej sytuacji, to nie szukałabym właśnie innego miejsca do życia na starość... Obawiam się, że Niemcy obudzą się na dobre, jak będzie za późno. Już dziś polityczny islam jest obecny wszędzie w Niemczech – w naszej policji, w rządzie, w partiach politycznych, w szkołach.

Władze nie wprowadzają konkretnych limitów dla imigrantów, trwa proces łączenia rodzin. To oznacza, że setki tysięcy muzułmańskich imigrantów będą przybywać do nas każdego roku. Dodajmy jeszcze do tego tych wszystkich uchodźców, którzy żyją w innych europejskich krajach, ale myślą o przeprowadzce do Niemiec, gdzie mają już krewnych i gdzie są prawdziwe pieniądze!

Mimo wszystko nie przestała pani pomagać uchodźcom. Jak to teraz wygląda?

Od „Kolonii" lepiej przyglądam się tym, którym pomagam. Znam wielu uchodźców, którzy naprawdę powinni żyć w naszej świeckiej Europie: chrześcijan z Bliskiego Wschodu, ludzi, którzy porzucili islam i w związku z tym grozi im niebezpieczeństwo, dziennikarzy, którzy uciekli przed prześladowaniem. Nie chcę pomagać ludziom, którzy nie uciekają przed śmiercią lub prześladowaniem i przybywają do nas tylko po to, by żyć lepiej, równocześnie odrzucając nasze wartości.

W dyskusji o imigracji do Niemiec często można usłyszeć niegłupio brzmiący argument: Niemcy nie popełniają błędu Francji, która lata temu stłoczyła imigrantów z krajów muzułmańskich w gettach. Z kolei w Niemczech imigranci muzułmańscy rozlokowywani są wśród Niemców, więc nie grożą wam getta.

Czyżby? Mamy przecież w stolicy obszary zdominowane przez społeczność muzułmańską. Z kolei ci muzułmańscy imigranci, którzy nie żyją w Berlinie obok siebie w jednym miejscu – po części wynika to z faktu, że bardzo ciężko jest znaleźć mieszkanie w stolicy – tworzą równoległe społeczeństwo i większość z nich nie akceptuje, a nawet nie toleruje naszych wartości. Każdy, kto żyje w Berlinie i zajmuje się imigrantami, widzi ten problem. Wyjątkiem są ci, którzy po prostu nie chcą tego zobaczyć, ponieważ są wyznawcami ideologii i są ślepi oraz głusi na fakty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rebecca Sommer – niemiecka działaczka praw człowieka, twórczyni filmów dokumentalnych na temat ludów tubylczych, fotograf i dziennikarka. Jedna z liderek Arbeitsgruppe FLUCHT + MENSCHENRECHTE (AG F+M), organizacji zajmującej się pomocą uchodźcom.

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. WITOLD ROZBICKI/REPORTER

Bogaty jak prezydent

Marcin Makowski

Wśród prezydentów polskich miast nie brakuje milionerów. W roku wyborów samorządowych prześwietliliśmy ich majątki i źródła dochodów

Chociaż średnie wynagrodzenie na stanowisku prezydenta miasta to ok. 160 tys. zł brutto rocznie, to rekordziści przez lata sprawowania swoich urzędów dorobili się milionów. W ich oświadczeniach majątkowych za rok 2016 znajdują się kilkusetmetrowe domy, akcje największych spółek Skarbu Państwa, wynajmowane mieszkania, drogie auta, obligacje i – jak w przypadku Jacka Majchrowskiego czy Hanny Gronkiewicz-Waltz – również ordery, obrazy czy żaglówka. Zsumowany majątek pierwszej dziesiątki to prawie 33 mln zł.

Tworząc ten ranking, posiłkowałem się aktualnymi i zatwierdzonymi oświadczeniami majątkowymi, w sumowaniu majątku nie uwzględniałem zaciągniętych kredytów. W wielu przypadkach zweryfikowałem i poprawiłem błędy merytoryczne dostępne w podobnych zestawieniach w innych mediach.

1. JACEK MAJCHROWSKI – Kraków (ok. 8 mln zł)

Pierwsze miejsce wśród najbogatszych włodarzy miast przypada Jackowi Majchrowskiemu. Najdłużej zasiadający na stanowisku prezydent Krakowa

eprasa.pl d5eabde7d4

(nieprzerwanie od 2002 r.) zgromadził ponad 8 mln zł majątku. W jego skład wchodzą oszczędności w gotówce na kwotę 1,8 mln zł, 15,5 tys. euro, 2,5 tys. dol. i niespełna 800 funtów. Oprócz tego Jacek Majchrowski wraz z małżonką posiadają papiery wartościowe o wartości 40 tys. dol. oraz udziały w rolnym funduszu inwestycyjnym opiewające na ponad 181 tys. zł. Prezydent może się również pochwalić współwłasnością domu o powierzchni 647 mkw. ubezpieczonego na 2,5 mln zł oraz dwóch działek (łącznie 31 arów). Chociaż ich wycena według większości mediów wynosi 6 mln 370 tys. zł, znacznie windując majątek Majchrowskiego, w rzeczywistości jest to błąd. Wynika on z niepoprawnego odczytania powierzchni zapisanej w oświadczeniu odręcznie i zinterpretowanej jako 91 arów. Jak podaje Majchrowski, rzeczoznawca wycenił 1 mkw. na 700 zł, zatem wartość działek to 2 mln 170 tys. zł. W 2016 r. na konto prezydenta Krakowa co miesiąc wpływały cztery pensje, łącznie na kwotę 516 tys. zł brutto rocznie. W ich skład wchodzi wynagrodzenie z urzędu miejskiego (157 tys.), Akademii Krakowskiej (170 tys.), Uniwersytetu Jagiellońskiego (103 tys. zł) oraz emerytura w wysokości 43 tys. zł. Do swojego mienia, które przekracza wartość 10 tys. zł, Majchrowski zaliczył również lexusa (choć nie wyszczególnił modelu; z moich ustaleń wynika, że to Lexus 350 z 2011 r. o wartości ok. 80 tys. zł). Prezydent posiada również 22 obrazy i 13 odznaczeń państwowych.

2. HANNA GRONKIEWICZ-WALTZ – Warszawa (ok. 6,8 mln zł)

Drugie miejsce w rankingu należy do Hanny Gronkiewicz-Waltz, nieznacznie ustępującej majątkiem Jackowi Majchrowskiemu. Niespełna połowa jego wartości to oszczędności w gotówce, czyli 3 mln 235 tys. zł oraz 690 euro, 420 koron szwedzkich i 820 dol. Oprócz tego prezydent Warszawy posiada 646 tys. zł w papierach wartościowych, 200-metrowy dom (1,1 mln zł) oraz 78-metrowe mieszkanie (1,5 mln zł) – obie nieruchomości na własność. Według oświadczenia Gronkiewicz-Waltz posiada również żaglówkę „Sasankę" z 1999 r. oraz samochód Volvo XV 90 z 2004 r., którego cena na rynku wynosi ok. 30 tys. zł. W 2016 r. szefowa warszawskiego magistratu zarobiła ponad 159 tys. zł brutto z tytułu sprawowanego urzędu oraz 123 tys. zł jako wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. Prawa autorskie ze sprzedanych książek nie przekroczyły 2 tys. zł. Oszczędności Hanny Gronkiewicz-Waltz mogą jednak zostać niedługo uszczuplone ze względu na śledztwo prowadzone w sprawie nieprawidłowo zreprywatyzowanej kamienicy przy ul. Noakowskiego 16 w Warszawie.

3. PAWEŁ ADAMOWICZ – Gdańsk (ok. 3,6 mln zł)

Trzecie miejsce na podium najbogatszych polskich prezydentów zajmuje gdańszczanin Paweł Adamowicz. Oficjalnie (słowo klucz) może się on pochwalić ponad 1,6 mln zł w akcjach – głównie spółek Skarbu Państwa, takich jak PGE, PKO czy PZU, z których dywidendy za rok 2016 przyniosły mu dodatkowe 76 tys. zł dochodu. W oświadczeniu majątkowym Adamowicz zadeklarował również posiadanie oszczędności w kwocie 87 tys. zł, 6 tys. euro, 3 tys. dol. oraz 3 tys. franków szwajcarskich. Jest on również posiadaczem papierów wartościowych na kwotę prawie 545 tys. zł. Prezydent Gdańska uwzględnił w oświadczeniu także dwa mieszkania (83 mkw. warte 499 tys. zł i 67 mkw. warte 410 tys. zł + garaż za 25 tys. zł) oraz dwie działki (o wartości 150 i 45 tys. zł). Z tytułu piastowania urzędu prezydent wzbogacił się o 160 tys. zł, a zasiadanie w radach nadzorczych dwóch spółek (Zarządu Morskiego Portu Gdańsk SA i Gdańskiego Przedsiębiorstwa Energetyki Cieplnej) zasiliło portfel Pawła Adamowicza o dodatkowe 142 tys. zł brutto. W dokumentach znajdziemy również zobowiązania finansowe w postaci dwóch kredytów budowlanych (do spłaty pozostało 31 i 99 tys. franków szwajcarskich) oraz kredytu hipotecznego (do spłaty 149,5 tys. franków szwajcarskich). Jak twierdzi prokuratura, która we wrześniu 2017 r. wznowiła śledztwo wobec małżeństwa Adamowiczów, prezydent z żoną mieli jednak zataić posiadanie prawie 500 tys. zł i informację o części dochodów, na czym Skarb Państwa miał stracić 130 tys. zł. Śledztwo w toku.

Oszczędności Hanny Gronkiewicz-Waltz mogą zostać uszczuplone ze względu na śledztwo w sprawie reprywatyzacji

4. JACEK JAŚKOWIAK – Poznań (ok. 3 mln zł)

Poza czołową trójką z ponad półmilionową stratą do Adamowicza znalazł się prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak. W 2016 r. za swoją pracę w urzędzie miejskim dostał 161 tys. zł brutto, ale to tylko skromny początek jego dochodów i oszczędności. Oprócz pensji zainkasował również 129 tys. zł z tytułu wynajmu nieruchomości oraz ponad 132 tys. zł z tytułu zasiadania w radach nadzorczych Międzynarodowych Targów Poznańskich oraz spółki Remondis Sanitech. Oszczędności w gotówce, które zgromadził prezydent, to 677 tys. zł, 820 euro i 500 dol., do tego dochodzą papiery wartościowe (35 tys. zł). Jaśkowiak jest również współwłaścicielem 224-metrowego mieszkania (jego udziały wyceniono na 650 tys. zł) oraz właścicielem 72-metrowego lokum z 60-metrową piwnicą (wycenione na bagatela 1,2 mln zł). Ruchomości powyżej 10 tys. zł wpisane do oświadczenia majątkowego to: zegarek, pióro wieczne, rower oraz Audi A6 Avant z 2007 r., warte obecnie na rynku ok. 30 tys. zł.

5. RAFAŁ DUTKIEWICZ – Wrocław (ok. 2,4 mln zł)

Miejsce piąte w rankingu najbogatszych prezydentów przypadło Rafałowi Dutkiewiczowi, zarządzającemu wrocławskim magistratem. Jego majątek to głównie nieruchomości, czyli posiadany wraz z małżonką dom z przynależnym do niego gruntem oraz cztery mieszkania. Ich wartość to: 1,2 mln zł, 400 tys. zł, 350 tys. zł, 159 tys. zł oraz 146 tys. zł – razem łącznie 2,25 mln zł. Do tego zestawienia należy doliczyć gospodarstwo rolne (52 tys. zł), hyundaia i30 z 2010 r. (ok. 18 tys. zł) oraz oszczędności, tj. 7,2 tys. zł, 900 euro i 128 dol. Na stanowisku przez rok zarobił

eprasa.pl d5eabde7d4

172 tys. zł, ale wraz z niepracującą żoną ma również liczne zobowiązania finansowe. W ich skład wchodzą trzy kredyty hipoteczne (łącznie ponad 113 tys. zł), dwie umowy dotyczące niespłaconych kart kredytowych (łącznie ok. 1,3 tys. zł) oraz kredyt samochodowy (ponad 10 tys. zł).

6. TADEUSZ FERENC – Rzeszów (ok. 2 mln zł)

Ostatnim prezydentem w naszym zastawieniu, którego majątek sięga 2 mln zł, jest Tadeusz Ferenc z Rzeszowa. Na jego koncie znajdują się niespełna 150 tys. zł oszczędności oraz papiery wartościowe uczestnictwa w funduszu kapitałowym Quercus na kwotę 105 tys. zł. Na koniec roku 2016 Tadeusz Ferenc zadeklarował również wpłatę 124 tys. zł na mieszkaniowy wkład budowlany. Prawdziwy kapitał szef rzeszowskiego magistratu ulokował właśnie w nieruchomościach i ziemi. Ferenc jest bowiem właścicielem 105-metrowego domu (400 tys. zł + garaż wartości 40 tys. zł), 66-metrowego mieszkania (295 tys. zł) i 30-metrowej kawalerki (130 tys. zł). 33-arowa działka pod domem została wyceniona na 250 tys. zł. Prezydent Rzeszowa posiada również dwie trzecie udziałów w działce o powierzchni 42 arów (200 tys. zł), jedną trzecią udziałów w 36-arowym gruncie (120 tys. zł) oraz 28 arów na własność (140 tys. zł). W oświadczeniu majątkowym prezydent uwzględnił również swoje wynagrodzenie, które wynosi 161 tys. zł, wysoką emeryturę na kwotę 143 tys. zł oraz dochód z wynajmu mieszkań – 17 tys. zł. Jako jedyna ruchomość przekraczająca wartością 10 tys. zł został uwzględniony mercedes benz GLC 220D, rocznik 2015. Chociaż jego cena nie została wyszczególniona, to podobny model na rynku kosztuje ok. 160 tys. zł.

7. PIOTR GRZYMOWICZ – Olsztyn (ok. 1,8 mln zł)

Z majątkiem poniżej 2 mln zł w naszym rankingu uplasował się olsztynianin Piotr Grzymowicz. Lwia część jego stanu posiadania to 368-metrowy dom, wyceniony na 1,2 mln zł. Do jego wartości należy doliczyć również działkę, na której się znajduje – to dodatkowe 320 tys. zł. Prezydent Olsztyna posiada również 43 tys. zł w gotówce oraz trzy polisy na kwotę 84 tys. zł. Jego dochód, wynikający z pracy w ratuszu, to prawie 160 tys. zł plus 14,5 tys. zł z tytułu najmu nieruchomości (w oświadczeniu nie wyszczególniono jakiej). W posiadanych ruchomościach Grzymowicz uwzględnił forda mondeo z 2015 r., którego wartość na rynku to ok. 70 tys. zł. Prezydent nie ma długów.

8. PIOTR KRZYSTEK – Szczecin (ok. 1,5 mln zł)

Piotr Krzystek, prezydent stolicy województwa zachodniopomorskiego, zgromadził 27 tys. zł i 2,5 tys. euro oszczędności w gotówce. Oprócz nich może się pochwalić domem o powierzchni 284 mkw. z przynależnym mu 245-metrowym gruntem o wartości 1,1 mln zł oraz jedną szóstą współwłasności w 47-metrowym mieszkaniu, wycenionym na 200 tys. zł. Prezydent Szczecina posiada również połowę współwłasności przylegających do domu gruntów o powierzchni ponad 5,2 tys. mkw., których wartość oszacowano na 350 tys. zł. Prezydent nie uwzględnił w oświadczeniu żadnych papierów wartościowych ani akcji spółek, jego dochód składał się natomiast z pensji otrzymywanej za zasiadanie w radzie Zarządu Morskich Portów Szczecin i Świnoujście (52 tys. zł) oraz z tytułu sprawowanego urzędu (158 tys. zł). Krzystek w składnikach mienia ruchomego uwzględnił jedynie fiata 125p, wyprodukowanego w 1973 r. Szacunkowa wartość takiego samochodu to ok. 30–40 tys. zł. Piotr Krzystek wraz żoną zaciągnął również kredyt na budowę domu na ok. 646 tys. zł oraz dwie pożyczki gotówkowe na łączką kwotę 92 tys. zł. Prezydent Szczecina posiada polisę ubezpieczeniową o wartości wykupu 67 tys. zł.

9. TADEUSZ TRUSKOLASKI – Białystok (ok. 1,45 mln zł)

Prezydent Białegostoku jest ostatnim w rankingu włodarzem polskiego miasta, którego majątek wyraźnie przekracza 1 mln zł. W jego skład wchodzi mieszkanie o powierzchni 99 mkw. i wartości 440 tys. zł, domek letniskowy (65 tys. zł) oraz garaż (25 tys. zł). Dochody Tadeusza Truskolaskiego wynikające z zatrudnienia to 151 tys. z urzędu miejskiego w Białymstoku oraz 80 tys. z Uniwersytetu w Białymstoku. Prezydent jeździ volkswagenem passatem z 2015 r., którego wartość oszacował na 133 tys. zł. Aby go zakupić, Truskolaski zaciągnął kredyt w wysokości 84 tys. zł. Poza tym szef białostockiego magistratu uwzględnił w swoim oświadczeniu debet na karcie kredytowej w wysokości niespełna 3,5 tys. zł. Zadeklarowane oszczędności to ok. 480 tys. zł i ponad 23,5 tys. euro.

10. MARCIN KRUPA – Katowice (ok. 1 mln zł)

Dziesiątkę prezydenckich milionerów zamyka Marcin Krupa – włodarz Katowic. Z oświadczenia wynika, że zgromadził na koncie oszczędności w kwocie 85 tys. zł, 500 euro i 400 dol. Prezydent posiada również dom o powierzchni 300 mkw. (400 tys. zł), w połowie dzielony z siostrą, 99-metrowe mieszkanie do remontu (205 tys. zł) oraz 31-metrową kawalerkę (56 tys. zł). Do rodzinnego domu przynależą również działka o powierzchni 818 mkw. wyceniona na 150 tys. zł oraz pole rolne o powierzchni 1800 mkw. o wartości 43,5 tys. zł. Marcin Krupa posiada również pakiet ok. 3 tys. akcji różnych spółek handlowych, których nie wycenił w oświadczeniu majątkowym, a których przybliżona wartość przekracza kilkadziesiąt tysięcy złotych. Jeśli chodzi o dochody wynikające z zatrudnienia, to Krupa zainkasował 159 tys. zł z Urzędu Miasta Katowice oraz 29 tys. z Komunikacyjnego Związku Komunalnego Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego – zapewne z tytułu zasiadania w radzie nadzorczej, choć jego rola nie została wyszczególniona w oświadczeniu. Prezydent posiada również peugeota 508 z 2012 r. wartego ponad 40 tys. zł, jest także obciążony kredytem hipotecznym w wysokości 314 tys. zł.

Na dalszych pozycjach uplasowali się prezydenci: Zielonej Góry – Jakub Kubicki (775 tys. zł), Torunia – Michał Zalewski (571 tys. zł), Łodzi – Hanna Zdanowska (490 tys. zł) i Kielc – Wojciech Lubawski (473 tys. zł). Najmniej zamożnym prezydentem jest Krzysztof Żuk z Lublina. Z jego oświadczenia majątkowego wynika, że zgromadził 22 tys zł oszczędności. Jest też posiadaczem gruntów ornych i łąk o wartości 30 tys. zł oraz trzech samochodów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

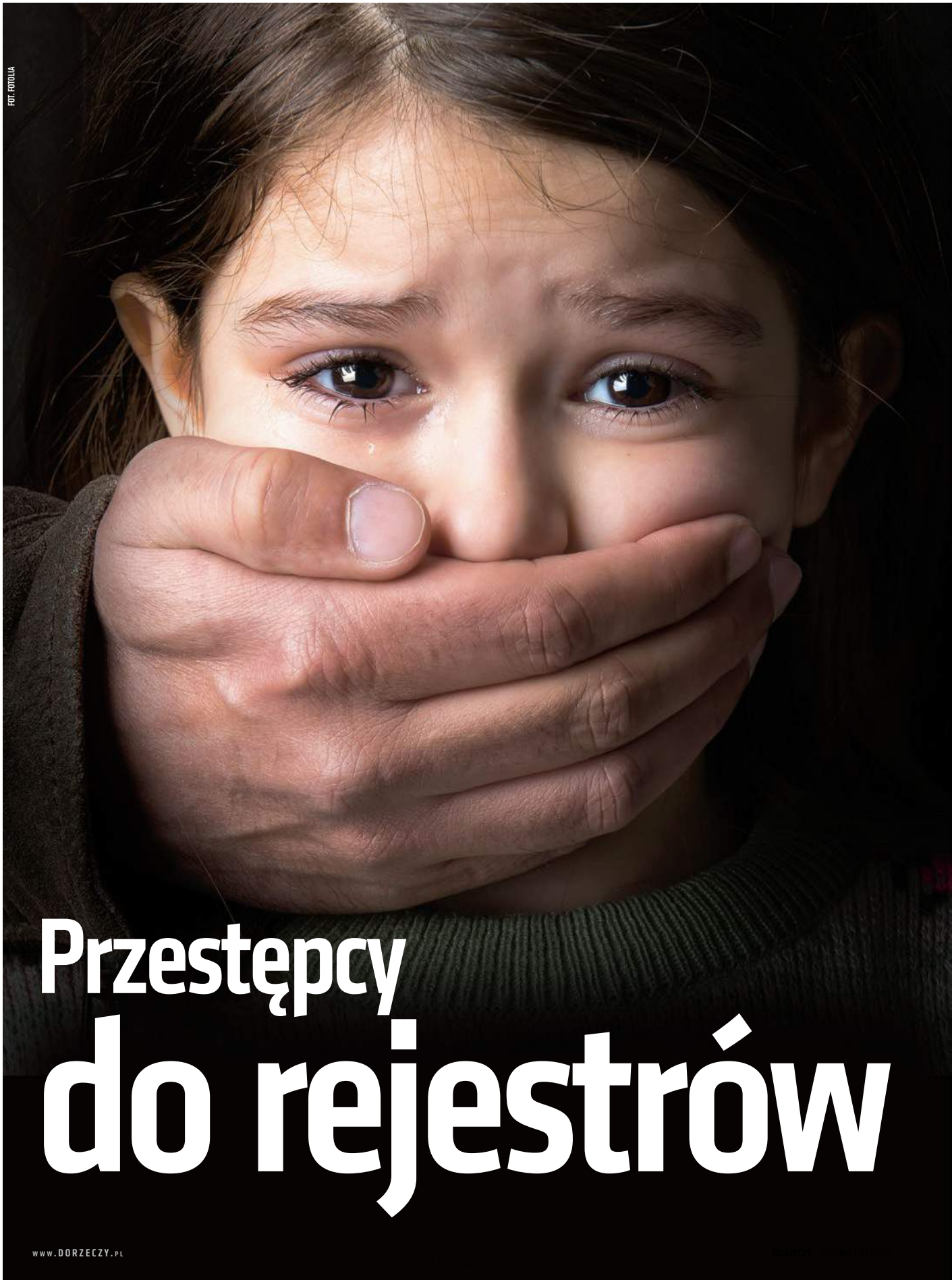

FOT. FOTOLIA

Przestępcy do rejestrów

Łukasz Zboralski

Z rejestrem przestępców seksualnych jest pewien problem. Nie ten, że narusza jakieś ich prawa, ale ten, że powinien upubliczniać znacznie więcej, w tym także skazanych za inne zbrodnie

Wiele rzeczy, które latami wydawały się niemożliwe do przeprowadzenia w Polsce, nagle zaczęło się udawać. Jedną z nich jest uruchomiony niedawno przez resort sprawiedliwości Rejestr Sprawców Przestępstw na Tle Seksualnym. Ma on dwie odsłony – część z dostępem ograniczonym, do której wgląd mają organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości oraz instytucje zajmujące się opieką nad dziećmi – oraz część publiczną, osiągalną dla każdego, kto ma dostęp do Internetu. Do tego rejestru trafili najgroźniejsi zwyrodnialcy – ci, którzy gwałcili ze szczególnym okrucieństwem, i ci, których ofiarami padły dzieci mające mniej niż 15 lat.

Ten projekt w Sejmie wspierała nawet opozycja, choć zgłaszała swoje poprawki. Rozumie go wielu obywateli, a wśród nich i ci, którzy – eufemistycznie mówiąc – z rządem PiS się nie utożsamiają.

OBROŃCY ZBRODNIARZY

Nie brakuje jednak wciąż utyskiwań tych, dla których „prawa człowieka" – czyli skazanych prawomocnie zwyrodnialców – są ważniejsze niż prawa skrzywdzonego społeczeństwa do wiedzy o tym, kto czyni zło i kogo się wystrzegać. Na przykład w Radiu TOK FM prawniczka prof. Agnieszka Grzelak z troską mówiła o tych umieszczonych w rejestrze, którzy zgłaszają się do rzecznika praw obywatelskich, a ten nie może im pomóc. A prowadząca audycję dopytywała: „Jakie prawa są łamane wobec tych, którzy mieli nieszczęście (sic!) się w tym rejestrze znaleźć?".

Ideologia, według której ważniejsze są prawa przestępców od prawa ofiar i prawa społeczeństwa do informacji, podpierana jest stałym zestawem argumentów.

Przeciwnicy ujawniania przestępców seksualnych twierdzą np., że rejestr może prowadzić do linczów. Tylko że tam, gdzie rejestry działają, nie ma problemu z samosądami. I np. USA z takich rejestrów nie zrezygnowały. A są one dużo bardziej szczegółowe niż polski, bo tzw. ustawa Megan (uchwalona po tym, jak w 1994 r. sąsiad siedmioletniej Megan Kanki porwał ją, zgwałcił i zamordował, a był już wcześniej dwukrotnie skazany za gwałty na kilkuletnich dziewczynkach) pozwala na ujawnienie informacji o pedofilu, włączając w to jego dokładny adres, łącznie z numerem mieszkania.

Inny argument przeciwników polskiego rejestru to wskazywanie na niebezpieczeństwo zidentyfikowania dziecka, które zostało skrzywdzone przez pedofila, szczególnie gdy do przestępstwa doszło w rodzinie. Prawda jest taka, że w wyjątkowych przypadkach sądy będą mogły orzec, iż dane skazanego nie trafią do rejestru – i chodzi właśnie o sytuacje, gdy mogłoby ucierpieć dobro poszkodowanych, zwłaszcza dzieci.

W USA pedofile nie tylko są umieszczani w publicznym rejestrze, lecz także mają np. zakaz zamieszkiwania blisko szkół czy placów zabaw

Trzeci główny argument „przeciw" jest taki, że upublicznienie danych przestępców seksualnych nie ogranicza liczby przestępstw. I tu rzeczywiście wyniki są niejednoznaczne. – Są jednak raporty wskazujące, że dzięki tego typu rejestrom, np. w USA, liczba przestępstw seksualnych się zmniejszyła – mówi Patryk Jaki, wiceminister sprawiedliwości. – Widać, że dzięki ujawnianiu takich informacji społeczeństwo potrafiło to wykorzystać, że to było działanie wspomagające prewencję – podkreśla. I dodaje: – Widać, że to miało sens także u nas, już krótko po opublikowaniu rejestru udało się zapobiec sytuacjom, w których nieodpowiednie osoby pracowały z dziećmi.

Jedną z takich spraw ujawniło Radio RMF FM. Rodzice w Wolbromiu wytropili w rejestrze jednego z pracowników tamtejszego domu kultury. Dyrekcja placówki – choć zatrudniony był pracownikiem technicznym – nie przedłużyła z nim umowy o pracę.

I choć w USA do dziś toczy się spór o ujawnianie takich przestępców, to tego prawa nie zmieniono. A rejestry stworzono też w wielu innych krajach.

JAK TO SIĘ ROBI

Pierwszy rejestr sprawców przestępstw seksualnych powstał w USA jeszcze w latach 90. Na początku XXI w. FBI uruchomiło ogólnokrajową bazę. Dzięki niej każdy może łatwo sprawdzić, czy jego sąsiad nie jest przypadkiem pedofilem, gwałcicielem itd. Wystarczy skorzystać z jednej z wielu internetowych wyszukiwarek, aby zobaczyć zdjęcie, imię i nazwisko przestępcy seksualnego, a także jego dokładny adres. Podobne rejestry przestępców seksualnych z powodzeniem funkcjonują również w Kanadzie, Australii, Nowej Zelandii, Wielkiej Brytanii czy we Francji.

A to niejedyna presja (w Polsce przez niektórych określana jako dodatkowa kara). Ponieważ z badań wynika, że istnieje duże ryzyko, iż bandyci skazani za przestępstwa pedofilii po wyjściu z więzienia zaatakują ponownie, wielu z nich po odzyskaniu wolności ma zakaz zamieszkiwania w odległości mniejszej niż 300 m od szkół, przedszkoli czy placów zabaw. Niektóre miasta i hrabstwa zwiększają te restrykcje do ponad 750 m. Skazani za przestępstwa seksualne w niektórych miejscowościach mają więc ogromny problem ze znalezieniem sobie lokum. Doszło do tego, że na południu Florydy w 2009 r. powstała wioska Miracle Village, w której mieszka ponad stu mężczyzn skazanych niegdyś m.in. za molestowanie dzieci i posiadanie dziecięcej pornografii. Część z nich ma sądowy zakaz rozmawiania z kimkolwiek poniżej 18. roku życia. W takiej wiosce łatwiej im się żyje.

W USA popularne są również internetowe mapy innych przestępstw. Szukając mieszkania, można też łatwo sprawdzić, które okolice są uznawane za najbezpieczniejsze, a także zobaczyć na mapie, gdzie w danym mieście dochodziło

eprasa.pl d5eabde7d4

do napadów, kradzieży, strzelanin czy aktów wandalizmu. Wiele stron oferuje także możliwość pozostawienia swojego adresu e-mail i wysyła alerty, jeśli w określonej okolicy zostanie odnotowane jakieś przestępstwo.

KARA ZA ZATRUDNIANIE

Uruchomienie polskiego rejestru – części z dostępem ograniczonym – ma głęboki praktyczny sens. Zgodnie z Ustawą o przeciwdziałaniu zagrożeniom przestępczością na tle seksualnym zarządzający szkołami czy placówkami, w których leczy się dzieci albo sprawuje nad nimi opiekę, mają obowiązek sprawdzić, czy dane osoby, którą zamierzają zatrudnić, nie figurują w części niejawnej rejestru. Dotyczy to także organizatorów wypoczynku dzieci – firm, które zajmują się feriami, wyjazdami na zielone szkoły. Kierownicy takich podmiotów mogą jedynie sprawdzić, czy konkretna osoba jest w tym rejestrze, ale nie mogą go swobodnie przeglądać. To zastrzeżone tylko dla służb.

Jak to jest ważne, dowiemy się zapewne niebawem, gdy okaże się, ile zapytań dotarło do tej bazy i ile z nich pozwoliło na uchronienie dzieci przed opiekunem przestępcą. W Hiszpanii – jak ujawnił tamtejszy resort sprawiedliwości – w 2017 r. identyfikacja w rejestrze pozwoliła zapobiec podjęciu pracy z dziećmi ponad tysiącu osobom skazanym za pedofilię.

REJESTR MA WADY

Polski rejestr to dobry krok. Wykonanie tej usługi informacyjnej wyszło jednak koszmarnie. I sprawdziłem to dokładnie, gdy po kilku kliknięciach okazało się, że w moim poprzednim miejscu zamieszkania – tam, gdzie do dziś mieszkają moi rodzice, a moje dzieci jeżdżą na wakacje – mieszka groźny przestępca seksualny.

Zobaczyłem zdjęcie tego człowieka, jego imię i nazwisko. Rejestr zawiera informacje o tym, że w 1997 r. został skazany na 10 lat więzienia. Przedstawiona jest sygnatura akt sądowych i wykaz paragrafów – a więc resort chciał, by w publicznym rejestrze było wiadomo dokładnie, za jaką zbrodnię ukarany był ten przestępca. Jednak... sygnatury sądowej nie sposób wyszukać. Nie pojawia się w rejestrze sądowych orzeczeń w tym okręgu, w którym widnieć powinna. Rozszyfrowywanie paragrafów też nie jest łatwe dla przeciętnego obywatela, zwłaszcza że – tak jak w tej sprawie – trzeba było zwrócić uwagę, iż pochodzą z Kodeksu karnego z 1969 r. Z niemałym trudem rozeznałem się więc w tym, że przestępca ze znanej mi wsi spowodował uszkodzenie ciała ofiary (ale na czas poniżej siedmiu dni), działał ze szczególnym okrucieństwem lub dopuścił się zgwałcenia, współdziałając z innymi i doprowadził swoją ofiarę do tego, że po przestępstwie chciała się zabić.

I następny problem – mieszkańcy tej wsi zamieszkujący ją od dziesięcioleci, dobrze znający otoczenie, nigdy nie spotkali się z taką osobą i nigdy nie słyszeli tego nazwiska. Zgodnie z prawem przestępca seksualny z rejestru oprócz miejsca zameldowania widniejącego w dokumentach powinien podawać policji rzeczywiste miejsce przebywania – gdy trwa to dłużej niż trzy dni. W jaki sposób będzie to uwzględniane w rejestrze publicznym? Będzie to stale aktualizowane czy ktoś poprzestał na podaniu miejscowości związanej z meldunkiem w bazie PESEL? Widać, że amerykańska mapa, na której przestępcy przedstawiani są z dokładną lokalizacją co do budynku, jest dużo lepszym pomysłem. Mapa zamieszczona przy polskim rejestrze (jeśli już ktoś trafi na link do niej prowadzący, bo jest zamieszczony na dole strony WWW niewielką czcionką) praktycznie nie ma sensu – pokazuje tylko zaznaczone kolorami obszary, na których istnieje zagrożenie różnymi rodzajami przestępstw, niestety – również wyrażonymi jedynie paragrafami. I to w USA robią lepiej – na mapach w określonych lokalizacjach są przypięte tzw. pinezki, które pokazują konkretne przestępstwo, do którego tam doszło. Ludzi sami widzą wówczas, ile tych przestępstw w okolicy się wydarzyło i dokładnie jakich.

NIE MOŻEMY WIEDZIEĆ WIĘCEJ?

Oprócz mankamentów praktycznych pozostaje jeszcze inny problem: Dlaczego jako społeczeństwu daje się nam prawo do zabezpieczania się jedynie przed przestępcami seksualnymi i do wiedzy o nich?

– Jest pewna różnica, na którą wskazują fachowcy. W przypadku pedofilów i gwałcicieli to okrucieństwo jest w nich głęboko zanurzone i dość trudno się leczy, a w przypadku przestępstw pospolitych resocjalizacja jest skuteczniejsza – argumentuje wiceminister Jaki. – Czy jako społeczeństwo mamy prawo odbierać takim ludziom szansę na naprawę czynów i życie w społeczeństwie bez stygmatyzacji? – pyta.

Można jednak postawić inne pytanie: Czy popełnianie przestępstw – nawet tych pospolitych, np. przez recydywistów – ma obciążać nas wszystkich, czy tylko tych, którzy się ich dopuszczają? Czy musimy angażować się w naprawę ich czynów, rezygnując przy tym z wiedzy, która także dla nas może być cenna prewencyjnie? Dlaczego nie mielibyśmy wiedzieć, ilu notorycznych złodziei mieszka w naszej okolicy? Czy nie pomogłoby to nam w podejmowaniu decyzji o lepszym zabezpieczaniu mienia?

Argument o stygmatyzacji tych, którzy mogą chcieć się naprawić, też jest chwiejny. W niewielkich miejscowościach przecież dobrze wiadomo przynajmniej o części tych, którzy mają lepkie ręce. Nie dochodzi przez to do linczów, za to gdy tacy osobnicy kręcą się wokół czyjegoś domu, właściciel znacznie wyczula uwagę. Czyż to nie jest dobra prewencja?

Dlaczego jako społeczeństwu daje się nam prawo do zabezpieczania się jedynie przed przestępcami seksualnymi i do wiedzy o nich?

Państwo chce dawać szansę pospolitym przestępcom, ale ta ochrona jakoś dziwnie przestała działać, gdy kilka lat temu w ramach planu poprawy bezpieczeństwa drogowego sądy masowo orzekały o publikowaniu danych personalnych kierowców złapanych za kierownicą po pijanemu. Kogoś, kto jechał pijany, można wytknąć palcem, ale mordercy, włamywacza, złodzieja i sprzedawcy narkotyków pod szkołą już nie?

I na koniec – gdy prawomocne skazanie będzie wiązało się z ujawnieniem twarzy i adresu, każdy przestępca swoim czynem będzie decydował, czy chce się znaleźć w rejestrze. Wybór będzie należał do niego, a nie do społeczeństwa. Państwo nie powinno się zachowywać jak gitowiec w więzieniu, dla którego pedofil to ktoś, komu można odebrać wszystko, łącznie z życiem, a skazani za inne przestępstwa stoją w hierarchii wyżej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Współpraca: Jacek Przybylski

eprasa.pl d5eabde7d4

Zacznij zdrowo Nowy Rok!

TYGODNIK LISKIEGO DO RZECZY

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

EASY SMOOTHIE BLENDER MANTA 350W SBL920

Cena: 149 zł
Oszczędność: 135 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

PRENUMERATA ROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

OPASKA SPORTOWA MANTA SWT9303
KROKOMIERZ, MONITOROWANIE TĘTNA, LICZNIK SPALONYCH KALORII, WSKAŹNIK AKTYWNOŚCI FIZYCZNEJ, PRZYPOMNIENIE O AKTYWNOŚCI, LICZNIK DYSTANSU, MONITOROWANIE SNU

Cena: 239 zł
Oszczędność: 289 zł

MANTA
Polska firma rodzinna

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@point-group.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. FUNDACJA RED IS BAD

Przywrócić godność bohaterom

Agnieszka Niewińska

Chociaż chętnie nosimy ich na koszulkach, to często zapominamy, że ostatni żyjący kombatanci dziś mogą potrzebować opieki. PRL-owskie szykany sprawiły, że wielu z nich ma obecnie najniższe emerytury

Coś pani powiem. Cała moja rodzina to kryminaliści. Wszyscy żeśmy siedzieli, może poza córką, która nie zdążyła, bo trochę za późno się urodziła. Dzisiaj jednak jesteśmy dumni z tego, żeśmy wtedy siedzieli w więzieniach – mówi Zbigniew Matysiak pseudonimy Kowboj, Dym, 27 – jeden z ostatnich żyjących żołnierzy wyklętych, major.

Jedziemy do powstającego przy Rakowieckiej Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL. Major Matysiak w maciejówce z przypiętym przedwojennym orzełkiem rozgląda się po korytarzu i próbuje przywołać wspomnienia sprzed siedemdziesięciu lat. – Wie pan, że ja tu byłem pensjonariuszem? – pyta zawadiacko dyrektora muzeum Jacka Pawłowicza, bo ani stalinowscy oprawcy, ani lata komuny nie odebrały mu pogody ducha i poczucia humoru.

TAJNY BOKS I „PARAWAN"

Wojna zastała go w rodzinnym Lublinie, gdy miał zaledwie 13 lat. Jako 15-latek zachęcony przez znanego lubelskiego boksera, a później żołnierza AK – Stanisława Zalewskiego – dołączył do tajnej szkółki bokserskiej. Zalewski wciągnął go do młodzieżowej konspiracji. Jako 16-latek pełnił funkcję „parawanu" – osłaniał żołnierzy podziemia wykonujących wyroki śmierci wydane w imieniu państwa polskiego, rzucając np. granaty dymne. W 1943 r. był już żołnierzem AK, a w lipcu 1944 r. brał udział w wyzwalaniu Lublina w ramach akcji „Burza". Po rozwiązaniu AK przeszedł do WiN, a potem trafił do zgrupowania mjr. Hieronima Dekutowskiego „Zapory". Aż do aresztowania w 1946 r. to podlubelskie lasy był jego domem. Więziony na zamku w Lublinie, w Sieradzu i na Mokotowie, został zwolniony dopiero na mocy amnestii w 1947 r. – Na Mokotowie nie byłem pełnoetatowym pensjonariuszem. Trzymali mnie tu jakiś miesiąc, półtora, może trochę dłużej. Dokładnie nie pamiętam – wspomina. – W śledztwie byłem straszliwie bity. Chciano, abym przyznał się do posiadania broni. W głowie miałem jednak cały czas słowa mądrego dowódcy, który powtarzał: „Do niczego się nie przyznawaj, bo jak się przyznasz do rzeczy małych, to potem przyznasz się do wszystkiego, co ci zarzucą, nawet do wysadzenia mostu na drodze, na której mostu nigdy nie było. Jak się nie przyznasz do niczego, będziesz szedł w wariata, zupełnego idiotę, to cię będą bić, ale w końcu dadzą spokój". Dostałem wyrok osiem lat. Na dwóch kolegach aresztowanych razem ze mną wykonano wyroki

eprasa.pl d5eabde7d4

śmierci – opowiada i dodaje: – Najpierw siedziałem w lubelskiej katowni, potem na zamku w Lublinie. W salach 12-osobowych było nas po pięćdziesięciu. Potworne warunki. Zamknęli mnie w pierwszych dniach stycznia i do grudnia ani razu się nie kąpałem. Cały rok w tym ubraniu, w którym nas zatrzymali – wspomina. To tam zrobił pierścionek dla przyszłej żony Zofii Rosłowicz ps. Lala – sanitariuszki, którą poznał w 1944 r. w czasie wyzwalania Lublina – także więzionej na lubelskim zamku. Biżuteria powstała ze znalezionego włosia z końskiego ogona, a serduszko w tym pierścionku zostało wycięte z rączki szczoteczki do zębów. To dziś jeden z najcenniejszych rodzinnych skarbów rodziny Matysiaków.

W drodze do Sieradza mjr Matysiak próbował ucieczki. – Przerżnąłem podłogę w wagonie i mieliśmy wyskakiwać dołem. Wieźli nas Ślązacy z KBW. Jakiś spec wlazł pod wagon i zobaczył, że deski są przerżnięte. Pociąg stanął w polu i zaczęli nas potwornie bić wyciorami z karabinów – to były 5-milimetrowe druty. Pierwszego więźnia stłukli do nieprzytomności, wzięli drugiego, więc zaraz się zgłosiłem, że to ja przeciąłem tę podłogę, żeby przeze mnie nie bili innych. Miałem na sobie niemieckie spodnie kawaleryjskie z wszytą na tyłku skórą. Uratowały mi życie. Byłem zsiekany jak tatar – opowiada mjr „Kowboj".

Po wielomiesięcznym pobycie w Sieradzu trafił na Mokotów. – To była jedna z cel na drugim piętrze. Pamiętam tę siatkę między piętrami – mówi mjr Matysiak, kiedy przechodzimy korytarzem przy celach m.in. rtm. Witolda Pileckiego, gen. Augusta Fieldorfa „Nila" czy mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki". – Kiedy mnie tu przywieźli, siedzieli tu także „Zapora" i wielu, na których wyroki później wykonano – wraca pamięcią do tamtego czasu. Wciąż wyraźnie widzi dzień, w którym strażnicy zabrali go do pokoju śledczego. – Za biurkiem siedział major. Przed nim na krześle więzień. Ze strachu ledwo się na nogach trzymałem, choć do lękliwych nie należałem. Śledczy zapytał go: „Mówiliście, że to »Dym«?". Stałem jak sparaliżowany, bo „Dym" to był mój pseudonim. Kiedy ten więzień się odwrócił w moją stronę i zmierzył mnie wzrokiem, całe życie przeleciało mi przez łeb. A on mówi do śledczego: „To nie ten, tamten był znacznie starszy". Wtedy odżyłem. Na Mokotowie siedziałem jeszcze przez kilka tygodni, nie pamiętam dokładnie ile, po czym z powrotem przewieźli mnie do Lublina na zamek.

Kiedy przemierzamy korytarze mokotowskiego więzienia, Zbigniew Matysiak wyciąga wyhaftowaną naszywkę żołnierzy „Zapory", którą sam zaprojektował. Pokazuje ją Pawłowi Szopie, współtwórcy marki odzieży patriotycznej Red Is Bad. Bo to Szopa zorganizował wizytę mjr. „Kowboja" na Rakowieckiej i przyjazd do Warszawy na przekazanie karabinka Grot żołnierzom WOT. Założył Fundację Red Is Bad, która pomaga żołnierzom wyklętym i kombatantom II wojny światowej. Wsparciem fundacji objęty jest nie tylko mjr Matysiak, lecz także mjr Andrzej Kiszka ps. Dąb, mjr Wacław Sikorski ps. Bocian, Wiktor Humięcki ps. Kordian.

NAJNIŻSZE EMERYTURY DLA BOHATERÓW

– Część bohaterów, którzy walczyli o naszą wolność, dziś potrzebuje pomocy. Staramy się rozeznać, co jest im potrzebnie, i na te potrzeby skutecznie odpowiedzieć. Najczęściej są to konsultacje lekarskie, rehabilitacja, sprzęt medyczny, wyjazdy do sanatorium, ale także zapewnienie całodziennej opieki ze względu na chorobę – opowiada Szopa. Zwraca uwagę, że wielu bohaterów ma dziś tak niskie emerytury, że brakuje im pieniędzy na podstawowe potrzeby. – Niejednokrotnie są to najniższe świadczenia – rzędu 800 zł miesięcznie. Żołnierze wyklęci nie mogą otrzymywać emerytur wojskowych, bo formalnie nie służyli w wojsku. Kiedy polskiej armii nie było, oni walczyli w partyzantce. W czasach PRL byli z tego powodu więzieni, prześladowani i szykanowani. Nigdzie nie mogli znaleźć pracy, dlatego tym trudniej jest im dzisiaj. Jako fundacja zapewniamy im pomoc finansową – swego rodzaju dodatek do emerytury. Dodatkowe pieniądze, które mogą wydać według własnego uznania, przywracają im godność – tłumaczy Szopa.

Fundacja ma pod opieką kilkunastu bohaterów, a pomocy potrzebuje o wiele więcej osób. W ramach projektu Sztafeta Pokoleń fundacja Red Is Bad dotarła do 120 kombatantów. 16 z nich potrzebuje pilnego wsparcia. – Głównym darczyńcą jest Red Is Bad, ale jesteśmy jeszcze niedużą firmą i nasze możliwości są ograniczone, a nie chcemy zawieść tych, którzy naprawdę wymagają wsparcia. Pomóc bohaterom może jednak każdy. Jeszcze nie możemy zbierać 1 proc. podatku, ale prosimy o wpłaty na konto tych, którzy mogą podzielić się tym, co mają, z naszymi bohaterami – mówi.

Fundacja Red Is Bad powstała z myślą o pomocy konkretnym, żyjącym jeszcze żołnierzom wyklętym i kombatantom II wojny światowej. – To kontynuacja tego, co robimy w Red Is Bad – podkreśla Szopa. – Wyrażamy siebie, manifestujemy patriotyzm, nasze poglądy, wartości. Już wcześniej angażowaliśmy się w akcje patriotyczne, choćby w organizację Marszy Rotmistrza Pileckiego czy budowę pomnika rotmistrza Pileckiego w Warszawie. A że zależy mi na rozwoju, to powołanie fundacji było naturalnym wyborem. Chcemy pomagać tym, których podobizny z dumą nosimy na koszulkach.

Iwona Pidek, córka mjr. Matysiaka, która dokumentuje rodzinną historię i towarzyszy tacie w licznych spotkaniach i uroczystościach, przyznaje, że wsparcie fundacji Red Is Bad jest nieocenione. – Zawsze możemy zadzwonić z jakąś sprawą, problemem i liczyć na pomoc, serdeczne przyjęcie. Fundacja jest otwarta na nowe projekty i oprócz bieżącego wsparcia, pomocy związanej chociażby z opieką zdrowotną, daje kombatantom poczucie tego, że są potrzebni. Nie czują się osamotnieni, opuszczeni – zwraca uwagę Iwona Pidek.

OD KOLARSTWA DO RAJDÓW

Major Matysiak po zwolnieniu z więzienia w wyniku amnestii zajął się kolarstwem. Zadebiutował w 1947 r. Dwa lata później został mistrzem województwa lubelskiego w jeździe indywidualnej na czas. Zdobył I klasę kolarską, która dała mu awans do kadry narodowej. Od 1954 r. pochłaniały go sporty motorowe. Ze świdnicką grupą rajdową 10 razy zdobył tytuł mistrza Polski w rajdach motocyklowych. – Po tym, jak mnie wypuścili z więzienia, chciałem studiować. Zapisałem się na prawo, ale po pierwszym roku zażądali zaświadczenia o niekaralności. Kiedy zorientowali się, że byłem więźniem politycznym, relegowali mnie z uczelni i tak się skończyła moja kariera prawnicza. Nigdzie nie mogłem znaleźć pracy, więc zająłem się sportem, bo co miałem robić? – mówi mjr „Kowboj".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Pomoc dla bohaterów

Pomóc żołnierzom wyklętym i kombatantom II wojny światowej można, wpłacając darowiznę na konto fundacji Red Is Bad.

Rachunek bankowy: PKO BP
76 1020 1013 0000 0002 0354 7858

eprasa.pl d5eabde7d4

Z Iloną Łepkowską, scenarzystką, konsultantką scenariuszową „Korony królów”
rozmawia Wojciech Wybranowski

„Korona królów” odniesie

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Jak wynika z informacji podanej przez WirtualneMedia.pl, średnia widownia pierwszych pięciu odcinków „Korony królów” wyniosła 3,09 mln osób, dwa pierwsze odcinki obejrzało 3,71 mln osób. Sukces?

ILONA ŁEPKOWSKA: W dzisiejszych czasach to z pewnością sukces. Można przecież łatwo prześledzić wskaźnik oglądalności różnych nowych seriali i telenowel, które pojawiały się w ostatnich latach. Z tego, co mi wiadomo – a dobrze się orientuję, bo śledzę ten rynek – to żadna produkcja od dłuższego czasu nie miała takiego otwarcia. Nie mówię tu oczywiście o Netflixie czy płatnych kanałach, ale o otwartym, ogólnodostępnym kanale telewizji.

Wysoka oglądalność wynika, pani zdaniem, z zainteresowania Polaków historią, głodem seriali historycznych czy raczej z burzy, która towarzyszy emisji „Korony...”?

Największa burza wybuchła po dwóch pierwszych odcinkach, a te miały przecież najwyższą oglądalność. Oczywiście wpłynął na to też fakt, że były one emitowane w Nowy Rok, dzień wolny od pracy, czyli dobrze wybrano termin emisji. Zanotowaliśmy natomiast spadek przy trzecim odcinku, 2 stycznia, a później znów wzrost. Czy widownia się ustabilizuje lub wzrośnie, czy w dalszej perspektywie czasowej to będzie sukces? Realne zainteresowanie będzie można zmierzyć po dwudziestu kilku-, trzydziestu odcinkach, więc poczekajmy trochę. Moim zdaniem liczba widzów się utrzyma albo nawet wzrośnie. Prezes TVP Jacek Kurski wspominał już, że serial rozkręci się ok. 20. odcinka i rzeczy-

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. MARCIN MAKOWSKI

wiście, wtedy będzie dużo atrakcyjnych scen i wątków – np. świetnie zrobiony odcinek koronacji, pełen emocji, efektowny odcinek z polowaniem, będzie też wątek – przygotowany trochę na wzór sceny z Hamleta – w którym wesołkowie odgrywają na Wawelu sztukę mającą dać coś do zrozumienia królowej Jadwidze... Będą pojawiać się rzeczy bardzo atrakcyjne dla widza, więc liczba oglądających ma szanse wzrosnąć. Poza tym uczymy się cały czas, jak robić historyczną telenowelę. Tę naszą „naukę" oglądają widzowie, ale wydaje mi się, że jeśli człowiek się uczy, a serial staje się coraz lepszy, to żaden wstyd.

Wspomniała pani o takich scenach jak koronacja czy polowanie, ale zastanawiam się, czy to zainteresuje widzów, których do seriali historycznych bądź quasi-historycznych przyciągają pojedynki, wielkie bitwy, ewentualnie – jeśli jest to serial z elementami fantasy – stwory z legend: orki, gobliny...

Orki, trolle są w filmach fantasy w rodzaju „Władcy Pierścieni" czy „Gry o tron". Przecież w „Tudorach", „Borgiach" czy „Templariuszach" nie ma żadnych nadprzyrodzonych stworów...

Są pojedynki...

Tak, oczywiście, ale nie tylko o tego typu efektowność widzowi chodzi. Każdy ma swoje zdanie i zobaczymy, kto ma racje, ale według mnie chodzi przede wszystkim o emocje. Widz chce oglądać serial wtedy, gdy są w nim ciekawie i prawdziwie pokazane emocje bohaterów – a „Korona królów" takie emocje, według mnie, niesie – widz może je przeżywać, utożsamiać się z którymś z bohaterów, opowiedzieć się po jednej ze stron. Jeśli w filmie byłyby nawet najbardziej atrakcyjne wizualnie sceny bitew i pojedynków, świetnie zrobione, a pomiędzy widzami a postaciami nie istniałaby prawdziwa więź, nawiązana właśnie poprzez emocje, to takie sceny nic by nie dały.

Jakie są największe trudności związane z pisaniem scenariusza do serialu historycznego, dość nietypowego jednak?

Najpierw trzeba się nauczyć wielu rzeczy, faktów, nazwisk czy dat. Druga rzecz – trzeba znaleźć konwencję, w jakiej scenariusz będzie pisany, oraz język, którego będą używać postacie. Musi być zrozumiały dla widzów. W przypadku „Korony królów" pojawiają się zarzuty, że stylizacja języka na średniowieczną polszczyznę jest niewystarczająca, ale myślę, że gdybyśmy zdecydowali się na utrzymanie dialogów w konwencji bardzo ścisłej staropolszczyzny, to byłyby one dla większości widzów niezrozumiałe i oglądający by tego po prostu nie znieśli. Wyważenie proporcji między językiem stylizowanym a językiem współczesnym jest bardzo ważne, ale też bardzo trudne. Proszę zwrócić uwagę, że gdy oglądamy seriale zagraniczne, w większości realizowane w języku angielskim, to tylko osoby znające ten język bardzo dobrze są w stanie zauważyć, na ile jest on językiem z epoki, a na ile współczesnym. A w naszym przypadku wszyscy ten język krytykują, przypominając m.in. seriale sprzed 30 lat. Świat się jednak zmienił. Filmy się zmieniły. I widz też się zmienił, więc trzeba spróbować dotrzeć do tego nowego widza. Przecież ostatnia polska produkcja historyczna to „Królewskie sny" z 1988 r. Sprzed 29 lat.

Nie mogę się tu zgodzić. A „Twierdza szyfrów" lub „Czas honoru"?

Język używany przez bohaterów „Czasu honoru" jest współczesny. A „Wojennym dziewczynom" zarzuca się, że jest zbyt współczesny.

Specjaliści zauważają rosnące zainteresowanie Polaków historią, ale zwracają uwagę, że dotyczy to przede wszystkim dziejów żołnierzy wyklętych, II wojny światowej lub czasów opozycji antykomunistycznej, rzadziej zaś czasów średniowiecznych, rycerstwa I Rzeczypospolitej.

> **Mam nadzieję, że „Korona królów" to będzie w pewnym sensie otwarcie drzwi dla takich produkcji**

Tak było dotąd, ale myślę, że pozytywnym efektem hejtu, który spada na „Koronę...", jest to, że wielu ludzi, chcąc sobie wyrobić obiektywną opinię na temat prawdy historycznej tej telenoweli, zaczyna szukać informacji w Internecie, sięgać do książek historycznych. Znajoma, nie dalej jak wczoraj, powiedziała mi, że sama zaczęła wertować książki, by sprawdzić, jak to było w czasach Łokietka i Kazimierza Wielkiego, bo zdała sobie sprawę, iż niewiele pamięta z czasów szkolnych, a zaczęło ją to interesować. Zainteresowanie średniowieczem zaowocowało już jakiś czas temu powstaniem dużej liczby grup rekonstrukcyjnych. Nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak są one popularne. Kiedyś byłam w Szczecinie na spotkaniu autorskim, poszłam na spacer, weszłam na dziedziniec zamku i trafiłam w sam środek średniowiecza – byli rycerze i kmiecie, ktoś piekł na rozgrzanych kamieniach podpłomyki, jakaś kobieta wróżyła, używając dawnych metod, inna pisała przy użyciu run... To też są nasi widzowie, często zresztą, ze względu na swoją wiedzę, krytyczni...

eprasa.pl d5eabde7d4

Przyznam się, że sam – mam nadzieję – nie najgorzej znając historię, zacząłem pod wpływem serialu googlować i sprawdzać, jak to było z romansami Kazimierza Wielkiego.

Jeszcze „Korona królów" nie weszła na ekrany, a już pojawiło się w Internecie sporo postów sugerujących, że będziemy chodzić na pasku obecnej władzy i na pewno ze względu na wybielanie Kazimierza nie będziemy wspominać o gwałcie na Klarze Zach i konsekwencjach, jakie niosło to zdarzenie; że nie będziemy go pokazywać jako babiarza; że nie będziemy krytykować średniowiecznego kleru... O Klarze Zach była już mowa, a bp Jan Grot, w którego wciela się Robert Gonera, obdarzać będzie przywilejami w zamian za łapówki... Wiele faktów, o których a priori mówiono, że ich nie pokażemy, w „Koronie królów" jest jednak pokazywanych.

Zastanawiam się jednak, czy dzisiaj, gdy młodzi wolą książki, a częściej nawet filmy i gry fantasy, gdy po powieści historyczne np. Paukszty czy Gąsiorowskiego częściej sięga natomiast – to oczywiście moje odczucia – starsze pokolenie, „Korona królów" nie stanie się serialem dla pań, gospodyń domowych w średnim i starszym wieku.

Nawet jeśli będzie to serial dla pań w średnim i starszym wieku, mówię też o sobie, to panie w średnim i starszym wieku także mają prawo oglądać serial, który będzie utrzymany w konwencji dla nich zrozumiałej i w tempie dla nich możliwym do przyjęcia, z językiem, który rozumieją, pozbawionym wulgaryzmów, bez przesadnego okrucieństwa. Każdy ma prawo mieć coś dla siebie, a te panie w starszym i średnim wieku z reguły nie mają kanałów płatnych telewizji, nie oglądają Netflixa czy Showmaxa, a też mają często ochotę obejrzeć jakąś produkcję historyczną. Ja nie lekceważę żadnego widza. Mam nadzieję, że jeśli będzie to sukces, a wierzę, że będzie, to znajdą się pieniądze – czy to w stacji publicznej, czy którejś z prywatnych – na zrobienie serialu z dużo większym budżetem i dużo większym rozmachem, że „Korona królów" to będzie w pewnym sensie otwarcie drzwi dla takich produkcji. My oczywiście dostajemy po głowie jako pierwsi, którzy te drzwiczki lekko uchylili po latach zamknięcia.

A jak zrobić serial historyczny, by zainteresować nim młodych?

Twierdzi się, że trzeba, jeśli chodzi o młode pokolenie dziewcząt, obsadzić w głównej roli przystojnego chłopaka. Cóż, mam nadzieję, że Kazimierz Wielki jest wystarczająco przystojny, by stać się gwiazdą dla młodych. A poważnie, to potrzebne są szybsze tempo i więcej scen bardzo efektownych wizualnie, ale my tego nie przeskoczymy; po prostu nie mamy pieniędzy na zbiorowe sceny czy komputerowe efekty. Zresztą w telenoweli obowiązuje zupełnie inna konwencja. Jednak wie pan, mam wśród znajomych na Facebooku sporo młodych ludzi. I np. napisał do mnie pewien 16-latek z Podkarpacia, że jest troszkę zły, bo premiera „Korony królów" ma być w Nowy Rok, a on w tym czasie całą rodziną ma jechać na obiad do babci i tam nie zdoła jej spokojnie obejrzeć, bo będzie hałas. Po czym napisał mi z zadowoleniem, że jest przeziębiony, nie pojechał z rodziną na rodzinne spotkanie, więc serial zobaczy. I jemu się podoba, zadaje pytania, chce wiedzieć, co będzie dalej. Uspokajam więc pana, to nie jest tak, że widownią są wyłącznie te starsze panie. Poza tym warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. Podając wskaźniki oglądalności, liczymy widownię telewizyjną, natomiast jest bardzo duża liczba odsłon tego serialu w Internecie, a tam na VOD film oglądają z reguły osoby młodsze, bo to one mają odruch oglądania w ten sposób filmów. Czyli do widowni telewizyjnej, policzalnej np. za pomocą badań Nielsena, trzeba dodać tych wszystkich, którzy oglądają „Koronę..." w necie.

Ilona Łepkowska

FOT. ŁUKASZ DEJNAROWICZ/FORUM

A gdyby któraś ze stacji zwróciła się do pani z propozycją zrobienia scenariusza do serialu historycznego, proponując, by to pani wskazała okres, ewentualnie powieść do zekranizowania, jaki byłby pani wybór?

Mam ciągoty do XIX w., wynikające z tego, że mój ojciec, historyk, zajmował się tym okresem, zaczynał od badania powstania listopadowego, co mnie też bardzo interesuje. Epizod dotyczący Piotra Wysockiego był niedawno w sztuce Tomczyka o marszałku Piłsudskim. Tata mój napisał książkę o Wysockim, który był przecież wspaniałą postacią. Młody chłopak, który pociągnął za sobą wielu ludzi, co zaowocowało wybuchem powstania. Serce mi dyktuje taki wybór, choćby przez pamięć o pracy mojego taty.

Dlaczego, pani zdaniem, przez wiele lat w polskiej telewizji publicznej nie zrealizowano polskiego serialu historycznego innego niż dotykającego czasów II wojny światowej?

Po pierwsze i najważniejsze – były pieniądze. Nie było ich wystarczająco, więc zaczęto robić współczesne telenowele. Kiedy telewizje zaczęły świetnie zarabiać na reklamach właśnie dzięki tanim serialom i telenowelom współczesnym, zabrakło motywacji, by kręcić rzeczy bardziej skomplikowane w produkcji oraz droższe. Dominowało myślenie: Po co zmieniać coś, na czym tak dobrze się zarabia? Powstawały więc kolejne „Klany", „M jak miłość", kolejne seriale dziejące się w szpitalu, nie były to rzeczy drogie ani trudne w produkcji, a telewizje na nich dobrze wychodziły. Mogę więc powiedzieć, że najpierw sama przyczyniłam się w pewnym stopniu do powstania takiego trendu, a teraz staram się go zmienić...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

wyprzedaż w empiku

do -50%

Dla Klientów mój empik

20 zł

Wystarczy kupić jeden produkt z wyprzedaży.

Kupon 20 zł do realizacji do 30.01.18 przy zakupach za min. 60 zł produktów nieobjętych promocją i wyprzedażą.

~~39,99~~ **27,99** oprawa miękka

Czasami kłamię
Alice Feeney

~~59,90~~ **47,92** oprawa twarda

Budka Suflera. Memu miastu na do widzenia
Jarosław Sawic

~~39,99~~ **29,99** oprawa miękka

Superfood, czyli jak leczyć się jedzeniem
Sophie Manolas

~~249,99~~ **124,99** Xbox One/ PS4

~~179,99~~ **72,00** PC

The Evil Within 2
Gra PC/PS4/Xbox One

~~249,99~~ **149,99** Xbox One/ PS4

~~179,99~~ **107,99** PC

Śródziemie. Cień wojny
Gra PC/PS4/Xbox One

~~44,99~~ **22,49** CD

Andrea Bocelli
Incanto

~~49,99~~ **24,99** CD

Różni wykonawcy
Bravo. Zima 2018

~~19,99~~ **9,99** DVD

La La Land
DVD

~~19,99~~ **9,99** DVD

Balerina
DVD

Regulamin promocji dostępny w punkcie info oraz na stronie www.empik.com/regulaminy-empiku

empik

eprasa.pl d5eabde7d4

Łukasz Warzecha

W 2016 r. na produkcję filmową PISF wydał ogółem 111 mln zł. Tylko serial „The Crown" miał kosztować Netflixa ponad 450 mln zł. Czy mamy szansę na produkcję światowej klasy?

Czy będzie polska „The Crown"?

FOT. ALEX BAILEY/NETFLIX

Minęły dwa lata rządów PiS, który za jeden z najważniejszych kierunków działania uznawał kształtowanie wizerunku Polski za granicą i działanie w sferze kultury, także popularnej. Nie widać jednak na horyzoncie tego, co dawno powinno się było pojawić: filmu (zgodnie z obecną modą – najlepiej serialu) pokazującego któryś z fascynujących wątków naszej historii. I to nie w zwykłej dla polskiej kinematografii biedakonwencji, ale na światowym poziomie.

Obejrzawszy drugi (będą kolejne) sezon serialu „The Crown", wyprodukowanego przez platformę Netflix, poczułem serię ukłuć zazdrości. W całkowicie komercyjnych warunkach powstał jeden z najbardziej rojalistycznych filmów wszech czasów. Brytyjska monarchia nie mogła sobie wyobrazić lepszej reklamy niż „The Crown". Warto się temu filmowi przyjrzeć bliżej i wyciągnąć wnioski.

NA BOGATO

Twórcą serialu jest Peter Morgan, autor scenariusza m.in. filmu „The Queen" („Królowa") z 2006 r. Pisząc scenariusz „The Crown", Morgan oparł się na własnej sztuce teatralnej „Audiencja", pokazującej kilkanaście spotkań kolejnych brytyjskich premierów z królową. W serialu te spotkania są ważnym elementem. „The Crown" rozpoczyna się od końcówki panowania Jerzego VI, ojca Elżbiety II (niektóre odcinki sięgają jeszcze dalej w przeszłość), drobiazgowo, z najmniejszymi szczegółami odtwarzając świat początku lat 50. Serial w głównych wątkach opiera się na relacjach, wspomnieniach, tekstach prasowych i badaniach. Posługuje się fikcją tam, gdzie wchodzi w sfery ściśle prywatne rodziny królewskiej, ale wszystko mieści się w granicach prawdopodobieństwa.

Nie ma w „The Crown" słabych kreacji – od samej królowej, granej przez Claire Foy, poprzez niezrównanego Filipa (Matt Smith), księżniczkę Małgorzatę (Vanessa Kirby), do drugoplanowych, ale wyraźnie zaznaczonych ról, takich jak Winston Churchill (genialny John Lithgow) czy Pip Torrens jako Tommy Lascelles, wieloletni prywatny sekretarz Jerzego VI, a potem Elżbiety II. Jednak dobrym aktorom trzeba dobrze zapłacić.

Morgan miał na to wszystko pieniądze – bo to jest czynnik, bez którego każde kino historyczne będzie dziś wyglądać rozpaczliwie amatorsko. „The Crown" miało kosztować Netflixa ok. 130 mln dol. – czyli

ponad 450 mln zł – choć nie było jasne, czy to cena jednej serii czy również kolejnych. Sam Netflix nie przedstawił nigdy szczegółów kosztorysu. Niektórzy twierdzili, że to najdroższa produkcja w historii amerykańskiej platformy VOD, ale zaprzeczył temu Peter Morgan. Z pewnością jednak to jeden z najdroższych seriali w historii.

Dla porównania – najdroższy polski film wszech czasów, skądinąd niezwykle marne „Quo vadis", kosztował 76 mln zł. I były to pieniądze bardzo źle wydane. W „The Crown" natomiast uszycie sukni ślubnej przyszłej królowej do sceny z pierwszego odcinka (ślub Elżbiety z Filipem Mountbattenem) to wydatek 35 tys. dol. (ponad 120 tys. zł). Tak czy owak inwestor nie żałuje funduszy, a efekty są więcej niż spektakularne.

Polskie biedaseriale, nawet przy porządnym scenariuszu, są realizowane za tak małe pieniądze, że nie mają szans odnieść sukcesu na światowych rynkach, bo sprawiają wrażenie realizowanych 30 lat temu. Tak było choćby z „Czasem honoru", scenariuszowo niezłym, ale kręconym w trzech plenerach na krzyż, choć i tak za stosunkowo niemałe jak na polskie warunki fundusze. Inne filmy, pokazujące interesujące momenty polskiej historii – jak choćby serial „Miasto z morza" z 2009 r., opowiadający o budowie Gdyni w latach 20. XX w. – są koszmarne i scenariuszowo, i scenograficznie. Sprawiają wrażenie, jakby tworzyli je amatorzy. To nawet nie trzecia, ale 10. liga w porównaniu z ekstraklasą w rodzaju „The Crown".

Wiadomo, że Polski Instytut Sztuki Filmowej nie wyłoży nigdy pieniędzy porównywalnych nawet ze skromniejszymi produkcjami platform takich jak Netflix czy HBO. W całym 2016 r. na produkcję filmową ogólnie PISF wydał 111 mln zł. Polski serial na miarę „The Crown" musiałby zatem mieć prywatnego, zagranicznego inwestora. A do tego potrzebny jest pomysł, który da się sprzedać na całym świecie.

Owszem, Netflix produkuje pierwszy polski serial, który ma mieć premierę w tym roku, ale nie będzie to raczej film, który można potraktować jak wizytówkę naszego kraju – tak jak „The Crown" można potraktować jako wizytówkę Zjednoczonego Królestwa. Chodzi bowiem o klasyczne political fiction. Ośmioodcinkowa seria ma opowiadać o alternatywnym świecie, w którym istnieje dzisiejszy postęp technologiczny, ale komunizm nie upadł i świat nadal dzieli żelazna kurtyna. Jednym z reżyserów będzie Agnieszka Holland. Możliwe, że szykuje się dobre i trzymające w napięciu kino, ale nie o to nam przecież chodzi. Rzecz w tym, żeby powstał film, który w atrakcyjnej formie opowie widzom na całym świecie o Polakach w którymś z najciekawszych momentów naszej historii. Który – nie idąc w stronę tępej i płaskiej dydaktyki – wytłumaczy, dlaczego jesteśmy tacy, jacy jesteśmy. Tak jak istotę brytyjskości uchwycił w swoim serialu Morgan.

Taki polski serial nie może się posługiwać językiem drętwej państwowej propagandy, której dziś dużo (co, jak można zakładać, w którymś momencie spowoduje masową niechęć i odwrót od natrętnie narzucanej bohaterszczyzny). To bowiem jest siłą „The Crown". Twórcom serialu udała się rzadka sztuka: pokazując monarchię od kulis, nie tylko nie naruszyli jej fundamentów i wciąż tkwiącego w niej sacrum, lecz także przeciwnie – umocnili je.

Można „The Crown" odczytywać po prostu jako serial schlebiający plotkarskim apetytom publiki, ale byłoby to odczytanie bardzo powierzchowne. Prawdziwym tematem jest bowiem napięcie pomiędzy ludzkimi cechami, namiętnościami i potrzebami ludzi, będących żywymi symbolami monarchii i ciągłości imperium, a brzemieniem służby, które muszą dźwigać. Jak to pogodzić – nie wiadomo, nie ma tu prostej odpowiedzi. Każdy radzi sobie inaczej. W pierwszym odcinku król Jerzy VI daje młodemu Filipowi radę: „Twój prawdziwy zawód to ona [Elżbieta]". Filip musi się wyrzec własnych potrzeb i ambicji, żeby stać przy swojej żonie, która z chwilą koronacji stała się kimś więcej niż tylko arystokratką z rodziny królewskiej.

To serial o wielkim wyrzeczeniu, czynionym w dodatku nie po prostu dla władzy – bo brytyjski monarcha takowej praktycznie nie ma – ale dla państwa, dla jego trwałości i poczucia pewności jego obywateli. Gdy w niejednej scenie „The Crown" królowa matka narzeka, że nowoczesne obyczaje burzą mur konieczny dla trwania monarchii jako fundamentu państwa, twórcy serialu nie pokazują tych narzekań z kpiną czy dystansem, jak można by się spodziewać. To ostrzeżenie, które wybrzmiewa z pełną mocą. To nie jest kino dla zaprzysięgłych przeciwników monarchii.

WYKORZYSTAĆ KONIUNKTURĘ

Podobnie powinniśmy myśleć o polskim serialu marzeń. Lista potencjalnych tematów jest ogromna. W latach międzywojennych mieliśmy jeden z najsprawniejszych w Europie wywiadów, co w dziś już mocno trącącym myszką serialu „Pogranicze w ogniu" (z Olafem Lubaszenką i Cezarym Pazurą, premiera w 1992 r.) pokazał Andrzej Konic. Remake „Pogranicza" za porządne pieniądze mógłby być wielkim przebojem, także eksportowym. Mieliśmy niebywałe wręcz historie sensacyjno-szpiegowskie w czasie II wojny światowej, z Kazimierzem Leskim „Bradlem" i organizacją Muszkieterów czy Krystyną Skarbek na czele. To praktycznie gotowe scenariusze filmowe, godne wielkich pieniędzy na produkcję. Mieliśmy cichociemnych i dramatyczne losy Polaków na Zachodzie, z bratobójczymi sporami między dawnymi piłsudczykami a ludźmi Sikorskiego. Mieliśmy wojnę polsko--bolszewicką (na „1920. Bitwę Warszawską" spuśćmy lepiej miłosiernie zasłonę milczenia).

A można też sięgnąć dalej i śmielej. Można sobie wyobrazić kuszącą zachodniego widza egzotyką scenografii i intrygi nową filmową wersję Sienkiewiczowskiej „Trylogii" albo pomyśleć o nowej realizacji „Czarnych chmur" – ongiś rekordowo popularnego serialu TVP (1973), opowiadającego o polityczno-wojennych intrygach na pograniczu Rzeczypospolitej i Prus Książęcych w XVII w. Można stworzyć olśniewający serial na podstawie „Huraganu" Gąsiorowskiego. I tak dalej, i tak dalej.

To tylko garść pomysłów, jak się zdaje, dość oczywistych. Pełna lista zajęłaby wiele stron. Pozostaje zagadką, dlaczego poza nieudolnymi próbami (choćby koszmarna wręcz „Bitwa pod Wiedniem", polsko-włoska koprodukcja zasilona pieniędzmi PISF) żaden z tych historycznych wątków nie został podchwycony i przekuty w pomysł, którym można by zainteresować zasobnego zagranicznego producenta, być może przy pomocy polskiego państwa. Rzec by można, że przy takim materiale pieniądze dla twórców leżą na ulicy. Czemu nikt ich nie podnosi?

Obawiam się, że skończy się jak zawsze. Dobra koniunktura dla takich projektów minie, bo miną rządy partii, która przynajmniej deklarowała zainteresowanie nimi. Pozostanie nam gryźć z zazdrości palce, oglądając trzeci sezon „The Crown".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

W kraju bez Boga

Piotr Gociek

„Bezbożnicy" to jeden z najlepszych seriali roku 2017 i jeden z najlepszych westernów ostatniej dekady

W westernie najważniejsze jest oczekiwanie. Z reguły szybko dowiadujemy się, kto jest czarnym charakterem i kto będzie chciał mu się przeciwstawić. Reszta to czekanie na finałową rozprawę, która czasem trwa ledwie kilkadziesiąt sekund. To, co najciekawsze, rozgrywa się pomiędzy. Kto ostatecznie wesprze samotnego szeryfa – zapijaczony starzec, młody narwany kandydat na rewolwerowca, kaznodzieja, który prócz dźwięku własnych słów lubi huk wystrzałów? A może właścicielka lokalnego saloonu, przejeżdżający właśnie nieopodal jeździec znikąd czy zrozpaczony farmer, który postanowi wziąć sprawiedliwość we własne ręce?

Pewne rzeczy się nie zmieniają: jeśli zamkniesz w areszcie jednego gagatka, to pozostali przybędą go odbić; jeśli w okolicy osiedli się bogaty ranczer, to jego ludzie pięścią i pistoletem będę chcieli odebrać ziemię sąsiadom, a kawaleria – no cóż, kawaleria zawsze przybędzie za późno. Owo westernowe „pomiędzy" to czas przemiany bohaterów i próby ich charakterów. Jak poradzimy sobie, gdy przyjdzie walczyć na własną rękę, co naprawdę kochamy, za co warto umrzeć. Tutaj, na dzikiej granicy, gdzie do sędziego zawsze daleko, a do Waszyngtonu jeszcze dalej.

JAK NAJLEPSZY DRESZCZOWIEC

„Bezbożnicy" („Godless"), siedmioodcinkowy serial Netflixa, to jedno z najciekawszych dokonań ostatnich lat. W natłoku premier ostatnich miesięcy przeszedł niezauważony, z dala od dyskusji o „Dark", o drugim sezonie „Stranger Thing", o czwartym sezonie „Black Mirror" czy o koszmarnej superprodukcji „Bright". Dzieło Scotta Franka (maczał w nim palce także Steven Soderbergh) to produkcja świetnie wymyślona, doskonale zagrana, niegłupia i jednocześnie, jak to się teraz mówi, „highly watchable" – trzyma w napięciu przy ekranie jak najlepsze dreszczowce. Co ważne: nie jest to antywestern, nie jest to dekonstrukcja mitu o Dzikim Zachodzie ani opowieść na siłę opowiadana po nowemu (spójrzcie na zgubne skutki, jakie przyniosło to nowej wersji „Siedmiu wspaniałych").

Oto dwie główne linie fabuły, które pięknie się splatają w emocjonującą całość. Pierwsza – tragedia miasteczka La Belle (Nowy Meksyk), położonego na obfitych złożach srebra. W katastrofie górniczej giną niemal wszyscy mężczyźni z La Belle – kopalnia była dla nich głównym miejscem pracy. Owdowiałe kobiety muszą sobie radzić same. Czy da się kopalnię uruchomić ponownie? Czego będą chcieli ewentualni inwestorzy? Jak przetrwać do tego czasu? Okolica jest niebezpieczna, włóczą się po niej bandyci, a i do wrogo nastawionych Indian jest niedaleko. Tymczasem na straży bezpieczeństwa La Belle stoją jedynie starzejący się i tracący wzrok szeryf Bill McNue (znany z serialu „Halt and Catch Fire" Scoot McNairy) oraz jego nastoletni pomagier Whitey Winn (Thomas Brodie Sangster, jedna z gwiazd

eprasa.pl d5eabde7d4

serii „Więzień labiryntu", wyrastający na coraz ciekawszego aktora).

I druga część historii. Na obrzeżach miasteczka pojawia się tajemniczy przybysz znakomicie obeznany z bronią i milczący na temat swojej przeszłości. Wystarczy rzut oka, by wiedzieć, że to nie farmer, nie handlarz, lecz ktoś niebezpieczny. To Roy Goode (Jack O'Connell), członek bandy okrytego złą sławą Franka Griffina. Roy ucieka przed swoimi dawnymi wspólnikami, a jego torbę wypełnia zagrabiona gotówka. Gdy w środku nocy wjedzie na farmę Alice Fletcher (Michelle Dockery, gwiazda serialu „Downton Abbey"), właścicielka najpierw go postrzeli (w końcu to podejrzany obcy na jej ziemi), a potem zacznie opatrywać (chyba nie taki zły, no i zdecydowanie mniej groźny, gdy postrzelony). W zamian za pomoc w obejściu pomoże mu się ukrywać. Wszyscy chcą bowiem dopaść Roya Goode'a – szeryf, agenci federalni, no i przede wszystkim jego były szef, Frank Griffin, przywódca okrytej wyjątkowo ponurą sławą bandy złoczyńców.

Największym skarbem „Bezbożników" (wśród całej galerii ciekawych postaci, o których więcej za chwilę) jest właśnie Griffin, główny antagonista, grany przez Jeffa Danielsa. Nobliwy, spokojny, o patriarchalnej siwej brodzie, w niczym nie przypomina komiksowych rozwrzeszczanych złoczyńców, od których roi się we współczesnej popkulturze. Jednocześnie jego okrucieństwo nie zna granic, a drogę, po której stąpa, znaczą całe wyrżnięte osady.

Boją się go i ci, którzy o nim tylko słyszeli, i ci, którzy za nim podążają – przedziwna zresztą i zwyrodniała gromadka. Bezbożny Griffin nie jest jednak postacią jednowymiarową, to człowiek mocno połamany i ciężko doświadczony. Siłą rzeczy skupia wokół siebie równie pokręconych wyrzutków, dbając, by byli to ludzie odpowiednio podatni na manipulację i posłuszni. Sam przy tym jest karykaturą patriarchy, żołnierza i pastora – zło, jak wiemy, jest przedrzeźnianiem dobra.

Za Griffinem stoi bardzo ciekawa historia, nie mieliśmy dotąd chyba w amerykańskich serialach tak nakreślonej postaci. Był dzieckiem osadników ciągnących na zachód, lecz jego rodzina została wymordowana przez mormonów w masakrze w Mountain Meadows. Ofiarą fanatycznej mormońskiej milicji (która upozorowała napad Indian) padło wtedy 120 osób, w tym kobiety, starcy i dzieci. Oszczędzono jedynie najmłodszych. Jednym z porwanych i adoptowanych przez mormonów kilkulatków jest w serialu właśnie Frank Griffin. (O masakrze w Mountain Meadows powstał kilka lat temu film „Wrześniowy świt" – historycznie akuratny, ale niestety słaby).

WESTERNOWE MIASTO KOBIET

Mamy zatem człowieka, którego z rodziny wyrwali mordercy opacznie interpretujący słowo Boże, a który wyrósł potem na krwawego bezbożnika, uzurpującego sobie prawo do ferowania Bożych wyroków i twierdzącego, że zna ścieżki opatrzności (utrzymuje np., że miał wizję, w której ujrzał moment swojej śmierci – dopóki wizja się nie ziści, dopóty Griffin jest niezwyciężony). Uciekający przed dawnymi kumplami Roy Goode mocno jednak nadszarpnął reputację Griffina, bo ciężko go postrzelił. To nie rana jednak boli najbardziej, tylko zdrada. Griffin widział w Royu przybranego syna, którego chciał kształtować na swój obraz i podobieństwo. Teraz zdradzony bandzior zamienia się w anioła zemsty, łatwo więc można sobie wyobrazić, co jego wizyta w miasteczku La Belle, do którego wiedzie trop Roya, może oznaczać dla mieszkańców: wdów, matek, dzieciaków, starców i ślepnącego szeryfa.

Wracamy więc do wątku numer jeden – westernowego miasta kobiet. Mnóstwo się tu dzieje, bo w serialu wiele jest ciekawych kobiecych postaci. I proszę zauważyć, że w odróżnieniu od sfeminizowanych na siłę ostatnich „Gwiezdnych wojen" Scott Frank i Steven Soderbergh znaleźli ku temu rozwiązaniu powód całkowicie naturalny i zrozumiały. Prócz dzielnej Alice Fletcher dającej schronienie Royowi Goode'owi (czy wspomniałem, że durzy się w niej szeryf McNue?) mamy jej teściową, Indiankę Iyovi, mamy siostrę szeryfa, która lepiej radzi sobie z bronią niż niejeden mężczyzna, mamy masę bohaterek w samym miasteczku: jedna kiedyś była burdelmamą, teraz prowadzi szkołę, inna to trapiona wątpliwościami (same nie damy rady, oddajmy się komuś w opiekę) najbogatsza dama w mieście itd.

Pomysły, które dają okazję do tworzenia takich konstrukcji, są dziś w popkulturze na wagę złota: kobiety są dziś częściej czytelniczkami książek oraz odbiorczyniami seriali i filmów niż mężczyźni, więc we wszelakiej fikcji przybywa postaci tworzonych z myślą o nich. Wiem, że niejeden oczekiwałby tu narzekania na polityczną poprawność wymuszającą zmiany, ale może najpierw panowie przyznaliby się, że zbyt wiele godzin spędzają dziś przy PlayStation albo transmisjach sportowych zamiast z książką w dłoni.

Jak przystało na prawdziwy western, doczekacie się w „Bezbożnikach" krwawej finałowej rozgrywki. Znakomicie wymyślonej i zrealizowanej, która byłaby ozdobą niejednego kinowego hitu, i mocno przy tym zaskakującej, bo oryginalnej. Cały serial jest zresztą dowodem na to, że western nie umarł, że zgrane – zdawałoby się – do cna klisze można twórczo wykorzystać i zaproponować rozrywkę niegłupią oraz na poziomie. Jako opowiastka umoralniająca, czyli jako western klasyczny, też się sprawdza, choć prowadzi do finału nieoczywistymi drogami. Roy Goode okaże się brakującym wzorem ojca dla dziecka Alice Fletcher, szeryf McNue przezwycięży swą słabość, a mieszkanki La Belle okażą stosowną determinację, choć przyjdzie im za to gorzko zapłacić.

Kraj bez Boga zmieni oblicze, gdy dobrzy ludzie przeciwstawią się bezbożnikowi, zatwardziali grzesznicy mogą liczyć na karę, a skruszeni – na odkupienie win. Pan Bóg zaś pomaga najchętniej tym, którzy nie boją się pomóc sami sobie. Jest w „Godless" drobniutki wątek, pięknie poprowadzony: w dotkniętym wielką tragedią La Belle powstaje kościół. Na nieliczne kobiety poświęcające swój wolny czas, by heblować deski i wbijać gwoździe, inne patrzą jak na wariatki – przecież wyczekiwany ksiądz na pewno nie przyjedzie, miał tu być dawno temu i próżno go wszyscy oczekiwali. Kościół mimo to rośnie, bo trzeba mieć wiarę: postawcie kościół, to i kapłan się znajdzie. Nie ustawajcie w wysiłkach, a kraina bez Boga zmieni się w ziemię żyzną i szczęśliwą. No, w każdym razie szczęśliwszą, niż gdy jedynym prawem był tu demoniczny (ale i złamany), przerażający (lecz godzien współczucia) Frank Griffin.

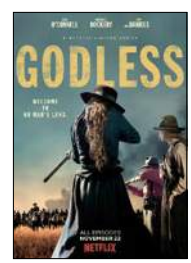

★★★★★☆

REŻ. SCOTT FRANK „GODLESS" USA 2017

wyst. Jack O'Connell, Michelle Dockery, Jeff Daniels, Scoot McNairy, dystr. Netflix

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

Katarzyna Kostrzewska

Pejzaż dumy narodowej

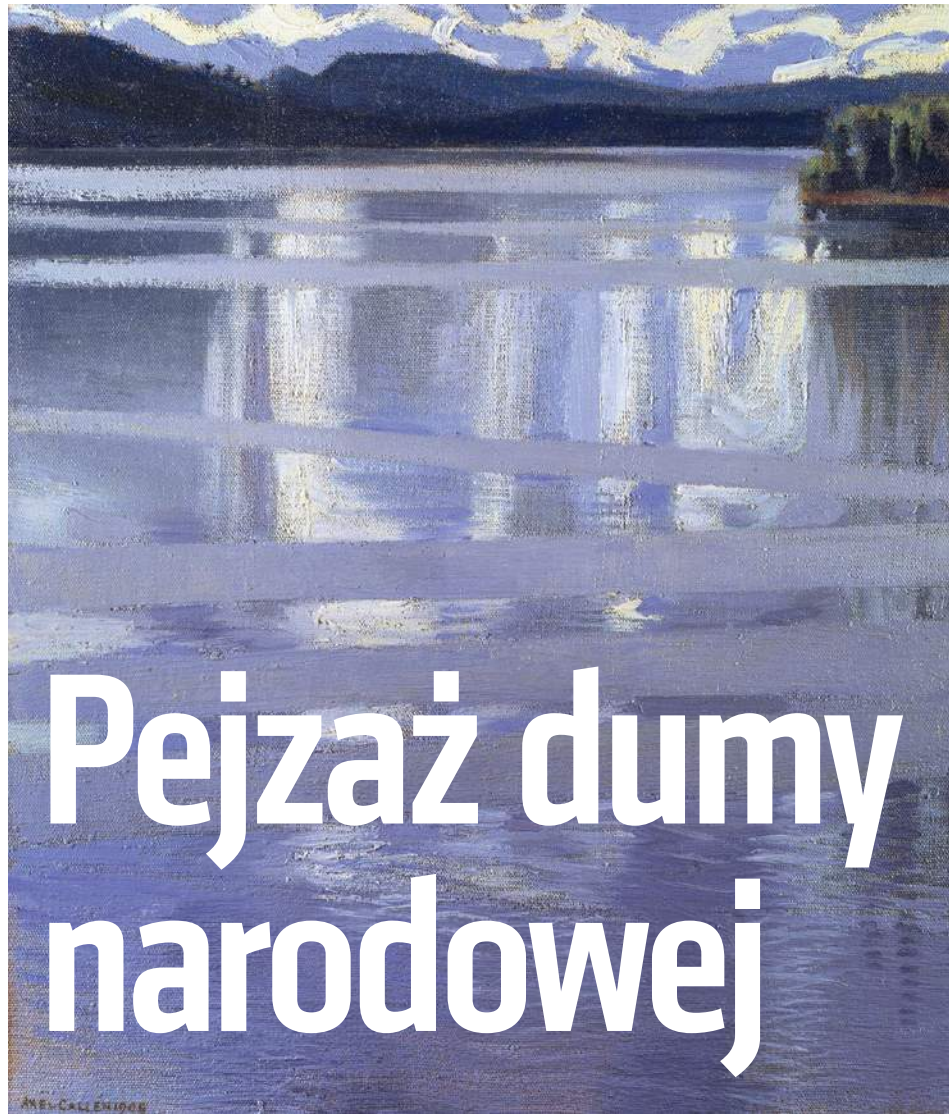

Londyńska National Gallery uczciła stulecie odzyskania niepodległości przez Finlandię wystawą dzieł Akselego Gallena-Kalleli

Obraz zakupiony w 1999 r. jest jedynym dziełem artysty w Wielkiej Brytanii i jedynym fińskim obrazem w kolekcji londyńskiej National Gallery. Jednocześnie jest to jeden z najbardziej lubianych obrazów w tejże galerii, który swoją popularnością dorównuje szacownym Janom van Eyckom i Vincentom van Goghom.

Dość powiedzieć, że kiedy na potrzeby obecnej wystawy przeniesiono go do innej sali, już w porze lunchu do dyrekcji National Gallery wpłynęło wiele skarg od odwiedzających z zapytaniem: „Gdzie jest obraz?". Mowa o „Jeziorze Keitele" autorstwa wybitnego fińskiego artysty Akselego Gallena-Kalleli z 1905 r. Harmonijność kompozycji i spokój, który emanuje z pejzażu, przyczyniły się do niezwykłej popularności obrazu. Jeśli jednak sięgniemy głębiej, to okaże się, że ten stylizowany pejzaż jest w istocie manifestem dumy narodowej. Organizując niewielką wystawę poświęconą jednemu ze swoich najbardziej popularnych obrazów i jego autorowi, The National Gallery świętuje stulecie odzyskania niepodległości przez Finlandię.

TRZONEK OD SIEKIERY

Akseli Gallen-Kallela jest jednym z najwybitniejszych fińskich artystów końca XIX i pierwszych trzech dziesięcioleci XX w. Dzieciństwo spędził na prowincji. W domu i szkole nie mówiono po fińsku, jako że kraj przez 700 lat pozostawał pod panowaniem szwedzkim, a za życia artysty był od stu lat pod panowaniem rosyjskim. Artysta nie był zadowolony z tego stanu rzeczy – szczególnie z edukacji w języku szwedzkim – i samodzielnie pogłębiał znajomość fińskiego. Z dobrymi efektami, chociaż ponoć do końca życia mówił z akcentem i używał czasami słów, które wyszły z użycia. Już jako dorosły człowiek dodał do swojego nazwiska drugi człon – Kallela, żeby brzmiało ono bardziej po fińsku. Artysta wybudował sobie pracownię malarską nad jednym z odległych i trudno dostępnych jezior (jezioro Ruovesi), w tak odludnym miejscu, że nawet dzisiaj dostanie się tam jest nie lada wyzwaniem. Sama pracownia jest dziełem sztuki, bo artysta zaprojektował i wykonał w niej każdy detal. Gallen-Kallela przez całe życie oprócz malarstwa zajmował się rzemiosłem artystycznym. Wykonywał witraże, interesował się tkaniną artystyczną. Tak bardzo cenił sztukę użytkową, że mawiał, iż nie zatrudni ucznia, jeśli ten nie będzie umiał wystrugać trzonka od siekiery.

MIŁEGO DNIA, PANIE KALEWALA

„Kalewala" to opracowana i zebrana przez Eliasa Lönnrota kompilacja fińskich mitów i podań ludowych. Wydana w 1835 r. epopeja narodowa jest do dzisiaj uważana za jedno z najważniejszych dzieł fińskiej literatury. „Kalewala" miała swój poważny wkład w budzenie się świadomości narodowej, bo to właśnie dzięki niej Finowie na nowo odkryli swoją mitologię (o Kareli czytaj także na stronie 64). Począwszy od „Tryptyku Aino" z 1891 r. Gallen-Kallela malował motywy zaczerpnięte z tej księgi i tak bardzo był z nią utożsamiany również poza granicami swojego kraju, że kiedy Teodor Roosevelt spotkał artystę przypadkowo podczas wizyty w Nairobi, powitał go słowami: „Miłego dnia, Panie Kalewala".

W tym samym czasie w świecie muzyki popularyzował mitologię fińską wybitny kompozytor i przyjaciel malarza Jean Sibelius. Obydwaj artyści byli bardzo zaangażowani w sprawę odzyskania niepodległości przez Finlandię i kiedy w końcu kraj w 1917 r. uwolnił się spod panowania rosyjskiego, to właśnie Gallen-Kallela (nie tylko zresztą ze względu na międzynarodową sławę, lecz także przez wzgląd na świetną znajomość fińskiej sztuki ludowej)

eprasa.pl d5eabde7d4

Wersja „Jeziora Keitele" z londyńskiej galerii FOT. NATIONAL GALLERY LONDON (3)

projektował banknoty, znaczki, flagi i medale dla rodzącego się państwa.

SAMOTNOŚĆ W PARYŻU

Akseli Gallen-Kallela najpierw kształcił się w Helsinkach, a potem przez pięć lat w Paryżu. Tam zyskał międzynarodową sławę, której owocem były wystawy w całej Europie. Był na bieżąco ze wszystkim trendami współczesnej mu sztuki, ale nie wszystkim był zachwycony. W listach krytykował impresjonistów i fowistów, a symbolizm oraz realizm zaadoptował do celów swojego malarstwa, kiedy ten był już passé. „Jestem okropnie samotny w zniewieściałym Paryżu – pisał w 1888 r. do przyjaciela w Finlandii. – Myślę z zazdrością o tym, że oddychasz świeżym wiejskim powietrzem". Dla artysty, który przez całe życie podróżował nie tylko po Europie, lecz także po Afryce i Ameryce Środkowej, szukając inspiracji w naturze, Paryż był najwyraźniej zbyt duszny i wielkomiejski.

Niemniej to właśnie lata spędzone w Paryżu przyniosły mu sławę i zamówienie na serię fresków, które wykonał dla pawilonu fińskiego na Wystawę Światową w Paryżu w 1900 r. Freski z motywami z „Kalewali" i zgrabnie wkomponowanymi elementami antyrosyjskimi okazały się wielkim sukcesem. Zostały zniszczone w czasie demontażu pawilonu. To oraz fakt, że drugi zestaw wspaniałych malowideł ściennych wykonany przez artystę dla Mauzoleum w Pori, które w ciągu kilku miesięcy płynnie osunęły się po mokrej ścianie tegoż, a także malaria, na którą artysta zapadł podczas swojej kolejnej podróży, spowodowały, że chory i pogrążony w smutku Gallen-Kallela zamieszkał nad jeziorem Keitele.

NAD JEZIOREM KEITELE

Cztery wersje „Jeziora Keitele" specjalnie na potrzeby wystawy w Londynie wypożyczone z innych kolekcji nigdy nie były razem wystawiane. Różnią się gamą kolorystyczną i stopniem zbliżenia do natury. Dwie pierwsze, a wśród nich moja ulubiona, która do śmierci pozostała w kolekcji własnej artysty, są stylizowane. Dwie pozostałe – wśród nich obraz z londyńskiej galerii – są bardziej naturalistyczne. O obrazie kurator napisała, że spotykają się w nim pejzaż z mitologią, polityka z wewnętrzną wizją, prymitywizm z poszukiwaniami idącymi w kierunku abstrakcji. Obraz uważany jest za jeden z najbardziej emblematycznych pejzaży skandynawskich tamtych czasów. Zygzakowate smugi na tafli jeziora są zjawiskiem naturalnym powstałym na styku odziaływania wiatru i prądów

wodnych, zresztą malowanym wcześniej przez Johna Bretta. Niemniej smugi, które były zjawiskiem naturalnym dla angielskiego prerafaelity, dla Gallen-Kalleli były śladami pozostawionymi przez łódź Väinämöinena, barda z „Kalewali", który odpływając, obiecał, że kiedyś wróci. Tym samym „Jezioro Keitele" jest jedną z ostatnich i najmniej dosłownych ilustracji do „Kaleweli". Echem odbija się w nim fascynacja obrazami francuskiego realisty Julesa Bastiena-Lepage'a, którego pośmiertna wystawa zrobiła na artyście ogromne wrażenie i pozostaje nie bez związku z pracami artystów z kręgu Szkoły z Pont-Avent.

„Jezioro Keitele" jest wybitnym dziełem modernizmu skandynawskiego, to jednak nie wyjaśnia fenomenu jego popularności. Być może odpowiedź leży w autentyzmie. Gallen-Kallela nie był artystą, który przejeżdżając, zachwycił się urokliwym jeziorem, ale malarzem, którym nad nim mieszkał, który kochał fińską przyrodę za jej piękno i zdołał wszystkie te uczucia zamknąć w tym obrazie. I najprawdopodobniej właśnie to, obok oczywistości, że jest to bardzo dobrze skomponowany i namalowany obraz, stanowi o jego oszałamiającym sukcesie oraz powoduje, że jest celem wypraw turystów na równi z „Małżeństwem Arnolfinich". A gdy na chwilę znika z sali, w której jest eksponowany, do dyrekcji napływają listy ze zażaleniami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Stąd do nicości

Masz się za pechowca? Życie płata ci brzydkie figle? Obejrzyj „Atak paniki". Poczujesz się, jeśli nie lepiej, to przynajmniej jednym z wielu. A w kupie, jak wiadomo, zawsze raźniej.

Reklamowe slogany zwykle mają wątły związek z rzeczywistą jakością produktu. Debiut Pawła Maślony promuje obietnica: „Nie zapomnisz tego, nie ma szans". Czy „Atak paniki" na dłużej pozostanie w głowach widzów, to się jeszcze okaże. Trzeba jednak przyznać, że robi wrażenie. Choćby „amerykańskim" montażem i konstrukcją, rzadko spotykaną w naszym kinie. Cała obsada zasługuje na brawa, Artur Żmijewski udowodnił, że po zdjęciu sutanny nadal jest znakomitym aktorem, Magdalena Popławska chyba zagrała rolę życia.

Fabuła składa się z siedmiu przeplatających się historii. W dodatku nie wszystkie dzieją się w tym samym czasie. Na ekranie pojawiają się m.in. radiowiec przepowiadający kosmiczną katastrofę, gadatliwy cudzoziemiec, kelner uzależniony od gry komputerowej, trzech ujaranych małolatów, dojrzewająca do poważnego związku autorka kryminałów oraz panna handlująca swym ciałem w Internecie. Kluczowe pytanie, czy zła karma zawsze wraca, pozostaje bez jednoznacznej odpowiedzi. Nie ulega jednak wątpliwości, że los okrutnie sobie drwi z bohaterów filmu, stawiając ich w sytuacjach, w których nikt nie chciałby się znaleźć.

Zwykle jest tak, że w krytycznych momentach spadają maski, ludzie się odsłaniają. Wykazują brak asertywności lub przeciwnie: nadmiar agresji. Przestają też panować nad językiem. Przyzwyczailiśmy się już do bluzgów wydobywających się z ust żuli, dzieciaków i przedstawicieli szanowanych niegdyś profesji. Kino ma niezaprzeczalne zasługi w oswajaniu Polaków z mową, od której więdną uszy. Tutaj przynajmniej ma ona jakieś fabularne uzasadnienie.

Łatwiej oglądałoby się „Atak paniki" z wiarą, że debiutant wyssał wszystko z brudnego palucha, że skierował kamerę na jakichś „onych", których znamy tylko z widzenia. Spójrzmy jednak w lustro. Kogo nie wkurzają pętające się pod nogami sierściuchy, namolni towarzysze podróży, czyhające w sieci trolle lub znajomi, którzy zapowiadają się z wizytą, stojąc pod twoim drzwiami – ręka w górę!

Krytycy porównują „Atak paniki" z argentyńskimi „Dzikimi historiami" czy „Magnolią" Thomasa Andersona. Motyw rodzinnej fety zakończonej kociokwikiem można wszak uznać za danie firmowe polskiej kinematografii. Nie wszystkie tryby w maszynie Maślony się zazębiają, lecz perfekcjonizm bardziej pasuje inżynierom niż artystom. A przypominania, że spacerujemy nad przepaścią, wąchając kwiaty, nigdy dosyć. © ℗

★★★★★☆

REŻ. PAWEŁ MAŚLONA
„ATAK PANIKI"
POLSKA 2017

wyst. Dorota Segda, Artur Żmijewski, Magdalena Popławska

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „CUDOWNY CHŁOPAK"

Ekranizacja bestsellerowej powieści R.J. Palacio (w Polsce ukazała się kilka tygodni temu) i jeden z większych kasowych sukcesów ubiegłego roku – nakręcony za 20 mln dol. film zarobił niemal 10 razy tyle. Krzepiąca opowieść o chłopcu dotkniętym syndromem Collinsa (genetyczne schorzenie, wskutek którego chory ma zdeformowaną twarz) przełamującym uprzedzenia szkolnych rówieśników. © ℗ ***Piotr Gociek***

- ***reż. Stephen Chbosky „Cudowny chłopak" („Wonder"), USA 2017, wyst. Julia Roberts, Owen Wilson, Jacob Tremblay***

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- ***reż. Enrique Gato „Tedi i mapa skarbów" („Tadeo Jones 2. El secreto del Rey Midas"), Hiszpania 2017***
- ***reż. Robert Wichrowski „Syn Królowej Śniegu", Polska 2017***
- ***reż. Will Wernick „Escape Room", USA 2017***

eprasa.pl d5eabde7d4

Metal i ziemniak

Za starzy na rock and rolla, za młodzi, by umierać. Marcyś, Jaro, Lizzy i Makar mają po trzydzieści kilka lat i czują, że to ostatni moment, by rzucić wyzwanie przeznaczeniu. Zwłaszcza że pani burmistrz (powalająca Dominika Kluźniak) kusi sutą unijną dotacją, jeśli zapomną o waśniach i reaktywują „Eksterminatora". Panowie podpisują kontrakt, który okazuje się cyrografem. Zamiast ukochanych, satanistycznych kawałków będą musieli grać na festynach „Kolorowe jarmarki", „Imię deszczu" i tym podobne hity, cenione w miasteczku szczycącym się mianem stolicy ziemniaka. Czy szorstka, męska przyjaźń przetrwa tę ogniową próbę?

Tak zwanych romantycznych komedii kręci się u nas mnóstwo. Film Michała Rogalskiego należy do gatunku „buddy movie", rzadko uprawianego przez polskich twórców, przekonanych, że kasowy sukces łatwiej osiągnąć, podlizując się żeńskiej części widowni. Sześć lat temu przez ekrany przemknęły „Bobry" – czarna komedia o powracających na scenę punkowcach. „Exterminator" powinien sprzedać się lepiej, gdyż jest to produkt mainstreamowy, adresowany nie tylko do fanów ciężkiego brzmienia. A przy tym daje do myślenia. Sporo tu zabawnych bonusów: jednym z nich jest pan sprzedający kiełbaski, drugim – Janusz Chabior ucharakteryzowany na Frankensteina. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. MICHAŁ ROGALSKI
„GOTOWI NA WSZYSTKO. EXTERMINATOR"
POLSKA 2017

wyst. Paweł Domagała, Krzysztof Czeczot, Piotr Żurawski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIEJSKI SKOK STULECIA

Poznajcie rodzinę Loganów, podobno największych pechowców w okolicy. Bieda u nich aż piszczy. Zdesperowany, wyrzucony z pracy Jimmy (Channing Tatum) wspólnie z bratem okaleczonym w Iraku (Adam Driver) przygotowuje plan nielegalnego zdobycia gotówki. Warto obejrzeć ten duet, bo para wiejskich chłopków-roztropków z Wirginii Zachodniej w ich wykonaniu to mistrzostwo świata. Mogą liczyć jeszcze na pomoc siostry (Riley Keough), ale najbardziej będzie im potrzebny spec od materiałów wybuchowych (Daniel Craig) wciąż odsiadujący wyrok. Jak zdobyć gotówkę? Jak wydobyć speca z więzienia? Wreszcie jak uniknąć nadmiernego zainteresowania ze strony władz? To pytania, na które Steven Soderbergh, reżyser „Logan Lucky", odpowiada w wyśmienitym stylu. Obsada trafiona jest w punkt (nie zapominajmy jeszcze o Hilary Swank jako agentce FBI), dialogi znakomite, całość bawi równie dobrze jak „Ocean's Eleven" tegoż autora. Jeden z najlepszych filmów roku 2017. ©℗

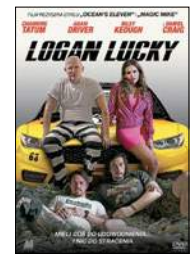

★★★★★☆

REŻ. STEVEN SODERBERGH
„LOGAN LUCKY"
USA 2017, DYSTR. MONOLITH

wyst. Channing Tatum, Adam Driver, Daniel Craig

MIASTO ORKÓW I ANIOŁÓW

Za 90 mln dol. David Ayer („Legion samobójców") zrobił film, który jest zrzynką z „Dnia próby" i „Zwierzogrodu", tyle że głupszy i nudniejszy. Zamiast dzielnego króliczka marzącego o karierze w policji Zwierzogrodu tu mamy ogra wstępującego do służby w Los Angeles. Rzecz dzieje się bowiem w alternatywnej rzeczywistości, gdzie elfy, ogry i ludzie żyją pospołu. Pomysł zrealizowany jest idiotycznie: niby inny świat, ale wszystko wygląda tak samo – samochody, telewizja (no, może elfy mają ładniejsze wieżowce). Niby alegoria: elfy są amoralne jak to bogacze, ludzie znajdują się pośrodku drabiny społecznej, a ogry są prześladowaną mniejszością. Tak jak Latynosi czy Murzyni zakładają gangi, noszą kaptury i w ogóle czują się wykluczeni. Po 15 minutach alegoria robi się nudna, dialogi są drętwe jak gra aktorska Willa Smitha, a co do fabuły to lepszą znajdziecie w byle odcinku „Black Mirror" lub „Doktora Who". Niestety, będzie sequel. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

★★☆☆☆☆

REŻ. DAVID AYER
„BRIGHT"
USA 2017, DYSTR. NETFLIX

wyst. Will Smith, Joel Edgerton, Noomi Rapace

GRA TYGODNIA: „PLAYERUNKNOWN'S BATTLEGROUNDS"

★★★★☆☆

Jeśli ktoś z państwa kojarzy japoński horror SF „Battle Royale" albo amerykańską wariację na jego temat („Igrzyska śmierci"), w świecie Battlegrounds poczuje się jak w domu. To właściwie ten sam koncept, polegający na zrzuceniu na bezludną wyspę grupy rywalizujących ze sobą śmiałków. Podczas walki o zasoby i zawężania pola gry liczba konkurentów maleje do momentu, w którym przy życiu zostaje tylko jeden. To, co było receptą na trzymające w napięciu filmy, okazało się przepisem na najpopularniejszą produkcję 2017 r. Niestety, nadal odstrasza ogromna liczba błędów utrudniających płynną zabawę. ©℗ ***Marcin Makowski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *FPS/TPP*
- ***Platforma:*** *PC/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *PUBG Corporation*
- ***PEGI:*** *16+*

eprasa.pl d5eabde7d4

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Na tropach Breughla

Do historii opisanej przez Magdalenę Ogórek w „Liście Wächtera" nie umywają się najlepsze detektywistyczne historie. Ta książka to dowód na to, że najbardziej wybujała fantazja nie dorównuje życiu.

Tytułowy bohater, a właściwie antybohater książki dr Ogórek – Otto von Wächter – był austriackim baronem. Ten doktor prawa w wieku 29 lat wstąpił do NSDAP, dwa lata później, w 1932 r., do SS. W 1934 r. wziął udział w spisku mającym obalić rząd kanclerza Dollfussa. W okupowanej Polsce został gubernatorem dystryktu Kraków. To on założył w tym mieście getto. Potem Himmler mianował go gubernatorem lwowskim, gdzie m.in. powołał do życia osławioną Dywizję SS-Galizien. Po wojnie ukrywał się w Watykanie, skąd miał wyjechać, wzorem innych zbrodniarzy hitlerowskich, do Ameryki Południowej. Nie doszło do tego, w 1949 r. zmarł w rzymskim szpitalu, prawdopodobnie otruty.

Na sztuce znał się nieźle, ale prawdziwą ekspertką w tej dziedzinie była jego małżonka. Na nasze nieszczęście.

Historią opisaną przez Magdalenę Ogórek w końcu lutego żyła – nie przesadzam wcale – cała Polska. Dowiedzieliśmy się wtedy o generale SS, który wraz z małżonką ograbił Kraków z dzieł sztuki, i ich potomku, który – w gruncie rzeczy na skutek perswazji autorki „Listy Wächtera" – co nieco z tych rzeczy oddał.

Tak naprawdę to Horst von Wächter przekazał na ręce wojewody małopolskiego obiekty zrabowane przez jego matkę: XVIII-wieczną mapę Rzeczypospolitej Obojga Narodów, miedzioryt na papierze wprawiony w drewnianą ramę i stanowiący blat stołu; akwarelę Julii Potockiej przedstawiającą pałac Pod Baranami Potockich i ukazującą stan faktyczny Krakowa z połowy XIX w. oraz renesansowy miedzioryt prezentujący Kraków w czasach tejże epoki, oprawiony w ozdobną ramę z tego samego okresu. Niewątpliwie nie są to arcydzieła z najwyższej półki, ale i o takich mowa jest w „Liście Wächtera".

FOT. DAREK GOLIK/WPROST/FORUM

Magdalena Ogórek relacjonuje to, jak trafiła na trop Ottona von Wächtera i jego żony Charlotty, jak dotarła do ich syna, jak przełamała naturalną z jego strony nieufność i jak wpłynęła na postrzeganie przez niego rodziców, zwłaszcza ojca – hitlerowskiego zbrodniarza. Przez cały czas narracja dotyka kwestii kradzieży dzieł sztuki z okupowanej przez Niemców Polski, także tych z najwyższym znakiem jakości, np. „Portretu młodzieńca" Rafaela Santi, którego nie odzyskaliśmy i szanse na jego odzyskanie są praktycznie żadne.

2 grudnia 1939 r. w Krakowie Otto von Wächter zarekwirował inny obraz niezwykłej wartości – „Walkę karnawału z postem" Pietera Breughla Młodszego, przy czym należy dodać – najprawdopodobniej, bo istnieją opisy wskazujące jako autora Breughla Starszego. Najpewniej dzieło wywiezione zostało na rynek wiedeński. W tamtejszym Kunsthistorisches Museum znajduje się „Walka…", ponoć jednak pochodząca z praskich zbiorów Rudolfa II Habsburga. Niewykluczone, że „polski Breughel" był tylko repliką, ale wartą – lekko licząc – 20 mln funtów.

Lista skradzionych w Polsce artefaktów sporządzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego liczy 63 tys. pozycji. Jednak historycy sztuki szacują nasze straty na pół miliona obiektów. Zdecydowana większość z nich z całą pewnością nie wróci do Polski, ale to, co zrobiła dr Ogórek, w gruncie rzeczy na własną rękę, bo nie stały za nią żadne majętne ani specjalnie ważne instytucje, zasługuje na szacunek i uznanie.

Jej książka jest po części reportażem, po części esejem o sztuce, pasjonującą publicystyką, a jeśli ktoś się uprze, to i kryminałem. Jednak przede wszystkim to z pasją napisana historia wielkiego złodziejstwa, gigantycznego szabru przeprowadzonego – a jakże! – za milczącym przyzwoleniem władców wojennego i powojennego świata. „Lista Wächtera" po raz kolejny uświadomiła mi też, jak sprytnie udało się Austrii wyjść z twarzą z wojny, udając ofiarę, podczas gdy było się pierwszym pomocnikiem kata. To do Wiednia zwozili hitlerowcy obrazy zrabowane rodzinom żydowskim, to tutaj kierowano dzieła mające znaleźć się w zbiorach muzeum Hitlera w Linzu.

Niejako przy okazji warto tu przypomnieć, że Austriakami byli m.in. Adolf Eichmann, Alois Brunner, Franz Stangl. Także Adolf Hitler był pochodzenia austriackiego. No i Otto von Wächter. ©℗

★★★★☆

MAGDALENA OGÓREK „LISTA WÄCHTERA. GENERAŁ SS, KTÓRY OGRABIŁ KRAKÓW"
ZONA ZERO 2017

eprasa.pl d5eabde7d4

Zmieniamy się dla Państwa

REPUBLIKA

Analfabet III RP

niedziela 21:30

PIOTR GOCIEK

zaprasza

Nowa książka Piotra Goćka!

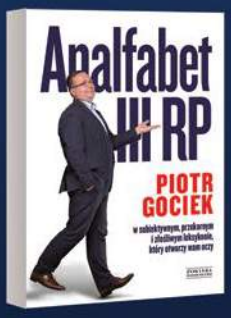

JUŻ W SPRZEDAŻY

Oglądaj Telewizję Republika: www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl d5eabde7d4

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Troski pana Llosy

Tytuł jest trochę zwodniczy. „O czytaniu i pisaniu" – głosi, a przecież zagłębiamy się w pierwszy esej i przede wszystkim jest to kawałek pięknej prozy autobiograficznej. Mario Vargas Llosa, objaśniając, jak powstawała powieść „Zielony dom", wraca bowiem do dawnych lat, do wciąż żywych fascynacji, wspomnień i do decyzji o tym, by zostać pisarzem. Jednakże przecież cały jest z czytania i pisania, więc siłą rzeczy opowiadając o tych dwóch sprawach, najwięcej musi opowiadać o sobie.

Llosa jest też zwierzęciem politycznym, co zrozumiałe, gdy jest się pisarzem z kraju, którego ostatnie pół wieku to czas maoistowskiej partyzantki, nieudanego eksperymentu socjalistycznego oraz dyktatury wolnorynkowej. Z literatury skręca więc ku analizie socjologicznej (świetny kawałek o narodzinach nowoczesności w Peru – „Archaiczna utopia"). A w niej intrygujące zdanie, nad którego sensem mogliby zastanowić się i Polacy: „Wielu z nas wolałoby, żeby nowoczesność przyszła do nas dzięki wolności, za sprawą świadomego wyboru samych Peruwiańczyków, a nie przez tragiczne skutki katastrof gospodarczych i politycznej apokalipsy".

Króciutki tekst „Antonio nauczyciel" to z kolei fascynujący epilog i komentarz do najlepszej chyba powieści Llosy „Wojna końca świata". „Nie mógł dać swoim słuchaczom chleba, ale umiał nadać wartość i sens głodowi, który cierpieli" – pisze Llosa o kaznodziei Antonio Vicente Mendesie, figurze zadziwiająco podobnej do niektórych ascetów, którzy wyrośli po drugiej stronie świata, na ziemiach rosyjskiego imperium.

Llosa zmaga się też ze swoimi literackimi fascynacjami. Sporo i gorzko pisze o Sartrze, nieustannie z entuzjazmem o Flaubercie (co łączy peruwiańskiego noblistę z Milanem Kunderą). Nad sensem opowiadania historii, czyli istotą literatury, zastanawia się w szkicu poświęconym Juanowi Carlosowi Onettiemu (Któż pamięta czasy, gdy utwory urugwajskiego pisarza były ozdobą serii iberoamerykańskiej Wydawnictwa Literackiego?).

Książkę zamyka zaś wspomnieniowy szkic „Kraj o tysiącu twarzy", pierwsza przymiarka do autobiografii „Jak ryba w wodzie" – informuje we wstępie Tomasz Pindel, tłumacz i autor tego wyboru, który stanąć powinien na półce każdego miłośnika dobrej literatury w Polsce. ©℗

★★★★★☆
MARIO VARGAS LLOSA „O CZYTANIU I PISANIU"
WYDAWNICTWO W PODWÓRKU 2017

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Autor biografii Gierka i Jaruzelskiego tym razem opowiada o ich poprzedniku, który rządził PRL 14 lat, zaczynając od fali entuzjazmu i nadziei na „polską drogę do socjalizmu", a kończąc jako polityk, który przegrał wszystko.

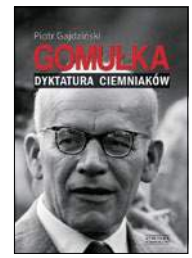

PIOTR GAJDZIŃSKI „GOMUŁKA. DYKTATURA CIEMNIAKÓW"
ZYSK I S-KA

Był jednym z najbardziej znanych katolickich duchownych w USA, prowadził własne programy w radiu i TV, dwukrotnie wyróżniony został nagrodą Emmy. Książka pokazuje, dlaczego jego wystąpienia są proste, mądre i pełne humoru.

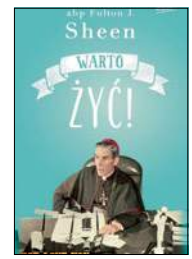

ABP FULTON SHEEN „WARTO ŻYĆ!"
ESPRIT

Rozszerzone wydanie książki niestrudzonego kronikarza tego, co zmyślone, więc prawdziwe. Żoliborz na kartach książek, w piosenkach, wierszach. Wielka dawka erudycji i historii (nie tylko literatury), praca iście benedyktyńska.

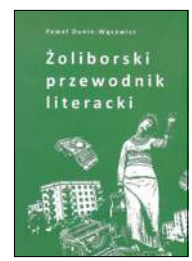

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ „ŻOLIBORSKI PRZEWODNIK LITERACKI"
LAMPA I ISKRA BOŻA

Pięknie ilustrowany zbiór zabawnych i pouczających krótkich tekstów, którymi autorzy pomagają zrozumieć młodym czytelnikom tak intrygujące terminy, jak „huncwot", „ikebana", „kontredans" czy „uroboros" albo „zagwozdka". ©℗

poleca Piotr Gociek

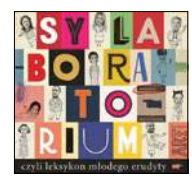

AUTORZY RÓŻNI „SYLABORATORIUM"
EGMONT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Zygmunt Miłoszewski „Jak zawsze" (WAB) – skrzyżowanie political fiction i romansu, niestety poniżej poziomu cyklu o komisarzu Szackim.***
2. ***Grzegorz Kubicki, Maciej Drzewicki „Ania. Biografia Anny Przybylskiej" (Agora) – opowieść o przedwcześnie zmarłej aktorce, znanej m.in. z serialu „Złotopolscy".***
3. ***Dan Brown „Początek" (Sonia Draga) – piąta powieść serii o Robercie Langdonie, której najbardziej znaną częścią był „Kod Leonarda da Vinci".***
4. ***Camilla Läckberg „Czarownica" (Czarna Owca) – 10. tom cyklu kryminałów, którego bohaterami są Erika Falck i Patrik Hedström.***
5. ***Regina Brett „Kochaj" (Insignis) – nowa książka autorki m.in. bestsellerów „Bóg nigdy nie mruga" i „Jesteś cudem". Poradnik krzepiący i motywujący.***

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik w dniach 11–31 grudnia 2017 r.)

eprasa.pl d5eabde7d4

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Tinder na ptaszki i flety

Dziesiąty album Islandki jest przeciwieństwem poprzednika. „Vulnicurę" przepełniały ciemna woda i mroczne tematy, „Utopię" wypełniają powietrze i światłość.

Dwa lata temu Björk rozstawała się z mężem, amerykańskim artystą Matthew Barneyem. Teraz nagrała – jak to określiła – „Tinder album", czyli płytę o szukaniu miłości i możliwości. Rzeczywiście muzyka jest rozświetlona przez wsamplowane ptaszki, 12-osobowy zespół islandzkich flecistek, harfę, chór mieszany czy oniryczne smyki. Nawet elektroniczne beaty czy syntezatorowe mgły są bardziej zwiewne niż wcześniej.

To nie jest alternatywny pop, za który Björk była ceniona w latach 90. Nie jest to też awangarda, mimo że nie znajdziemy na „Utopii" klasycznych piosenek. Kompozycje zmieniają kształty na podobieństwo dźwiękowych meduz. Muzyka płynie jakby na przekór prawom grawitacji i albo się jej poddamy, albo będzie nas irytować. Pięć z 14 kompozycji powstało we współpracy z wenezuelskim producentem Arcą, który jest współproducentem albumu.

Możliwe, że tak powinna brzmieć rajska, muzyczna utopia. Jeden z brytyjskich recenzentów trafnie jednak napisał: „Ładne miejsce na wizytę – piękne nawet – tylko nie chciałbyś tu żyć". Niestety, jest to najniżej notowany album Islandki na listach przebojów w Anglii (25. miejsce) i USA (75.). ©℗

★★★★☆☆
BJÖRK
„UTOPIA"
ONE LITTLE INDIAN

★★★★☆☆
THE ROLLING STONES
„ON AIR"
POLYDOR

Osiemnaście nagrań (32 w wersji deluxe) dokonanych w latach 1963–1965 przez Stonesów dla programów radiowych BBC. Bluesowe klasyki i pierwsze własne hity wykonane z niesamowitą werwą dokumentują drogę na szczyt Największej Grupy Rockowej. ©℗

★★★★☆☆
SPISEK
„SPISEK"
GAD

Rewelacyjne funkowe nagrania w stylu Earth, Wind & Fire zapomnianej formacji z Wrocławia. W sesjach z lat 1977–1978 wzięli udział przyszli muzycy Alex Bandu, Perfectu, Budki Suflera czy Porter Bandu. Trzy piosenki śpiewa Krzysztof Cugowski. ©℗

REKLAMA

ZDROWE FERIE
Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" Ciechocinek

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Czy cierpisz na?
- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- migreny kręgopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 14.01 - 25.02.2018 r.
posiłki w formie bufetu szwedzkiego
25 zabiegów na 7 dni pobytu
- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy lub stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

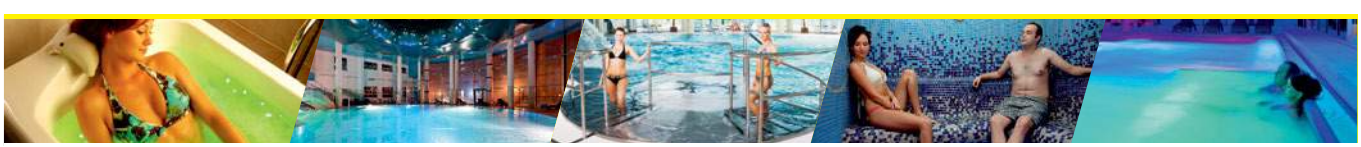

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl
rezerwacja@podtezniami.pl
tel. 54 416 70 00

eprasa.pl d5eabde7d4

Komu mienie?

Marek Jan Chodakiewicz

W USA wykuwają przepisy, dzięki którym organizacje mają mieć prawo do przejmowania dóbr po osobach poszkodowanych podczas II wojny światowej. Trzeba się do tego przygotować

Senat USA przegłosował akt normatywny S. 447 – JUST Act, czyli „Sprawiedliwość dla tych, którzy przeżyli i nie otrzymali zadość uczynienia". Teraz trafi on do Izby Niższej, czyli do Komisji Spraw Zagranicznych (ta rozważa już zresztą analogiczną propozycję zwaną House Resolution 1226). Jeśli Izba Niższa zaaprobuje tą legislację, to zostanie ona posłana do Białego Domu. I jest prawie pewne, że prezydent podpisze ustawę.

Oba akty prawne związane są z II wojną światową. A w USA okres 1939–1945 utożsamiany jest przede wszystkim z Holokaustem – akcją eksterminacyjną Żydów przeprowadzoną przez beznarodowych nazistów, którym pomagali miejscowi kolaboranci, w tym przede wszystkim Europejczycy Środkowo-Wschodni, a głównie Polacy. Procedowane prawo dotyczy przede wszystkim ofiar, którym należy się rekompensata. Ostrze tych propozycji kierowane jest przeciw tym, którzy na mordzie skorzystali, a więc rzekomym kolaborantom i ich spadkobiercom. I warto na to zwrócić uwagę, ponieważ dotyczy to również – a może przede wszystkim – Polski.

Szczególnie warto zwrócić uwagę na część zapisów, które dotyczą „własności bez spadkobierców" (heirless property). W kulturowej, politycznej, społecznej, gospodarczej i prawnej rzeczywistości Stanów Zjednoczonych „Osoby, które przeżyły" (Survivors) oznacza zwykle Żydów, którym udało się przeżyć Holokaust. Jednocześnie przyznaje się, że w większości nie ma ich indywidualnych spadkobierców. A kto ma dziedziczyć własność, jeśli nie spadkobiercy?

eprasa.pl d5eabde7d4

To nie Polacy przejęli mienie po zamordowanych Żydach. Tych ludzi zabijali i ograbiali Niemcy

REPROD. JAN BIELECKI/EAST NEWS

Wiadomo: spadkobiercy kolektywni, organizacje występujące w imieniu ofiar.

UWARUNKOWANIA

Rzeczpospolita jest jedynym państwem postkomunistycznym, które od 1989 r. nie uchwaliło nic wiążącego w sprawie restytucji mienia. Inne kraje mogą się zasłaniać mniej czy więcej ułomną legislacją, a Polska nie może pochwalić się niczym oprócz długiego cyklu bezpłodnych prób naprawienia krzywd niemieckiego narodowego socjalizmu i sowieckiego komunizmu.

Tymczasem opór wobec roszczeń popartych aktami normatywnymi Kongresu USA wpłynie fatalnie na pozycję Warszawy jako alianta Waszyngtonu. Rozkręcona machina medialna może doprowadzić do rysy na wizerunku naszego kraju w USA. A przy okazji przecież Bruksela zaciera ręce, by – wraz z Berlinem – utrzeć nosa rządzonemu przez krnąbrny i nieznośny PiS państwu nad Wisłą. Nad zawłaszczającymi cudze mienie Polakami ronić będzie też krokodyle łzy Rosja.

Prawda w polityce liczy się mniej niż przekaz. Polacy prawdy nie potrafią ani sobie, ani innym wyłożyć. Brak nawet podstaw nazewnictwa. A jak bez podstawowej wiedzy można wykuć spójne rozwiązania ustawodawcze i gospodarcze?

DEFINICJE

Jakiekolwiek prawodawstwo będzie musiało odzwierciedlać trzy koncepcje dotyczące mienia. Przede wszystkim mamy do czynienia z kwestią restytucji mienia. Restytucja to zwrot nielegalnie utraconego (zrabowanego czy skonfiskowanego) mienia prawowitym właścicielom. To nie to samo co reprywatyzacja. Reprywatyzacja oznacza oddanie ponownie w prywatne dłonie mienia, które kiedyś było prywatne, ale zostało zabrane przez państwo. Upaństwowione mienie można reprywatyzować, ale oznaczać to może np. przejęcie mienia przez postkomunistycznych kleptokratów, którzy za nominalną sumę zawłaszczają sobie zrabowaną przez Niemców, Sowietów czy ich tubylczych czerwonych plenipotentów własność prywatną. Reprywatyzacja więc może być restytucją, ale nie musi. Prywatyzacja natomiast to przekazanie w ręce prywatne mienia państwowego.

SPADKOBIERCY: PRAWO NATURALNE A RZECZYWISTOŚĆ

Mienie prywatne należy się po pierwsze prawowitym właścicielom indywidualnie. A następnie ich spadkobiercom. Jeśli nie ma takowych, to mienie przejmuje państwo. Taka jest praktyka na całym świecie.

Trochę inaczej może być z mieniem wspólnot, np. religijnych. Spadkobiercą jest zawsze ta sama wspólnota, jeśli nadal istnieje. Na przykład zrabowany przez zaborcę rosyjskiego po powstaniu styczniowym klasztor podlegający jednemu z zakonów Kościoła katolickiego pozostaje według prawa naturalnego własnością Rzymu.

W praktyce to się komplikuje. Powiedzmy, że klasztor przejęły mniszki prawosławne, a jego ziemię rozparcelowano między carskich stupajków, którzy sprzedali część za grosze spekulantom. Wraca Najjaśniejsza Rzeczpospolita, Kościół domaga się swego i zaczyna się galimatias. Czasami odzyskać się udało, a czasami nie.

Zresztą dotyczyło to również np. ziemian. Niewielu z nich udało się odzyskać zabraną przez cara ojcowiznę. Za udział w powstaniu listopadowym rodzinie mego pradziadka skonfiskowano Wolne i Przypust z przyległościami w guberni płockiej. I po 1918 r. nie odzyskaliśmy tego.

Kluczową sprawą jest zrozumieć to, co się stało na ziemiach polskich po 1939 r. w kwestii mienia ruchomego i nieruchomego. Wszędzie – pod sowiecką i niemiecką okupacją – największe straty w formie konfiskat generalnie poniosło państwo polskie. Jeśli chodzi o obywateli polskich, to własność prywatna miała się gorzej za bolszewików niż nazistów. Wszędzie cała ludność doświadczyła pauperyzacji, a ludność żydowska dosłownie utraty wszystkiego (w końcu wraz z życiem).

Pod zaborem sowieckim (1939–1941) skonfiskowano właściwie wszystko według strychulca klasowego. Naturalnie największe straty ponieśli etniczni Polacy, którzy na tamtych terenach byli najzamożniejsi, szczególnie ziemianie. Drugą największą grupą ofiar konfiskat byli Żydzi, szczególnie posiadacze nieruchomości, sklepów czy przedsiębiorstw (tartaki, młyny, gorzelnie).

Pod okupacją niemiecką (1939–1945) największymi ofiarami kolektywnymi rabunku mienia byli Żydzi. Skonfiskowano im wszystko, wraz z najdrobniejszymi przedmiotami własności prywatnej. Drugą nadreprezentowaną kategorią ofiar konfiskat były polskie elity chrześcijańskie – szczególnie na ziemiach wcielonych do III Rzeszy.

Podkreślmy: mienie prywatne przejęły państwa okupacyjne – Związek Sowiecki i III Rzesza oraz ich agendy, takie jak np. Generalna Gubernia. Na najniższym poziomie skonfiskowanym mieniem administrował i dysponował zarząd gminy czy miasta, a dokładniej rozmaite urzędy, np. urząd powierniczy. I tak, dajmy na to, gdy wysiedlono

eprasa.pl d5eabde7d4

Żydów z jakiejś kamienicy w Kraśniku, to urząd przyznawał tam mieszkania chrześcijanom i pobierał od nich czynsz. Gdy Sowieci powrócili do Polski i ustanowili nad Wisłą rządy przez tubylczego przedstawiciela, urząd miejski kontynuował pobór czynszu i zarządzanie zrabowanym mieniem. Wszystko zawłaszczone przez Niemców przeszło na rzecz Sowietów i ich tubylczych kolaborantów, czyli komunistów. W tym sensie instytucjonalną ciągłość prawną w zakresie skonfiskowanego mienia liczymy od III Rzeszy do Związku Sowieckiego i później PRL.

To nie Polacy przejęli od Niemców gross własności prywatnej ofiar II wojny światowej (żydów czy chrześcijan), lecz PRL od III Rzeszy. Naturalnie zdarzały się wyjątki, gdzie skorumpowane jednostki w rozmaity sposób starały się sfałszować dokumenty, aby móc przedstawiać się za spadkobierców zaginionych ofiar wojny. Jednak to był margines. Większość mienia kontrolowało komunistyczne państwo, które wnet podjęło całą serię działań ekspropriacyjnych własności prywatnej. Po prostu po 1945 r. na Polskę spadła kolejna fala rabunków.

Komuna rabowała siłą na podstawie dekretów. W większości przypadków nie pofatygowała się zmienić hipotek. Stąd często w księgach wieczystych wciąż mamy wpisy wskazujące na to, że znacjonalizowana własność wciąż należy do prawowitych właścicieli i ich spadkobierców – bez względu na ich pochodzenie: Polaków, Żydów, Niemców i innych.

CO ZROBIĆ?

Zbyt dużo własności przejęto i zbyt dużo czasu upłynęło, aby można zadowolić wszystkich. W większości przypadków będziemy mówili raczej o rekompensacie niż restytucji, chociaż pewna masowa forma reprywatyzacji powinna mieć miejsce.

Jeśli chodzi o nieruchomości, to wszędzie działa prawo dotyczące zasiedzenia. Po wielu latach od chwili zamieszkania w danej nieruchomości mieszkający staje się jej właścicielem. Na przykład w Szczecinie czy w ogóle na Kresach Zachodnich zasiedleńcy powinni wystąpić o wykreślenie przedwojennych właścicieli z ksiąg i wpisanie swoich nazwisk. I to powinno załatwić sprawę. Jeśli nie są wystarczająco uświadomieni, to Sejm powinien przeprowadzić odpowiednią ustawę. W każdym razie nie powinno być mowy o eksmisji po 70 latach zamieszkiwania w nieruchomości i utrzymywaniu jej już przez ponad dwa pokolenia.

Co zrobić z prawnymi spadkobiercami? Trzeba rozróżniać między różnymi własnościami. Na przykład nie należy oddawać majątków rozparcelowanych wśród chłopów (o co ziemianie przecież się nie ubiegają). Oddać można natomiast nieruchomości, szczególnie te, które są w zupełnej ruinie i obciążają Skarb Państwa, a więc podatnika (z wyjątkiem zabytków wysokiej klasy). Tam, gdzie nie można oddać w naturze, należy rekompensować stratę. Jedną metodą są obligacje państwowe czy bony restytucyjne. Po ich wypłacie można zrealizować 10 proc. ich wartości. Po 10 latach – 25 proc., po 25 latach – 50 proc., a po 50 latach 100 proc. I należy dozwolić na ich wolny skup, wykup i obracanie na giełdzie. Napędzi to rynek inwestycyjny.

Osobną sprawą będzie odzyskanie mienia na kresach. Obecnie obowiązujący krajowy system rekompensat powinien być wzmocniony działalnością dyplomatyczną w celu przedstawienia roszczeń polskich państwom spadkobiercom Sowietów. Tutaj operacje dyplomatyczne powinny funkcjonować na trzech płaszczyznach: restytucja mienia dla Polaków znajdujących się w tzw. wianuszku wileńskim; rekompensaty dla właścicieli i ich spadkobierców zamieszkałych na terenie obecnej RP; rekompensaty dla obywateli polskich – właścicieli i ich spadkobierców zamieszkujących poza granicami (i tutaj warto zróżnicować między rezydentami krajów postkomunistyczynych a Zachodu. Ci pierwsi powinni być traktowani w tej kategorii bardziej priorytetowo).

Pozwy organizacji międzynarodowych powinny przyjść na szarym końcu i zostać uprzejmie odrzucone, chyba że strategiczna sytuacja geopolityczna Polski będzie wymagać pewnego quid pro quo. Wtedy można się zastanowić, co za cenę takiego bezczelnego szantażu RP może uzyskać. Na razie jednak należy się uśmiechać i mile odmawiać – Polska to nie Szwajcaria.

Zagrabione przez nazistów dobra w Polsce szybko wpadły w ręce Sowietów. Na zdjęciu: Armia Czerwona „wyzwalająca" Kraków FOT. TASS/GETTY IMAGES

TWARZĄ W TWARZ

Należy też wypracować odpowiednią strategię negocjacyjną. I uświadomić sobie, że możliwość przejęcia praw do spadku indywidualnego przez podmiot kolektywny urąga prawu rzymskiemu. To absurd. A na takim absurdzie właśnie oparte są roszczenia organizacji żydowskich, które występują kolektywnie w imieniu wymordowanych współwyznawców, nie posiadając ku temu żadnej podstawy prawnej. W tym świetle nie liczą się uchwały Kongresu USA – w tym przypadku bowiem prawo nie działa wstecz.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Prawdziwy horror

Nie ma – jak wiadomo – na świecie rzeczy straszniejszej od tego, że nasz bliski ma rację. Straszne jest, kiedy rację ma żona. Straszliwe jest, kiedy rację ma ojciec. Jednak najstraszliwszy jest ten moment, kiedy rację ma matka.

Dotyczy to nie tylko małych dzieci, choć ze współczuciem obserwuję mojego syna, jak cierpi, gdy dociera do niego, że ten okropny człowiek zwany tatą miał słuszność. Co oczywiście zdarza się bardzo często. Chociaż nie tak często jak w przypadku mojej żony, bo ona rację ma po prostu zawsze.

Jednak nie trzeba być niepełnoletnim, by ciężko przeżywać triumf rodzica. Jesienią wybrałem się z moją dorosłą córką do Rumunii. Wieść o naszej wyprawie szybko rozeszła się po rodzinie. Nie musieliśmy długo czekać na garść ostrzeżeń i mądrości ze strony mojej mamy. Kluczową informację mama zaczerpnęła z telewizji, której od wieków nie traktuję jako źródła jakiejkolwiek wiedzy. Dlatego prychnąłem pogardliwie, gdy usłyszałem o opadach śniegu w Rumunii, które miały sparaliżować naszą wyprawę. – To pewnie gdzieś w wysokich Karpatach. My jedziemy do Transylwanii i Maramuresz. Tam nie ma śniegu – zawyrokowałem.

No i pojechaliśmy. Samolotem do Kluż-Napoki (brawo LOT, coraz fajniejsze trasy!), a tam wypożyczyliśmy samochód i ruszyliśmy na północ w kierunku strzelistych cerkwi nieopodal granicy z Ukrainą. Pogoda była wspaniała. Przynajmniej dopóty, dopóki nie wjechaliśmy w góry. Tutaj nagle rozpętała się śnieżyca. Boczne drogi, którymi się przebijaliśmy, były zasypane. Widoczność sięgnęła zera. Ja przypomniałem sobie przestrogę mamy, która okazała się trafniejsza niż internetowe prognozy pogody, i strasznie się wkurzyłem.

Na szczęście śnieżyca szalała tylko wysoko. Gdy pokonaliśmy jakoś najwyższe partie gór i zaczęliśmy zjeżdżać w sielskie okolice Maramuresz, śnieg zniknął, pojawiło się słońce i złociste odcienie jesieni. Dalej już żadnych komplikacji nie mieliśmy, a wycieczka była wielce udana. Przynajmniej dla mnie, bo co do mojej córki mam podejrzenia, że wynudziła się ze mną jak mops.

Po powrocie do domu zrelacjonowałem wyprawę żonie. I niestety w odpowiednim miejscu nie ugryzłem się w język. Wspomniałem o śnieżycy, a ona natychmiast ugodziła w mój czuły punkt. – Czyli twoja mama miała rację, ostrzegając was przed śniegiem – stwierdziła, doprowadzając mnie na skraj furii. Nie dość, że matka miała rację, to jeszcze wykazuje ci to żona, która też ciągle ma rację. Koszmar.

Na szczęście się opanowałem i nie stłukłem zastawy, z której raczyliśmy się herbatą. W rozmowie z mamą pilnowałem się bardziej i nic nie wspomniałem o śniegu. Nie mogła więc triumfować. Jednak od tej pory ciągle żyję w lęku, że ktoś jej powie, iż tam faktycznie sypało, a ja będę musiał przyznać, że miała rację. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Tsunami

We wtorkowej audycji „W tyle wizji" porównałem wydarzenia w polskim rządzie do tsunami.

Po trzęsieniu ziemi, jakim była zmiana premiera, wstrząsy wtórne wywołały wielka falę, która zmiotła wiele niezatapialnych jednostek, takich jak pancernik „Antoni", transatlantyk „Witold", okręt szpitalny „Mikołaj" i kanonierkę „Anna". Jednak w odróżnieniu od kataklizmów tektonicznych nasze wstrząsy są kontrolowane i przemyślane.

Tym, którym dziś puszczają nerwy, którzy deklarują, że nie zagłosują na Dudę, mogę odpowiedzieć: Jarosław Kaczyński wie, co robi

Z tego, co wiem, losy wojny mogą rozstrzygać czołgi, to jednak utrzymać zdobyty teren może jedynie piechota. Tym, którym dziś puszczają nerwy, którzy chcą odsyłać ordery czy też deklarują, że nie zagłosują na Dudę, mogę odpowiedzieć: Jarosław Kaczyński wie, co robi. Jego polityczny „blitzkrieg" osiągnął swe cele i rewolucja permanentna mogłaby je tylko zaprzepaścić. „Polityka to realizacja celów możliwych" stwierdził ongiś Bismarck i choć nie lubimy tego Prusaka, trudno odmówić mu słuszności.

Polska wymaga dziś utrwalenia dotychczasowych osiągnięć – choćby wypełnienia reformy sądownictwa praktyczną treścią, uspokojenia sytuacji wokół Polski i zrealizowania podstawowego celu: wygrania kolejnego maratonu wyborczego, a zwłaszcza odzyskania Polski gminnej.

Dokonane zmiany przy utrzymaniu spoistości Zjednoczonej Prawicy przybliżają ten cel, a nawet daje szanse myślenia o większości konstytucyjnej. Wymaga to mnóstwa wysiłku, w tym również mądrych działań mediów narodowych.

Jest jeszcze jeden aspekt zmiany, nazwijmy go estetycznym – Polsce potrzeba nowych twarzy, młodych, budzących zaufanie i pozytywne emocje. Trzeba ludzi znających świat – łączących, tak jak Mateusz Morawiecki, gorący patriotyzm i polski konserwatyzm ze znajomością języków i reguł gry rządzących światową gospodarką oraz polityką.

Trzeba też spróbować zacząć zasypywać rów, który podzielił Polaków. I to nie dlatego, żeby zrezygnować z własnych racji, przeciwnie – żeby umożliwić pogubionym, oszukanym, a są ich miliony, przejście bez upokorzenia na jasną stronę mocy. A nade wszystko – nie niszcząc świętości ołtarzy – trzeba z młodymi naprzód iść. I tak rozumiem sens tego, co się dzieje. ©℗

eprasa.pl d5eabde7d4

O MaBeNie na poważnie

Robert Bogdański

Czy potrzebujemy nowych instytucji, by sprawnie budować pozytywny wizerunek Polski na arenie międzynarodowej? A może wystarczy użyć tych, które już istnieją i mają niemałe budżety?

Słynny wywiad doradcy prezydenta, prof. Andrzeja Zybertowicza, w którym rzucił on przed oczy zdumionej publiczności konstrukt pod nazwą Maszyna Bezpieczeństwa Narracyjnego, zabłysnął na chwilę tuż przed końcem roku i zgasł prędko, niczym meteoryt, i właściwie do dziś pozostały tylko jego medialne odpryski w postaci prześmiewczo strasznych opowieści, że oto Zybertowicz pragnie wskrzesić wiodącą placówkę myśli marksistowsko-leninowskiej (a to z powodu podobieństwa MarLen – MaBeNa) albo wręcz powołać Ministerstwo Propagandy. Jedni więc się rytualnie oburzyli, inni równie rytualnie dali odpór i wszyscy uznali sprawę za załatwioną. Niesłusznie.

Poważna rozmowa na ten temat powinna bowiem mieć miejsce i dobrze by było, gdyby strony sporu politycznego zdołały dostrzec, że dbałość o bezpieczeństwo informacyjne Polski jest w istocie dbałością o dobro wspólne, a nie prowadzeniem rozgrywek politycznych. Jeżeli do tej pory niektórzy gracze na tym polu sprawiali wrażenie, że jest inaczej, to powinni oni dostać co najmniej żółte kartki, ewentualnie kary czasowego usunięcia z boiska.

Przyjrzyjmy się najpierw diagnozie, jaką stawia Zybertowicz, bo trudno o bardziej druzgocącą opinię na temat działań dobrej zmiany w międzynarodowej przestrzeni informacyjnej.

Doradca prezydenta przytomnie zauważa coś, co wszyscy widzą, ale z jakichś przyczyn nie chcą o tym mówić głośno, a mianowicie, że: „przez ostatnie dwa lata nie zbudowaliśmy systemu komunikacyjnego, który rozpoznawałby zagrożenia dla reputacji Polski na arenie międzynarodowej, neutralizował je i nagłaśniałby nasz pozytywny przekaz". I dodaje następującą konkluzję: „Niska jakość polskiej narracji państwowej wynika z braku całościowej synchronizacji różnorodnych zasobów, którymi dysponuje państwo i społeczeństwo".

Spróbujmy zweryfikować tezę Zybertowicza i przyjrzyjmy się, w jaki sposób państwo może zajmować się kreowaniem czegoś, co określa on mianem narracji państwowej.

Przez wiele lat byliśmy przekonywani, że chodzi tu o swego rodzaju „markę" kraju i markę tę można stworzyć standardowymi metodami marketingowymi. W ten sposób otrzymywaliśmy obraz świata jako zbiorowiska nacji o sprecyzowanych cechach. Czesi byli Szwejkami, Polacy rzucali się z lancami na czołgi, Francuzi odznaczali się jako kochankowie, a Rosjanie pili na umór. Marka w tym znaczeniu była po prostu pewnym stereotypem i jeśli ktoś dostał w barze w zęby od Czecha, to był niepomiernie zdumiony, bo przecież Pepik to tchórz, każdy wie.

Konkurencja na marki oznaczała albo pogłębianie obrazu pozytywnego, albo rozpaczliwe usiłowanie zmiany stereotypu negatywnego. To ostatnie było niestety (i jest) udziałem Polaków, którzy zanudzają wszystkich wokoło tekstami o tym, że „Kopernik była Polakiem". Wszyscy przytakują uprzejmie, po czym i tak swoje wiedzą, że te Polaczki to bałaganiarze i za kołnierz nie wylewają. Sami zresztą przyzwalamy na ten styl myślenia, rozpowszechniając złote myśli wielkich ludzi, jak ta Piłsudskiego, że „Naród wielki, tylko ludzie kurwy".

NASYCENIE NARRACJI

Tymczasem współczesny udział w kształtowaniu międzynarodowej przestrzeni informacyjnej (wolę takie określenie od narracji państwowej) nie polega na prowadzeniu tego typu szarpaniny, tylko na nasycaniu jej obrazami, pojęciami i określeniami wspomagającymi przekaz formułowany przez własny kraj.

Można to prosto wyjaśnić, odwołując się do niedawnego starcia informacyjnego w kwestii uchodźców/imigrantów (niepotrzebne skreślić).

Zwolennicy jak największej migracji do Europy posługiwali się konsekwentnie słowem „uchodźca", niezależnie od tego, jaki był rzeczywisty status osób, z jakimi mieli do czynienia. Słowo to kojarzyło się bowiem z wojną, ucieczką i poszukiwaniem bezpiecznego azylu. Cały ten aparat pojęciowy był (i nadal w wielu przypadkach jest) konsekwentnie przekazywany we wszystkich dostępnych mediach. Do tego dochodziły obrazy, ze słynnym zdjęciem martwego Alana Kurdiego na plaży koło Bodrum. W efekcie przeciwnik migracji, który zechciał wejść w dyskusję przy użyciu tego zestawu pojęciowego, z punktu przegrywał, pokazując się jako człowiek nieczuły, pozbawiony ludzkich uczuć, wręcz zdolny do zbrodni. Szczyt osiągnął tu pewien dziennikarz „Gazety Wyborczej", który w czasie dyskusji telewizyjnej pomówił prawicowego publicystę o chęć strzelania do ludzi płynących na pontonach ku wybrzeżom Europy...

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. FOTOLIA

Jedyną obroną przed tego typu pojęciową pułapką było zbudowanie własnego otoczenia pojęciowego: konsekwentne stosowanie słów „imigrant" lub „imigrant ekonomiczny" tam, gdzie nie było mowy o ucieczce przez wojną, kładzenie nacisku na kwestie bezpieczeństwa publicznego w krajach przyjmujących, a także na różnice kulturowe tworzące realną barierę między nacjami, choćby były pełne dobrej woli. Z obrazów ta opcja puszcza w obieg raczej fotografie przedstawiające zwarte grupy maszerujących mężczyzn, aby wzmocnić przekaz, że nie o żadne kobiety i dzieci uciekające przed bombami tu chodzi.

I znowu: zwolennik imigracji próbujący wejść w dyskurs przy użyciu tego zestawu pojęć i obrazów jest z góry na przegranej pozycji. W gruncie rzeczy wygrywa w tym starciu ten, kto potrafi skuteczniej nasycić przestrzeń medialną pojęciami wspomagającymi jego narrację.

Postawmy tu kropkę nad „i" i powiedzmy, że jeśli Polska zechce promować (co naturalne) postać św. Jana Pawła II, to nie wystarczy opowiadać, iż był on człowiekiem wiary. Trzeba jeszcze, aby samo pojęcie wiary stanowiło wartość w świecie, do którego kierujemy przekaz. W tym sensie rozumiałbym wypowiedź premiera Morawieckiego o „rechrystianizacji" Europy.

ODROBINA WYOBRAŹNI

No dobrze, skoro jednak mielibyśmy tak poważne plany, to może przyjrzyjmy się, z czym do tej „pojęciowej ofensywy" przystępujemy. A raczej – na razie – nie przystępujemy.

Rzućmy okiem na najważniejsze społecznościowe medium polityczne, czyli Twittera. Weźmy na pierwszy ogień jedyne międzynarodowe medium, jakie mamy w dyspozycji jako państwo, czyli Polską Agencję Prasową i sprawdźmy, ilu followersów ma jej anglojęzyczne konto na Twitterze. Gdybyśmy byli w radiu lub telewizji, to mógłbym zadać takie pytanie i poprosić odbiorców o sprawdzenie, ale ponieważ to słowo pisane, więc muszę od razu podać liczbę. A wynosi ona zero. Dlaczego? Ano dlatego, że takiego konta nie ma. Po prostu nie ma. Narodowa agencja prasowa nie istnieje w międzynarodowej przestrzeni językowej.

Mam nadzieję, że siedzą państwo mocno i wygodnie, i nikt nie spadnie z krzesła, więc kontynuujmy nasz przegląd. Nieco ponad rok temu powołana została Polska Fundacja Narodowa, której statutowym zadaniem było dbanie o dobre imię Polski na arenie międzynarodowej. Ona już posiada anglojęzyczne kontro na Twitterze – a jakże! – i ma ono całych 200 followersów. Słownie: dwustu.

Z pewnością znajdują się wśród nich Osoby i Instytucje o niemałym znaczeniu międzynarodowym, ja jednak po pobieżnym przejrzeniu wychwyciłem jedynie posła Mularczyka i kilku polskich dziennikarzy, jednego z nich z dumnym napisem: „Śmierć wrogom ojczyzny" w awatarze.

Porzućmy jednak płoche heheszki z działań Szacownych Instytucji, które mają swoje statuty i zarządy, i w razie czego potrafią odwinąć się takim kontroświadczeniem, że przeciwnikom w pięty pójdzie, jak to wykonała PFN po awanturze w sprawie jej nieszczęsnego spotu z przedstawicielami różnych religii życzącymi Amerykanom: „Happy Holidays" w przededniu Bożego Narodzenia, które miało niespełna 20 tys. wyświetleń (przy okazji: konto PFN na YouTube ma 20 subskrybentów…). Porzućmy więc, powiadam, podłe śmichychichy, bo to tylko źle świadczy o nas jako o ludziach i o Polakach, którzy niczym wilki rzucają się na pełnych poświęcenia rodaków walczących o dobre imię naszej wspólnej ojczyzny.

Zadajmy natomiast proste pytanie: W jaki sposób polska poważna narracja przedostaje się do obiegu publicznego? Bardzo pouczający będzie los opublikowanego w tych dniach znakomitego opracowania szefa Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, Sławomira Dębskiego, który argumentował, że Komisja Europejska działała bez właściwego umocowania, inicjując działania przeciwko Polsce. Kiedy zobaczyłem je na polskojęzycznym Twitterze, pomyślałem melancholijnie, że pewnie nie ma tłumaczenia na angielski, ale myliłem się, choć nie rozwiało to mojej melancholii. „Polski Przegląd Dyplomatyczny" bowiem tłumaczenie tekstu opublikował.

Ilu ma „PPD" followersów? Około 500, więc niewiele, ale to jest niszowy serwis i nie ma się co go czepiać, że nie staje w szranki z serwisami tak popularnymi jak choćby Politico czy EUobserver (po ok. 186 tys.). Czemu więc nie rozwiała się moja melancholia? Bo w żaden sposób za pomocą tego tekstu, który notabene znakomicie się do tego nadaje, nie został zrealizowany cel nasycania przestrzeni informacyjnej korzystnymi dla polskiej narracji pojęciami. A tego nie robi się poprzez publikowanie na niszowych serwisach długich tekstów. One muszą tam egzystować jako pasza intelektualna dla specjalistów i jako punkt odniesienia dla aktorów sceny publicznej. Jednak tym ostatnim należy dostarczyć w krótkich, soczystych tweetach podstawowych wyimków i pojęć kluczy, które będą służyły odpowiedniemu profilowaniu debaty. Tego nie zrobi nikt, bo albo nie mógł (vide: PAP), albo nie pomyślał (vide: PFN).

I ostatnia uwaga, bezpośrednio do prof. Zybertowicza, bo znalazł się w jego wywiadzie element, który sprawił, że ciarki przebiegły mi po krzyżu.

Panie Profesorze, tutaj nie potrzeba żadnych, jak to Pan określił, „politycznych kalibracji" MaBeNy, bo to faktycznie pachnie usiłowaniem utworzenia jeszcze jednego urzędu, tym razem ds. dobrego imienia. Tutaj wystarczy sprawne działanie istniejących i posiadających całkiem spore budżety instytucji, wystarczy odrobina wyobraźni i profesjonalizmu. Oraz świadomość, że przekaz, jaki formułujemy, ma swojego adresata w społeczeństwach zachodnich, a nie wśród rozmaitych „ludów", których umysłami władają ludzie sądzący, że forsowaniem narracji „agresywno-godnościowej" cokolwiek w Europie ugrają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

Adam Hlebowicz z Karelii

Lasy, jeziora, mnóstwo jezior, wspaniała Onega, czysta woda, smaczne ryby, w sezonie kurki i jagody. Tereny te przypominają krajobrazy skandynawskie, kraina to Karelia, ale ta jej część, w której się znajduję, należy do Rosji

Cerkiew prawosławna w Powieńcu

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Gdzie jest Kalevala?

A gdzie jest Kalevala? O fińskim, estońskim i karelskim eposie literackim, zbiorze ludowych podań zebranych i opracowanych w XIX w. przez Eliasa Lönnrota, gdzie głównym bohaterem jest heros o imieniu Kalev, słyszał zapewne każdy. Mało kto jednak wie, że miejscowość Kalevala znajduje się na terenie dzisiejszej Rosji, właśnie w republice Karelia, w jej północno-zachodniej części. Co prawda wcześniej, do 1963 r., miejscowość Kalevala nosiła nazwę Uhtua, ale to właśnie tu w 1920 r. proklamowano powstanie niepodległego państwa karelskiego – Karelii (Karjala), zwanego też Republiką Uhtua. Powstańcze wojska przy wsparciu Finów opanowały wschodnią część krainy, jednak w ciągu kilku lat Armia Czerwona zagarnęła utracone tereny i zlikwidowała republikę. Dzisiaj Kalevala to nieduża miejscowość z ok. 5,5 tys. mieszkańców, ale nadal ważne miejsce na mapie tożsamości Karelczyków. Paradoksalnie literacka „Kalewala" znacznie przyczyniła się do budzenia świadomości narodowej, a w konsekwencji do wyzwolenia Finlandii spod panowania Rosji.

PETROGLIFY

Ładoga i Onega to dwa największe jeziora Europy. Oba akweny dostarczają ogromne ilości ryb słodkowodnych, są miejscem żeglugi statków pełnomorskich, to ważne miejsca rosyjskiej turystyki. Na tutejszych wyspach znajdują się kluczowe miejsca rosyjskiego prawosławia: klasztor Wałaam na Ładodze i Kiży na Onedze. Ładoga do 1940 r. była podzielona pomiędzy Finlandię a Rosję Sowiecką. Przez większą część oblężenia Leningradu przez jezioro prowadziła jedyna możliwa droga do zaopatrzenia miasta, tzw. droga życia.

Właśnie tu, na brzegach wielkich jezior lub Kanału Białomorsko-Bałtyckiego, można znaleźć petroglify, czyli „rysunki naskalne" – tak najprościej można przetłumaczyć to określenie. Nienamalowane jednak, ale wyryte w twardych bryłach kamiennych. Niektórzy badacze szacują ich wiek na epokę brązu, a zatem okres jeszcze przed powstaniem egipskich piramid. W Karelii jest ich sporo. Odwiedzam dwa miejsca, gdzie można je zobaczyć. W Biełomorsku skały podmywane są niewielkim strumieniem. Są tu rysunki małe, niemal miniatury, a także duże, większe od przeciętnego człowieka. Są sceny złożone, takie jak polowanie z kilku łodzi na wieloryba, są proste portrety zwierząt, jeleni, reniferów, łabędzi.

Do miejsca zwanego Biesow Nos trzeba najpierw dopłynąć łódką, najlepiej z silnikiem, bo ze wsi Czernaja Rieczka to kawałek drogi. Potem długi marsz wybrzeżem do łagodnych skał, gdzie można zobaczyć jeden z najbardziej oryginalnych petroglifów Karelii, a może w ogóle na świecie. Tutaj wydrapany został w skale przez nieznanych nam przybyszów diabeł. Bies ma ogon, rogi, ok. dwóch metrów wzrostu. Zaniepokojeni obecnością tego wizerunku mnisi prawosławni wydrapali w XIV w. obok czarta równie duży krzyż. Co ciekawe, nie zatarli jego wizerunku, a jedynie przeciwstawili mu symbol męki swego Zbawiciela.

Naukowcy do dzisiaj toczą spory, bez jednoznacznego rozstrzygnięcia, jaką techniką ówcześni ludzie byli w stanie wykonać te rysunki naskalne. Ilu ich było, artystów, poświęcających może całe życie na ich wykonanie? Jakie było znaczenie tych prac dla ówczesnych ludzi? Odpoczynek, symboliczna mistyka, może coś więcej? Petroglify znane są na całym świecie. Można je oglądać w Ameryce, Azji, Skandynawii. O tym, że są w Rosji, w Karelii, niewiele osób wie. Poza specjalistami i miejscowymi właściwie nikt. Nikt też nie pilnuje miejsc, gdzie powstały. Ktoś tu sprzedaje pamiątki, kto inny oferuje oprowadzanie. To wszystko. Kilka tablic informacyjnych. Na szczęście, na razie nikomu nie przyszło do głowy, żeby uczynić coś złego tutejszym naskalnym rysunkom. Zabrać ich nie można, to prawda, ale już zniszczyć, owszem tak.

POZBAWIENI NAZWISK I JĘZYKA

Karelowie mówią swoim językiem. Takich ludzi jest jednak coraz mniej. Miejscowe nazwiska zmieniano masowo w latach rządów Breżniewa, w okresie 1962–1965, na typowo rosyjskie. Jeszcze w 1905 r. tutejsi stanowili w obwodach ołonieckim i archangielskim 83 proc. ogółu ludności. Anatolij Grigorjew z „kongresu karelskiego" uważa, że początkiem końca były represje z lat 30. Wielki terror Stalina i jego towarzyszy doprowadził w ZSRS do zamordowania co najmniej 700 tys. osób. Represje dotyczyły wszystkich narodowości zamieszkujących imperium sowieckie, z Rosjanami na czele. Jednak jedni są liczniejsi i mogą z czasem odbudować swoją populację, inni, twierdzi Grigorjew, np. Karelowie, nie mają takiej szansy. I dzisiaj, w 2017 r., według „kongresu karelskiego" możemy mówić o absolutnej rusyfikacji Karelii. Proces ten dotyka zarówno Karelów, Finów, jak i zamierającą ugrofińską grupę etniczną Wespów (jest ich obecnie ok. 10 tys.). Przykłady? W Narodowym Teatrze Karelii zdecydowana większość spektakli grana jest po rosyjsku. A przecież to teatr karelski, teatr fiński, jedyny taki na terenie Rosji! W miejscowych gazetach – „Karjalan samomat" i „Oma mua" – nie ma w ogóle rodzimych dziennikarzy. Magazyn „Karelia" wydawany w języku fińskim został właśnie zamknięty.

Miejscowa elita karelska często podróżuje do pobliskiej Finlandii. Te kontakty są ożywione. Nie oznacza to jednak tęsknoty do przyłączenia mniejszej krainy do dużego państwa. Karelia to zdecydowanie nie Finlandia. Zresztą ten proces zanikania języka, kultury i tradycji karelskiej jest widoczny także u skandynawskiego sąsiada. Tam dokonuje się głównie przez asymilację, oba języki są podobne, więc wielu ludzi ulega silniejszej kulturze. Paradoksalnie, utyskuje Anatolij Grigorjew, w czasach demokracji, podkreślania praw człowieka, Karelowie rosyjscy pozostają coraz częściej w położeniu obcych na swojej ziemi.

MIEDWIEŻKA

To ważne miejsce na mapie Karelii. Usytuowany na północnym brzegu Onegi Miedwieżjegorsk, dawniej zwany także Miedwieżką, Miedwiedią Gorą, Medgorą, jest ważnym punktem na trasie żeglugi śródlądowej. Dyrektorem miejscowego Muzeum Krajoznawczego jest Siergiej Kołturin, miejscowy Karel, który ze znawstwem opowiada o budowie Biełomorkanału. W muzeum zgromadzono sporo zbiorów z tego okresu, całość uzupełniają fachowo przygotowane tablice informacyjne.

Z Miedwieżki niedaleko do Sandarmochu. Tutaj w latach 1937–1938 rozstrzelano ponad 9 tys. osób. To niewiarygodne, kiedy się czyta, że tzw. transport sołowiecki, dokładnie 1111 osób, rozstrzelano w ciągu tygodnia. Krwawi oprawcy z NKWD, w tym ich dowódca – kpt. Michaił Matwiejew, „razstrielszczik" z 20-letnim stażem – mieszkali w hotelu, skąd codziennie dojeżdżali do „pracy". Nie mieli daleko. Dawny hotel NKWD to obecnie siedziba muzeum dyrektora

eprasa.pl d5eabde7d4

Kołturina. Napis na pomniku w Sandarmochu głosi: „Ludzie, nie zabijajcie się nawzajem!”.

Nie byłoby może tego upamiętnienia, gdyby nie jeden człowiek. Jurij Dmitriew, kolejny Karel, który po wielu latach poszukiwań dopiero w 1997 r. odkrył i opisał to miejsce. Dmitriew to chodząca księga pamięci. Odwiedził, a następnie opisał każdą wioskę, każdy chutor w Karelii w poszukiwaniu niewinnych sowieckich ofiar. Jego opracowania mają po 600–800 stron i przerażają powszechnością zbrodni, łatwością, z jaką w latach 30. i 40. mordowano ludzi. Karelski badacz niemal od roku przebywa w pietrozawodskim więzieniu. Został oskarżony o pedofilię. Memoriał i inne stowarzyszenia z Rosji nieustannie apelują w jego sprawie. Na razie bez skutku, termin rozprawy ciągle jest oddalany.

Wracam do uroczyska Sandarmoch. Niezbyt gęsty las, gdzieniegdzie dobrze widoczne zagłębienia w terenie. To 236 jam rozlokowanych na powierzchni 7,5 ha. Na drzewach skromne tabliczki z nazwiskami, tu i ówdzie pojawiają się także fotografie ofiar. Są pomniki w różnych językach. Ten po polsku głosi: „Pamięci Polaków, niewinnych ofiar stalinowskich represji”. Takich miejsc jest w Karelii więcej. Krasnyj Bor, Pudoż, kilka nadal nierozpoznanych. Coraz większym problemem jest zacieranie pamięci o wielkim terrorze. Zaniechanie pamiętania. Jak napisał w „Nowoj Gazietie” lekarz i akademik Andriej Worobjow: „Milczenie w tej sprawie to jest dla takich ludzi jak ja przestępstwo”.

W 1930 r. postanowiono połączyć wody mórz Bałtyckiego i Białego, żeby zyskać nie tylko na możliwościach handlowych, lecz także strategicznych. Pomysłem NKWD było, żeby wykorzystać do tej pracy darmowe siły uwięzionych. Przywożono ich z Wysp Sołowieckich, wokół budowy powstał łańcuch łagrów, gdzie mieszkali więźniowie. Praca była nieludzka. Przyjmuje się, że spośród 170 tys. pracujących prawie jedna trzecia nie przeżyła tego wysiłku. Umierali z zimna, głodu, przepracowania. A mimo to sowieccy propagandyści w 1932 r. ogłosili sukces światu. Zobaczcie, jak się u nas buduje, jak szybko i jak skutecznie. I nawet naszych przeciwników politycznych potrafimy zmusić do tego, żeby wznosili darmowo fundament silnego państwa. Kanał otrzymał imię

Petroglify w Biełomorsku w Karelii FOT. ARCHIWUM AUTORA

Stalina. Uroczyście go otworzono, po czym rychło się okazało, że jest za płytki dla dużych jednostek morskich. Żegluga ograniczyła się praktycznie do spławu drewna.

DWIE KARELSKIE STOLICE

Tutaj w 1901 r. urodził się Witold Pilecki. Jego ojciec Julian, absolwent Instytutu Leśnego w Petersburgu, w Ołońcu otrzymał pracę leśniczego. W tym czasie, choć miasto znajduje się na południowym krańcu Karelii, była to stolica guberni. Mieszkało tu, jak w każdym większym ośrodku carskiej Rosji przełomu wieków, wielu Polaków. Julian Pilecki ożenił się z jedną z tutejszych Polek, Marią Osiecimską, z którą doczekał się trojga dzieci. Witold w Ołońcu spędził pierwszych dziewięć lat życia, biegając nad rzeką Ołonką, zawierając pierwsze przyjaźnie, tu rozpoczęła się jego edukacja. Kiedy dzieci podrosły, matka podjęła decyzję, że aby je uchronić od rusyfikacji, niezbędna będzie ich edukacja w polskiej szkole. Stąd decyzja o wyjeździe rodzicielki z dwojgiem starszych dzieci do Wilna, gdzie przyszły bohater polskiej historii rozpoczął naukę w prywatnym gimnazjum.

Ołoniec, takie mam wrażenie, niewiele się zmienił od 100 lat. Ołonka nadal płynie przez środek miejscowości, gdzieniegdzie mieszkańcy pobudowali wiszące mosty, które im pozwalają w miarę szybko przemieścić się na drugi brzeg, a miasteczku nadają pewnego uroku. Wiele domostw jest drewnianych. To budowle okazałe, piętrowe, z częścią przeznaczoną dla żywego inwentarza. Najokazalszą budowlą jest cerkiew z 1828 r., ładnie rozlokowana nad brzegiem rzeki.

Obecna stolica Karelii – Pietrozawodsk – ma ok. 300 tys. mieszkańców. Jak na Rosję to niewiele, ale i tak jest to zdecydowanie największy ośrodek miejski republiki.

Na głównym placu Lenin. W sklepie z pamiątkami starsza ekspedientka słysząc polską mowę, zagaduje: „Dlaczego niszczycie nasze pomniki w Polsce?”. – Niczego nie niszczymy – odpowiadam. – Jedynie je przenosimy w odpowiednie miejsce, żeby już nie straszyły obecnych i następnych pokoleń.

Kobieta nie jest przekonana, były takie czasy, stawiano takie pomniki, to niech nadal stoją – uważa. Odpowiadam jej, odnosząc się do wszechobecnego Lenina. W Rosji nadal na głównych placach stoją pomniki wodza rewolucji, przecież ideologa masowego zabijania, sprawcy nieszczęść setek tysięcy ludzi.

Rozchodzimy się nieprzekonani do racji drugiej strony.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Listy o Wilnie

Muszę przyznać, że listy Józefa Mackiewicza czytam z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony jest to prawdziwa uczta intelektualna. Tyle fascynujących spraw, problemów, opinii! Z drugiej strony jednak – jakże to jest smutne!

Nie mam bowiem najmniejszych wątpliwości, że Mackiewicz był najwybitniejszym prozaikiem w historii Polski i Litwy. Kto nie wierzy, niech przeczyta „Lewą wolną", „Drogę donikąd" czy „Sprawę pułkownika Miasojedowa". Nigdy wcześniej i nigdy potem w literaturze naszej nie rozbłysnął taki diament.

Tymczasem Mackiewicz, co niestety znajduje potwierdzenie w kolejnym tomie jego listów, żył więcej niż skromnie. Pisząc wprost: żył w biedzie. Jako zdeklarowany antykomunista, a jednocześnie wróg patriotycznej sztampy – nie mógł liczyć na żadne granty, stanowiska i stypendia.

Żyjąc w Monachium, utrzymywał się jedynie ze skromnych honorariów z emigracyjnych gazet oraz… naprawiania pończoch. Ustawicznie borykał się z problemami finansowymi, które odrywały go od pracy, krępowały jego pisarskie możliwości. Jakże żal tych wszystkich książek, których nie zdążył przez to napisać. Na czele z planowaną przez niego wielką sagą rodu Giedyminowiczów.

Wróćmy jednak do książki. Londyńskie wydawnictwo Kontra wydało właśnie trzeci tom korespondencji wybitnego pisarza i jego żony Barbary Toporskiej. Tym razem z Pawłem Jankowskim, szefem Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej na wygnaniu. Jest to książka inna niż wydrukowane wcześniej zbiory listów Mackiewicza do redaktorów paryskiej „Kultury" i londyńskich „Wiadomości".

Pisarz zaprzyjaźniony z Jankowskim konsultował z nim bowiem fragmenty powieści, dzielił się z nim twórczymi wątpliwościami, prosił o pomoc w znajdowaniu materiałów. Dzięki temu współcześni miłośnicy Mackiewicza – tacy jak ja – mogą dowiedzieć się, jak powstawały jego najwybitniejsze powieści.

Obaj panowie piszą sporo o sprawach emigracji – o konfliktach między prezydentem Augustem Zaleskim a gen. Andersem czy paskudnych intrygach Jana Nowaka – szefa polskiej sekcji Radia Wolna Europa. Wbrew stworzonej później legendzie była to bowiem postać ponura.

Najpiękniejsze fragmenty książki to jednak te, w których obaj panowie wspominają przedwojenne Wilno. Najpiękniejsze miasto świata. ©℗

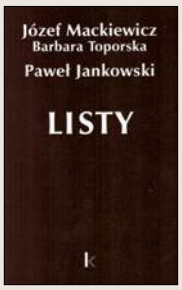

JÓZEF MACKIEWICZ, BARBARA TOPORSKA, PAWEŁ JANKOWSKI „LISTY" KONTRA

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ręce do góry

W 1965 r. w repertuarze polskich kin pojawiły się dwa filmy Skolimowskiego. Jako pierwszy premierę miał „Walkower", a pół roku później „Rysopis". W obu filmach reżyser wcielił się w rolę głównego bohatera, Andrzeja Leszczyca, były to dwie opowieści o „marginesowej wegetacji wartościowego człowieka" niepotrafiącego odnaleźć się w codziennym życiu.

> **Wiedział, że w kraju nie nakręci już żadnego dobrego filmu**

Skolimowskiego okrzyknięto „polskim Antonionim", a jego pozycję ugruntowała trzecia część trylogii – „Bariera". Tym razem w głównej roli wystąpił Jan Nowicki. Obraz zdobył Nagrodę Specjalną Jury na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Valladolid, a reżyser stał się osobą rozpoznawalną na Zachodzie.

„Kim jest bohater »Bariery«? – tłumaczył Skolimowski. – Człowiekiem, który z walizką w ręku opuszcza nagle dom akademicki; studentem podejmującym próbę znalezienia sobie nowych warunków życia, rozważającym wszystkie »za« i »przeciw«. Mój bohater czepia się kurczowo jakichkolwiek nadających się do rozpatrzenia propozycji. Spotkanie dziewczyny, która wie, czego chce, i dąży do celu o własnych siłach, fascynuje go".

Podobnie jak w przypadku poprzednich filmów Skolimowski osobiście napisał scenariusz. „Bariera" była jednak tylko etapem w drodze do celu, jakim miała stać się realizacja kolejnego filmu w kraju („Ręce do góry"). Skolimowski zaplanował bowiem kontynuację losów Andrzeja Leszczyca i rozliczenie się z epoką stalinizmu w Polsce. Film nie trafił jednak na ekrany, a o zatrzymaniu jego dystrybucji zadecydowała scena z portretem Stalina o podwójnych oczach. Reżyserowi odebrano wizę, obraz wycofano z festiwalu w Wenecji. Skolimowski po latach przyznał, że gdyby nie ta decyzja władz, to zapewne nigdy nie wyjechałby z Polski. A tak nie pozostawiono mu wyboru, wiedział bowiem, że w kraju nie nakręci już żadnego dobrego filmu.

„[…] za daleko się posunąłem – tłumaczył. – […] W czasie pięciominutowej audiencji u Kliszki tłumaczyłem, jąkając się, że robiliśmy ten film z Łomnickim, Hanuszkiewiczem, Kobielą i Joanną Szczerbic z poczucia patriotyzmu, z wiarą, że można w Polsce coś zmienić. »Czy te argumenty pana przekonują?« – spytałem. Kliszko pokręcił głową, że nie. Ja butnie: »W takim razie nie widzę miejsca dla siebie w tej kinematografii, nie będę przecież robić komedii w rodzaju »Żona dla Australijczyka«. On na to: »Szerokiej drogi«. I wstał. Wyjechałem w 1969 r.".

„Ręce do góry" okazały się jednym z najdłużej leżakujących „półkowników" polskiego kina. Premiera odbyła się dopiero 21 stycznia 1985 r. ©℗

eprasa.pl d5eabde7d4

Tomasz Lenczewski

Superagentka przebita nożem

FOT. APIC/GETTY IMAGES

Polka z brytyjskiego wywiadu czasem cudem unikała śmierci podczas wojny. Później jednak nie umiała żyć i romans doprowadził ją do zguby

Krystyna Skarbek (1908–1952), polska agentka brytyjskiej służby wywiadowczej, miała równie osobliwe koneksje co niezwykły życiorys.

Nie zaznała zbyt wiele ciepła rodzinnego. W małżeństwie zawartym dla interesu ojciec prowadził podwójne życie i rzadko bywał we dworze. Doprowadziło to w konsekwencji do sprzedaży dóbr nabytych za posag żony i przedwczesnej śmierci zrujnowanego finansowo ziemianina. Krystyna wraz z matką i bratem znalazła się w Warszawie, gdzie podjęła pracę biuralistki. Jej pierwsze małżeństwo z pabianickim fabrykantem Gustawem Gettlichem szybko się rozpadło. Dopiero kolejny ślub, z konieczności kalwiński, zawarty z Jerzym Giżyckim pozwolił Krystynie rozwinąć skrzydła. Drugi mąż, starszy o 20 lat, był podróżnikiem i poszukiwaczem przygód. Krystyna zaś pełna temperamentu, wyśmienita amazonka i doświadczona narciarka odnalazła w mężu bratnią duszę. Giżycki współpracował z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. Wprowadził młodą żonę w świat dyplomacji i szerokich kontaktów towarzyskich. W sierpniu 1939 r. znalazła się wraz z mężem w Afryce Południowej w drodze na placówkę konsularną w Kenii.

BOHATERKA CZASÓW WOJNY

Wojna spowodowała, że małżonkowie wrócili do Europy drogą morską. W Anglii ich drogi się rozeszły. Krystyna już przed wojną rozpoczęła współpracę z wywiadem angielskim, którą sformalizowano w Londynie. Wysłana przez swoich mocodawców jako dziennikarka do Budapesztu rozpoczęła największą przygodę swego życia. Przy pomocy tatrzańskich kurierów przekraczała granice Węgier i Słowacji oraz dwa razy dotarła do okupowanej Polski.

W Warszawie skontaktowała się z organizacją Muszkieterowie, która miała bezpośrednie połączenie z wywiadem brytyjskim z pominięciem oficjalnych struktur polskiego podziemia. Dostarczyła swoim zwierzchnikom z Kierownictwa Operacji Specjalnych (SOE) cenne raporty, m.in. o przygotowywanym ataku Niemiec na ZSRS.

Miała niesamowite szczęście – np. po zatrzymaniu przez gestapo w Budapeszcie zręcznym trickiem symulowała gruźlicę i dzięki węgierskiej pomocy udało się jej uniknąć deportacji.

Na Węgrzech otaczała się licznymi mężczyznami. Z jednym z nich – Włodzimierzem hr. Ledóchowskim – przeżywali wspólnie piękne i niebezpieczne chwile na granicy. Drugi – Andrzej Kowerski – został jej przyjacielem na całe życie. Krystyna nie miała zjawiskowej urody, ale potrafiła tak wykorzystywać inne swoje atuty, że podobno mężczyźni, na których rzucała urok, dosłownie padali jej do stóp. Ulegali jej nawet wrogowie. Pod nazwiskiem Christine Granville podczas samochodowej przeprawy z Kowerskim ze Stambułu do Palestyny w sobie tylko znany sposób zdobyła wizy przejazdowe przez Syrię kontrolowaną przez Francję Vichy.

Niektóre jej wyczyny były wręcz brawurowe. Rozmowa Christine z gestapowcami w prowansalskim Digne była prawdziwym majstersztykiem negocjacji: połączeniem blefu, siły perswazji z przekupstwem. W efekcie, podając się za siostrzenicę marszałka Montgomery'ego, przekonała ich o konieczności uwolnienia trzech skazanych na śmierć członków francuskiego ruchu oporu. Byli wśród nich dwaj brytyjscy oficerowie wywiadu, m.in. jej przyjaciel Francis Cammaerts. Również jej dywersyjne akcje we włoskiej Apulii i współpraca z tamtejszym ruchem oporu przyczyniły się m.in. do masowych dezercji jednostki niemieckiej składającej się z wcielonych doń przymusowo Polaków.

Chociaż Polska była sojusznikiem Albionu, to stosunek polskiego wywiadu

eprasa.pl d5eabde7d4

czy władz wojskowych do Skarbkówny był krytyczny, jeśli nie wrogi. Chodziło głównie o jej kontakty z Muszkieterami. Przyczyniło się to do jej przeszło rocznego bezczynnego pobytu w Kairze. Krystyna była niewątpliwie polską patriotką, ale w okupowanym kraju nie została wykorzystana. Pod koniec wojny zarysowała się możliwość przerzucenia jej do Polski w ramach misji brytyjskiej, jednak ten plan udaremniła styczniowa ofensywa Armii Czerwonej w 1945 r.

U podstaw sukcesów Krystyny legły wybitne zdolności wywiadowcze, umiejętność manipulowania innymi i zdolność docierania do źródeł wszelkimi możliwymi sposobami. Szef polskiej sekcji SOE ppłk Perkins w listopadzie 1944 r. nazwał ją w piśmie oficjalnym „jednym z najinteligentniejszych i najbardziej odważnych skoczków". W literaturze częściej funkcjonuje określenie Krystyny jako „ulubionego agenta Churchilla" (w istocie nie ma żadnych dowodów na to twierdzenie, a zaledwie ustne przekazy osób niezwiązanych bezpośrednio z brytyjskim premierem). Umiała doskonale kłamać. Nawet prywatna sfera jej życia roiła się od kłamstw lub konfabulacji. Usprawiedliwiała tym swoje pogmatwane życie osobiste, a nawet śmierć matki z rąk niemieckich, czemu nie mogła lub nie potrafiła zapobiec.

Koniec wojny i demobilizacja ze służby wywiadu oznaczały dla Krystyny początek katastrofy. W 1946 r. otrzymała brytyjskie obywatelstwo, ale z zaznaczeniem: „przez naturalizację". Nie potrafiła przystosować się do zwykłego życia i spokojnej pracy za biurkiem. Jej kolejne posady – telefonistki czy sprzedawczyni – szybko się kończyły. Bezskutecznie szukała zmiany. Chciała wyjechać do Polski jako sekretarka brytyjskiego dyplomaty, ale to okazało się niemożliwe. Jedyne, co uporządkowała zaraz po wojnie, to swój stan cywilny – znowu była wolna. Jednocześnie wtedy zerwała swój wojenny romans z Andrzejem Kowerskim. Nadal jednak mogła jednak liczyć na jego przyjaźń, a on wierzył jej i był na każde jej skinienie. Wciągnęła go w interesy australijskiej spółki ze swoim przyjacielem, Jugosłowianinem Mihajloviciem (przedsięwzięcie zakończyło się finansową stratą). Próbowała życia w Kenii z innym przyjacielem – mjr. Dunfordem. Nie udało się jej stworzyć rodziny, nie mogła mieć dzieci.

Podróżowała po całym świecie: od Afryki do Środkowego Wschodu, Cypru czy Australii. Bywała na zjazdach kombatanckich we Francji, gdzie dobrze się czuła wśród „swoich", z którymi razem walczyła na przedalpejskim płaskowyżu Vercors. W końcu zaczęła pracować jako stewardesa na statkach obsługujących linie oceaniczne. Niedawnej bohaterce, odznaczonej wysokimi odznaczeniami brytyjskimi i francuskimi, przyszło zmieniać pościel w okrętowych kajutach. Była przy tym nielubiana przez innych członków personelu. W takich okolicznościach nawiązała romans ze stewardem, Irlandczykiem Dennisem Muldowneyem. Ich związek był tylko wzajemną fizyczną fascynacją. Wprowadziła go w krąg swoich przyjaciół, do których nie pasował. Ponieważ miał obsesję na jej punkcie, trudno było się Krystynie z nim rozstać. Próbowała się ratować, okrętując się ponownie i prosząc o pomoc Kowerskiego. Ostatnie dni jej życia w Londynie były szamotaniem się, szukaniem sposobu ucieczki przed natrętem i wyczekiwaniem na wyjazd do Kowerskiego.

ŚMIERĆ I LEGENDA

Krystyna zginęła od ciosu nożem w serce zadanego jej w holu hotelowym przez Muldowneya 15 czerwca 1952 r. Pochowano ją na cmentarzu Kensal Green, gdzie do dziś na grobie widnieje fałszywa data jej urodzenia, niczym symbol wielu mistyfikacji, jakie towarzyszyły jej życiu. Zabójca przyznał się do winy. W błyskawicznie przeprowadzonym procesie został skazany na śmierć i powieszony. Jak dowodzi Clare Muelley w biografii Krystyny, ofiara sama mogła wcześniej sprowokować swoją śmierć, zachęcając niezrównoważonego Irlandczyka, aby ją zabił.

Jej intymne życie było grą prowadzoną z wieloma mężczyznami. Potrafiła np. przedstawiać sobie swoich kochanków i wmawiała tym, z którymi aktualnie była, że z drugimi nic ją nie łączy. To się dopóty udawało, dopóki towarzyszący jej mężczyźni byli dżentelmenami. Prymitywny oraz zauroczony Irlandczyk nie potrafił podjąć tej samej gry i aby jej nie oddać innym mężczyznom, zadał jej śmiertelny cios.

Od zabójstwa zaczęło się budowanie legendy Krystyny, w której główną rolę odegrał Kowerski. Powstało Stowarzyszenie Obrony Dobrego Imienia Christine Granville, które m.in. zatrzymało wydanie wspomnień o Krystynie hr. Ledóchowskiego. Już podczas procesu zarówno adwokat krewnych Skarbkówny, jak i Kowerski wydawali oświadczenia prasowe, że morderca nie miał z nią żadnego intymnego związku. Tym samym śmierć bohaterki wywołała całe pasmo spekulacji na temat jej przyczyn. Według nich miała zginąć, bo np. znała zbyt wiele tajemnic brytyjskiego wywiadu. Jednak należy pamiętać, że w chwili śmierci miała niewiele wspólnego z „dawną firmą". Niektóre dywagacje o przyczynie jej zabójstwa rozpowszechniane dziś w popularnych tekstach ocierają się o groteskę – m.in. teza, że znała „tajemnicę śmierci gen. Sikorskiego", czy fakt, iż jej prawdopodobny kochanek Ian Fleming (twórca postaci Jamesa Bonda) opisał w jednej z powieści jej śmierć z powodu zdrady... Jeżeli naprawdę czyjaś śmierć z „polskiego Londynu" stanowi dziś mroczną tajemnicę, to było nią morderstwo przyjaciółki Krystyny, członkini organizacji Muszkieterowie – Teresy Łubieńskiej.

Przez długie lata Krystyna Skarbek nie miała szczęścia do biografów. Stała się bohaterką „literatury brązowniczej", inspirowanej przez jej przyjaciół czy raczej byłych kochanków. Hagiografia pióra Madeleine Masson miała nawet wpływ na życiorys bohaterki w „Polskim Słowniku Biograficznym".

Spośród wielu projektów filmowych poświęconych Krystynie Skarbek ostatnio głośno jest o filmie z Penélope Cruz w jej roli. Obawę budzą zapowiedzi kolejnego scenariusza o Krystynie, który przygotowuje Maria Nurowska. Przed laty napisała ona powieść „Miłośnica" poświęconą Skarbkównie. Znalazło się w niej dużo fantazji i dezinformacji. Sama pisarka miotała się pomiędzy idealizacją swojej bohaterki, której obraz przekazał jej ojciec, a pamiętnikiem hr. Ledóchowskiego. Sądząc zaś po „furii", z jaką ostatnio zaatakowała sztukę z Magdaleną Kożuchowską w roli Skarbkówny, daleko jej do obiektywnego spojrzenia na „superagentkę".

Krystyna Skarbek nie była arystokratką ani Żydówką, co do dziś ze względu na chwytliwość medialną się akcentuje, przypominając jej historię. Jej heroiczne czyny niezależnie od legendy zapewniły jej poczesne miejsce w galerii najlepszych szpiegów wszech czasów. Niestety, stała się też ofiarą smutnego paradoksu. Chociaż zręcznie unikała śmierci w czasie wojny, uczestnicząc w niebezpiecznych i sensacyjnych akcjach, to tak fatalnie pokierowała swoim powojennym życiem, że ta dosięgła jej w banalnie melodramatycznych okolicznościach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. MARK GUREVICH

Z Borisem Bielenkinem ze stowarzyszenia Memoriał, zajmującego się propagowaniem wiedzy o ofiarach represji sowieckich
rozmawia Gabriel Michalik

Brudne łapy zagranicznego agenta

GABRIEL MICHALIK: Po tym, jak władze ostatecznie uniemożliwiły Aleksiejowi Nawalnemu udział w zbliżających się wyborach prezydenckich, najważniejszą kandydatką „opozycyjną" stała się celebrytka Ksenia Sobczak. Czy wyobraża pan sobie, by ta miła pani mogła przekazać wyborcom świadomość, że Związek Sowiecki był zbrodnią i katastrofą, za którą Rosjanie płacą do dziś straszną cenę?

BORIS BIELENKIN: Nie ma co traktować poważnie tej kandydatury. To fejk.

Całkiem poważni ludzie traktują ją poważnie, co oczywiście stanowi przede wszystkim dowód na rozpaczliwą mizerię opozycji. Postawmy więc kwestię inaczej: Kto w rosyjskiej polityce chce prawdy o czasach sowieckich?

Ale przecież nie ma czegoś takiego jak rosyjska polityka! Nawalny, Ryżkow i Jawliński są na marginesie. Nawalny stara się robić dobrą minę do złej gry, jest poza realną polityką. Realna polityka w Rosji to „sterowalna demokracja" i pseudopartie, takie jak LDPR Żyrinowskiego, komuniści, cała ta fałszywa opozycja. Siły demokratyczne nie są dopuszczane do polityki. Zresztą Jedinaja Rossija, partia władzy, też w istocie nie jest żadną partią. Jej ideologia sprowadza się do kilku epitetów ugruntowujących świadomość, że Amerykanie to pindosy, Ukraińcy – faszyści, a Polacy i mieszkańcy państw bałtyckich to swołocze.

Odpowiadając na pana pytanie: w demaskowaniu sowieckiego mitu konsekwentny jest ciągle Grigorij Jawliński. Jednak oczywiście jego znaczenie w polityce jest zupełnie marginalne. Polityki zresztą, jak już wykazałem, w Rosji nie ma.

A społeczeństwo chce tej pamięci?

Zrobiliśmy wystawę o stuleciu roku 1917. Przychodzą do mnie zagraniczni dziennikarze z – proszę darować – głupim pytaniem, jak współcześni Rosjanie odnoszą się do rewolucji. A ja nie wiem zupełnie, co odpowiedzieć, ponieważ współcześni Rosjanie to ludzie absolutnie sowieccy. Z wielkim bagażem sowieckiej przeszłości. Ludzie, którzy mieszkają przy ulicach Lenina albo Dzierżyńskiego i nie podejmują prób krytycznego odniesienia się do przeszłości. Nie zadają sobie pytań, czy pakt Ribbentrop-Mołotow był dobry czy zły; czy dobry czy zły był Stalin albo Breżniew. A tym bardziej nie próbują oceniać rewolucji październikowej.

O jaką więc tu pamięć pytać?

Proszę jeszcze do tych stronników amnezji dodać Aleksieja Nawalnego. W publicznych wystąpieniach przejawia ogromną nostalgię za Związkiem Sowieckim.

Samego Nawalnego nie określałbym jako człowieka sowieckiego. On próbuje grać w prawdziwą politykę, zwraca się więc do takiego elektoratu, jaki jest, czyli do ludzi sowieckich. W ten sposób powiększa szeregi swoich zwolenników. Jawliński odcinając się od tego, co sowieckie, nie powiększa szeregów. Związek Sowiecki to przestrzeń dzisiejszego Rosjanina i w niej porusza się Nawalny. Jaki on sam ma stosunek do tego, co so-

eprasa.pl d5eabde7d4

wieckie, to inna sprawa, prawdę mówiąc – nie wiem. Jego gra na nostalgii jest to jednak tylko ruch taktyczny.

Rodzaj demagogii?

Jeśli pan tak woli.

Od niepamiętnych czasów rosyjskie elity narzekały na naród. Że ciemny, że prawdy znać nie chce, że trzeba prowadzić go za rękę...

Obraz jest jasny i nie wymaga filozoficznej analizy. Społeczeństwo jest w swej większości paternalistyczne i kapitulanckie. Wszystkie marzenia, nadzieje i aspiracje wiąże z państwem. Zupełnie nie rozumie wartości wolności i jej nie pragnie. Prawie wszyscy – i naród, i władza – przeklinają ten krótki okres wolności, jaki zdarzył się Rosji w latach 90. Opluwanie tamtych czasów weszło do dobrego tonu. A gdy powiem, że ja byłem wtedy szczęśliwy, patrzy się na mnie jak na idiotę.

Pluje się na Jelcyna, a ci lepiej wykształceni plują też na Kiereńskiego, który dał Rosji osiem miesięcy wolności. Znienawidzone czasy! Przy wszystkich osobliwościach Jelcyna to na Kiereńskiego już naprawdę kompletnie nie ma za co pluć. A plują. Bo wolność, już poza wszystkimi jej niewygodami, przede wszystkim nie jest nikomu potrzebna.

Należę do mniejszości, którą to martwi.

Czyli do mniejszości outsiderów i zagranicznych agentów, jak oficjalnie określa się obecnie Memoriał...

Ten termin brzmi po rosyjsku wyjątkowo okropnie; ma jednoznaczne konotacje: wróg, szpieg. Paradoks zawiera się w tym, że wiele ofiar represji, których losy dokumentujemy, to osoby więzione lub rozstrzelane właśnie jako „zagraniczni agenci".

Sam przepis o organizacjach-zagranicznych agentach ma już kilka lat. Międzynarodowy Memoriał stosunkowo długo bronił się przed tą klasyfikacją. Wydawało się, że z samej definicji, skoro jest jawnie międzynarodowy, nie może być agentem. W końcu jednak i nas włączono. Rozstrzygają źródła finansowania, a że – mimo pewnej szczodrości Rosjan z Rosji – nie mogliśmy zrezygnować z pieniędzy z zagranicy, staliśmy się agentem.

I jak wam się żyje z tym piętnem?

Bardzo trudno. O ile jeszcze w Moskwie można znaleźć trochę instytucji gotowych z nami współpracować, o tyle na prowincji, gdzie działalność Memoriału ma szczególne znaczenie, wszystko zostało sparaliżowane. Żadna instytucja państwowa – archiwum, muzeum, biblioteka, szkoła – nie będzie przecież kolaborowała z zagranicznym agentem! Zdarzało się, że dyrektor jakiejś placówki odważył się i potem, nieuchronnie, spotykały go poważne konsekwencje ze strony zwierzchników. Współpraca z nami zagraża podstawom istnienia danej instytucji.

Nasze oddziały, które są odrębnymi osobami prawnymi, po kolei trafiają na listę zagranicznych agentów i w efekcie tracą możliwość działania. Niedawno w Krasnodarze tamtejszy oddział Memoriału wydał książkę o losach represjonowanych Polaków. Trudno wyobrazić sobie taką publikację bez współpracy z instytucjami polskimi. Jednak skoro współpraca, to znaczy, że agent. Jeśli w porę nie ujawniłeś, że jesteś agentem, to nakładają na ciebie gigantyczną grzywnę. W Moskwie jeszcze można zrobić zbiórkę, jakoś sobie z tym poradzić, lecz na prowincji oznacza to po prostu likwidację oddziału. I właśnie oddział w Krasnodarze przestaje istnieć.

To zresztą niejedyny problem. Coraz bardziej utrudnia nam się dostęp do archiwów; najczęściej pod pretekstem ochrony danych osobowych. I to w sprawach, które dotyczą zdarzeń sprzed 70 lat.

Dlaczego władza tak bardzo boi się prawdy o zdarzeniach z zamierzchłej już przecież przeszłości? Wydaje się, że pamięć historyczną Kreml mógłby wielkodusznie podarować demokratom. To przecież nie zagraża fortunom tych, którzy panują w Rosji.

Chodzi tu przede wszystkim o rolę służb specjalnych w naszym obecnym państwie. A jest to rola kierownicza. Dzisiejsze służby nie czują się czymś odrębnym od służb sowieckich. Podkreślają swoją nie tylko formalną, lecz także przede wszystkim faktyczną więź z tamtymi służbami. Wszystkie „heroiczne" historie służb sowieckich stanowią chwalebną przeszłość obecnego FSB. Wprawdzie nikt z władzy oficjalnie nie powie, że dobrze, iż represje miały miejsce, ale szczegóły, liczby, nazwiska – wszystko to jest rzecz, którą należy ukryć. Kopanie w historii represji władze traktują jak operację na ich żywym ciele. Podchodzi do nich chirurg i brudnymi łapami grzebie w ich czystych organach. Trudno się z tym pogodzić.

I dla władzy, i dla większości społeczeństwa Związek Sowiecki płynnie przeszedł w dzisiejszą Rosję. Wszystko się pozacierało. Kaci i ofiary. Czasem przecież to ci sami ludzie. Niemal każda rodzina ma jakiegoś trupa w szafie. Są miasta, które powstały w pobliżu łagrów i stanowiły bazę kwaterunkową dla strażników oraz ich rodzin. I jak teraz mieszkańcy takich miast mają grzebać się w przeszłości, rozważać to, że wszyscy oni – babcia, dziadek, babcia sąsiada i dziadek sąsiadki – wzięli się tu dlatego, że obok, w łagrze, więziono niewinnych ludzi?

Nie chcą pamięci. I w tym zakresie władza jest w pełni solidarna ze swoimi poddanymi. Urządza festyny, na których rekwizyty i kostiumy ukazują sentymentalny obraz Związku Sowieckiego.

A co wy na to?

Zrobiliśmy wystawę „Stare mieszkanie". Mała dziewczynka, która urodziła się ponad sto lat temu, wzrastała w Związku Sowieckim, i oto historia jej mieszkania. Było tam wszystko: i areszty, i dysydenci, i wojna. Na wystawę przychodzi wiele grup szkolnych, rodzice z dziećmi. Poprzez konkrety, przedmioty codziennego użytku, których można dotknąć, użyć – maszyna do pisania, patefon – poznają dzieje swojego narodu.

Inna wystawa zatytułowana „Pierwsi" poświęcona jest osobom aresztowanym w pierwszych dniach władzy bolszewików. Przychodzą ludzie, nawet wykształceni, i dziwią się, że jak to, przecież bolszewicy na początku byli łagodni, terror to dopiero później, wojna domowa, Stalin itd. Takie są oto mity o bolszewikach. Na tę małą skalę udaje nam się je obalać.

Zadam więc i ja panu to dyżurne pytanie: Co dla Rosjan znaczy rewolucja październikowa dzisiaj, po stu latach?

Odpowiem anegdotą, niemłodą już, ale nadal aktualną.

25 października 1917 r. (starego stylu) Lenin przemawia z trybuny drugiego wszechrosyjskiego zjazdu Rad: „Towarzysze! Rewolucja, o której tak długo marzyli bolszewicy, doszła do skutku! A teraz – dyskoteka!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Boris Bielenkin *– ur. 1953, członek zarządu stowarzyszenia Memoriał, zajmuje się od lat 70. XX w. badaniami nad represjami komunistycznymi. Dyrektor centrum naukowo-informacyjnego Memoriału, badacz archiwów, autor wystaw poświęconych sowieckim represjom. W 2016 r. odebrał z rąk Pawła Lisickiego nagrodę Strażnik Pamięci m.in. za wkład Memoriału w badanie zbrodni katyńskiej.*

eprasa.pl d5eabde7d4

Tomasz P. Terlikowski

Siedmiu dzielnych

Decyzja papieża Franciszka w sprawie interpretacji „Amoris laetitia" nie zakończyła sporu. Większość hierarchów schowała głowę w piasek, ale znalazło się kilku odważnych, którzy przypomnieli stałe nauczanie Kościoła

Proces zmiany doktryny (nazywany dla niepoznaki „duszpasterskim nawróceniem") zapoczątkowany przez dwa synody poświęcone małżeństwu i rodzinie dobiegł końca. I jeśli wierzyć abp. Bruno Forte, to stało się to zgodnie z planem przygotowanym na długo przed opublikowaniem „Amoris laetitia". Hierarcha ten, sekretarz synodu o rodzinie, już 3 maja 2016 r. – w trakcie spotkania we Włoszech – przytoczył słowa, które skierować miał do niego papież Franciszek jeszcze w czasie dyskusji synodalnej. „Jeśli będziemy mówić wprost o Komunii dla osób rozwiedzionych w nowych małżeństwach, to nie wiesz, do jakiego straszliwego zgiełku doprowadzimy. Dlatego nie będziemy mówić w sposób bezpośredni – zrób to tak, że będą przesłanki, a ja wyciągnę potem z tego wnioski" – miał powiedzieć papież.

I dokładnie tak się stało. Najpierw powstał nieostry raport synodalny, później nieprecyzyjna i zawierająca niejasne zapisy adhortacja „Amoris laetitia", a po niespełna roku dyskutowania nad właściwym jej rozumieniem papież kilkoma decyzjami prawnymi sprawił, że odrzucająca dotychczasową praktykę interpretacja tego dokumentu dokonana przez biskupów regionu Buenos Aires stała się „autentycznym nauczaniem" Kościoła, które obowiązywać ma katolików w sumieniu. Gdy tylko to się stało, kard. Walter Kasper oznajmił, że dyskusja na temat rozwodników oraz komunii właśnie została zakończona i czas zacząć wprowadzać decyzje papieskie w życie, a jeśli nad czymś można się zastanawiać, to co najwyżej nad tym, jak wielu rozwodników w nowych związkach trzeba do komunii dopuścić i jak szybko.

I rzeczywiście przez moment mogło się wydawać, że dyskusja zamarła. W kilku zachodnich katolickich periodykach pojawiły się wprawdzie teksty, w których duchowni i świeccy wskazywali, że opinia kard. Kaspera, a także interpretacja dopuszczająca rozwodników w ponownych związkach do komunii jest sprzeczna z prawem kanonicznym i tradycją, ale biskupi – nawet ci dotąd krytyczni wobec liberalnych interpretacji „Amoris laetitia" – zamilkli. Powodów było zapewne kilka. Po pierwsze, nikt nie chciał występować przeciwko papieżowi. Po drugie, Stolica Apostolska pod kierownictwem Franciszka błyskawicznie egzekwuje posłuszeństwo i bez pardonu – o czym przekonał się choćby były już prefekt Kongregacji Nauki Wiary kard. Gerhard Ludwig Müller – usuwa każdego, kto sprawia wrażenie, że nie zgadza się z kierunkiem „duszpasterskiej rewolucji".

Jednak kilkanaście dni później trzech biskupów (w tym, co trzeba podkreślić, dwóch Polaków) z Kazachstanu opublikowało niezwykle mocny dokument, w którym przypomniano o fundamentach nauczania Kościoła w sprawie małżeństwa, rozwodu i komunii świętej.

Arcybiskupi Tomasz Peta i Jan Paweł Lenga, a także bp Athanasius Schneider w opublikowanym w Święto Świętej Rodziny oświadczeniu podkreślają, że dopuszczenie osób „rozwiedzionych" i żyjących w ponownych (cywilnych) związkach do komunii świętej oznacza w praktyce zaakceptowanie rozwodów. Zdaniem hierarchów nowe normy, które zaakceptował papież, przyczynić się mogą do rozprzestrzenienia plagi rozwodów „nawet w życiu Kościoła, tymczasem Kościół, ze względu na swoją bezwarunkową wierność doktrynie Chrystusa, powinien stanowić przedmurze i niewątpliwy znak sprzeciwu wobec plagi rozwodów, które są coraz bardziej powszechne w społeczeństwie cywilnym". Dalej jest jeszcze mocniej, biskupi bowiem podkreślają, że przyjęte duszpasterskie zasady są sprzeczne z nauczaniem Jezusa. „Jednoznacznie i bez żadnego wyjątku nasz Pan i Odkupiciel Jezus Chrystus uroczyście potwierdził Bożą wolę dotyczącą absolutnego zakazu rozwodu. Zatwierdzenie lub legitymacja naruszenia świętości więzi małżeńskiej, nawet pośrednio poprzez wspomnianą nową sakramentalną dyscyplinę, poważnie zaprzecza woli Bożej i Jego przykazaniom. Ta praktyka stanowi zatem istotną zmianę w dwutysiącletniej sakramentalnej dyscyplinie Kościoła. Co więcej, zasadniczo zmieniona dyscyplina ostatecznie doprowadzi do zmiany odpowiedniej doktryny" – napisali.

W DUCHU FISHERA I MORUSA

Skąd tak mocne słowa w dokumencie, w którym trzech biskupów z „końca świata" odnosi się do nauczania papieża? Na to pytanie także odpowiedzieli kazachscy hierarchowie. Ich zdaniem jako następcy apostołów ponoszą „poważną odpowie-

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. FRANCO ORIGLIA/GETTY IMAGES

ludzi

dzialność" i mają „zobowiązanie wobec wiernych oczekujących od nich publicznego i jednoznacznego wyznania prawdy i niezmiennej dyscypliny Kościoła w odniesieniu do nierozerwalności małżeństwa", a to oznacza, że „nie wolno im milczeć w obliczu próby zmieniania nauczania o nierozerwalności małżeństwa".

„Wyznajemy zatem w duchu św. Jana Chrzciciela, św. Jana Fishera, św. Tomasza Morusa i błogosławionej Laury Vicuña i wielu innych znanych oraz nieznanych wyznawców i męczenników nierozerwalności małżeństwa: nie wolno usprawiedliwiać, aprobować czy legitymizować wprost lub nie wprost rozwodu i pozamałżeńskich stabilnych relacji seksualnych poprzez dyscyplinę sakramentalną i dopuszczenie tzw. rozwiedzionych i w ponownych małżeństwach do Komunii Świętej, w tym przypadku dyscypliny obcej całej Tradycji katolickiej i apostolskiej wiary" – napisali biskupi.

Przywołanie w oświadczeniu św. Tomasza Morusa i Jana Fishera nie jest przypadkowe. Nie ulega bowiem wątpliwości, że trzech kazachskich hierarchów miało świadomość, iż nie zostaną poparci przez większość światowych biskupów i że może ich za to stanowisko spotkać sporo administracyjnych nieprzyjemności. Z Morusem i Fisherem było podobnie, obaj wiedzieli, że sprzeciwiając się woli króla Henryka VIII w sprawie unieważnienia jego małżeństwa, opowiadają się przeciwko ogromnej większości duchowieństwa i hierarchów Kościoła. Jak jednak wspominał św. Tomasz, o wiele istotniejsze dla nich było to, by pozostać wiernymi temu, co Kościół nauczał zawsze, niż by zgadzać się z większością sobie współczesnych. I dokładnie taką samą postawę przyjęli arcybiskupi Peta, Lenga i bp Schneider, których wsparło zaledwie kilku, i to emerytowanych, innych hierarchów. Jako pierwsi zrobili to dwaj Włosi: emerytowany nuncjusz w Stanach Zjednoczonych abp Carlo Maria Viganò i arcybiskup emeryt archidiecezji Ferrara-Comacchio, abp Luigi Negri, potem dołączył do nich emerytowany metropolita Rygi (święcony jeszcze w podziemiu) kard. Jānis Pujats, a jako ostatni (do momentu zamykania tego tekstu) emerytowany biskup pomocniczy w diecezji Salzburg Andreas Laun.

Skład tej grupy nie zaskakuje. Emerytowanym biskupom niewiele już można zrobić, nie sposób im odebrać misji kanonicznej, a Kazachstan jest tak daleko i ma tak trudną specyfikę pracy, że niewielu jest chętnych, którzy zastąpiliby tamtejszych biskupów. Dodatkowo dwóch z odważnych biskupów jest wyświęconych jeszcze za czasów komunizmu w Związku Sowieckim i to tam, w czasie podziemnej pracy, uczyli się oni odwagi oraz oddania kwestiom wiary. Wszystko to razem pokazuje, że gdy trzeba przypominać niewygodne dla innych prawdy, czasem dobrze jest nie mieć nic do stracenia.

PRZECIW FAŁSZYWEJ PAPOLATRII

Decyzja o wydaniu takiego oświadczenia była tym trudniejsza, że hierarchowie doskonale wiedzą, iż zwolennicy liberalnej narracji w Kościele od jakiegoś czasu „nawrócili się" na najbardziej radykalny ultramontanizm, wedle którego każda, nawet najdrobniejsza decyzja papieża jest aktem Ducha Świętego. W myśl tego nowego, liberalnego ultramontanizmu biskup Rzymu ma pełną władzę dokonywania każdej zmiany i ogłaszania każdej nowej doktryny. Taką narrację obserwować można w dziesiątkach liberalnych, katolickich mediów – od jezuickiego magazynu „America", przez bergogliański portal Vatican Insider, aż do części naszych liberalno-katolickich mediów. Tyle tylko, że tak rozumiany ultramontanizm nie jest katolicki (a jest on co najwyżej protestanckim wyobrażeniem o tym, czym jest rzeczywiście posługa prymatu w Kościele), co w wywiadzie dla portalu Rorate Caeli przypomniał jeden z sygnatariuszy owego dokumentu. – Katolicy muszą pamiętać, że papież nie jest twórcą prawdy, wiary czy dyscypliny sakramentalnej Kościoła. Papież i całe Magisterium Kościoła „nie jest ponad słowem Bożym, lecz jemu służy, nauczając tylko tego, co zostało przekazane" („Dei Verbum", par. 10) – mówił bp Athanasius Schneider. I dodawał, że to nie papież ma być głównym punktem odniesienia codziennego życia katolików, takim punktem centralnym jest bowiem Jezus. – W przeciwnym wypadku stajemy się ofiarami szaleńczego papocentryzmu czy papolatrii, czyli postawy obcej tradycji apostołów, ojców Kościoła i wielkiej tradycji Kościoła – tłumaczył. Jego zdaniem obecny kryzys w Kościele może doprowadzić do tego, że osiągniemy „bardziej wyważony i zdroworozsądkowy stosunek do osoby papieża i do jego świętej oraz koniecznej posługi w Kościele".

I rzeczywiście wiele wskazuje na to, że jeśli czemuś ma służyć obecne zamieszanie w Kościele, to chyba mocniejszemu uświadomieniu sobie roli papieża w Kościele. Biskup Rzymu nie jest władcą absolutnym, ale kimś, kto jest poddany i podporządkowany Objawieniu objawiającemu się w Piśmie Świętym, Tradycji i całym Magisterium. A najciekawsze może być to, że te (i inne także) podstawowe prawdy wiary przypominają Kościołowi hierarchowie z Kazachstanu… Szkoda, że innym brakuje do tego odwagi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. FOTOLIA

GWAŁTY MUSZĄ POCZEKAĆ

W Szwecji postępowania dotyczące gwałtów są przeciągane tygodniami nawet w sprawach, w których jest wytypowany podejrzany. Jak wyznał szef Wydziału Śledczego Sztokholmskiej Policji Torgny Söderberg – cytowany przez Nettavisen.no – po prostu funkcjonariusze nie mają czasu, ponieważ w kraju dochodzi do dużej liczby morderstw, a te sprawy mają pierwszeństwo przed innymi. Podobno takie działanie policji ma na celu ocalenie wiary mieszkańców kraju w praworządność. Widocznie w Szwecji w sprawie praworządności głównym celem stało się już kryterium wiary.

W NIEMIECKIM WIĘZIENIU

Legendarna niemiecka solidność co rusz jest podkopywana. Ostatnio dosłownie – w berlińskim więzieniu Plötzense. Z tej placówki penitencjarnej najpierw uciekło dwóch mężczyzn. Po prostu wyłamali kraty w oknie. Jeden z nich zdecydował się potem na dobrowolny powrót do celi. Jednak kilka dni po tej ucieczce z tego samego więzienia czmychnęło czterech innych więźniów. Na wolność wydostali się, wykuwając dziurę w ścianie kotłowni. Użyli do tego młota i szlifierki kątowej, bo mieli do takich narzędzi dostęp jako pracownicy więziennego warsztatu samochodowego. Reputacji więzienia nie ratuje fakt, że trzech z nich też powróciło do zakładu z własnej woli, a czwartego przyłapano na kradzieży kieszonkowej i tym sposobem ponownie osadzono w celi.

KONIEC CZARNYCH SAMOCHODÓW

Cztery lata temu administracja prezydenta Turkmenistanu zrezygnowała z samochodów rządowych w kolorze czarnym i zamieniła je na białe. Rok później zakazano wwożenia czarnych samochodów do tego kraju oraz ich kupowania i sprzedawania.

A teraz nowa akcja – milicja zatrzymuje kierowców czarnych samochodów i oddaje je dopiero wtedy, gdy właściciel dostanie urzędową zgodę na przemalowanie na inny kolor. Podobno usługi lakierowania samochodów w Turkmenistanie w ostatnim czasie zdrożały aż dwukrotnie.

KSIĄŻĘ A ŻEBRAK

Może się wydawać, że książęta są bogaci. Tymczasem – jak pokazują protesty w Rijadzie – są oni tylko obwieszeni złotem i obudowani luksusami, a w gruncie rzeczy biedni. Bo czy saudyjscy książęta zdecydowaliby się na wystąpienia przed pałacem królewskim i narażali na areszt, gdy królewskim dekretem zniesione zostały ich przywileje – między innymi te dotyczące dokonywania za nich opłat za wodę i energię elektryczną? ©℗

Łukasz Zboralski

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zabójczej Carmen

Ministerstwo Prawdy Politpopu (POLITycznej POPrawności) już nam zweryfikowało jasełka, kolędy i kilka bajek, a teraz bierze się do klasyki. Na razie operowej. We Florencji ofiarą zideologizowanych durniów padło libretto „Carmen" Bizeta. Panie z florenckiej opery uznały, że wobec plagi bicia, okaleczania i zabijania Włoszek przez Włochów trzeba się zabrać do wychowywania społeczeństwa. Dyrektor przyklasnął, reżyser się zgodził.

W oryginale Carmen ginie zasztyletowana przez Don Jose, bo go nie chciała. Postępowcy uznali, że to nie do przyjęcia. Postanowili więc fabułę, która przecież powstała w odrażających czasach zacofania społecznego (1845), przerobić. W efekcie we Florencji miłośnicy opery ujrzeli, jak w ostatniej scenie Carmen strzałem z pistoletu kładzie trupem wymachującego sztyletem Don Jose. Reżyser tłumaczył, że w obecnej, ponurej sytuacji pań we Włoszech nie mógł dopuścić, by publiczność po zapadnięciu kurtyny biła brawo kilka sekund po zamordowaniu kobiety na scenie.

Z tej postępowej pedagogiki wynika, że dość radykalnym, choć skutecznym sposobem rozwiązania problemu jest odstrzał mężczyzn. Dziwi jedynie, że gdy we florenckiej operze wyzionął ducha Don Jose, reżyser nie kazał odpalić fajerwerków, a baletnicom odtańczyć kankana albo przynajmniej siarczystego flamenco.

Nadzwyczaj trafne włoskie porzekadło mówi, że matka idiotów jest zawsze w ciąży, więc zapewne niebawem ujrzymy Desdemonę duszącą Otella. Dalszym logicznym krokiem byłaby nowa, postępowa wersja „Zbrodni i kary", w której lichwiarka wali Raskolnikowa po łbie siekierą. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl d5eabde7d4

SZEWACH WEISS

W cieniu irańskiego atomu

Od dłuższego czasu, zwłaszcza w ostatnim 20-leciu, Iran ma wpływ na wiele wydarzeń nie tylko na Bliskim Wschodzie, lecz także na całym świecie. Od kiedy rozwija swój potencjał nuklearny, a robi to w szybkim tempie, jest ważnym graczem na arenie międzynarodowej. I daje sobie radę mimo nakładanych przez Zachód – czasami większych, czasami mniejszych – sankcji.

Ostatnie demonstracje w Iranie każą się zastanowić, czy rzeczywiście daje sobie radę i jak długo sobie poradzi. Informacje, które do nas docierają, nie są pełne z oczywistych powodów. Taki reżim jest w stanie zamknąć się przed światem. Wyjście Irańczyków na ulice, tak masowe, że pokazywane w irańskich telewizjach, to bardzo niebezpieczna sytuacja. Mamy doświadczenie z 2009 r., kiedy szerokie demonstracje opozycji miały tragiczne skutki – setki ofiar (dokładnej liczby nie znamy, reżim mówił o kilkudziesięciu ofiarach), tysiące aresztowanych, być może również torturowanych.

Jeśli Iran będzie miał swoje bazy wojskowe w Syrii, to Izrael będzie musiał działać

Tym razem powodem demonstracji były bieda i głód. Ludzie wyszli na ulice, bo rząd wydaje ogromne pieniądze na zbrojenia i program jądrowy w sytuacji, gdy znaczna część społeczeństwa jest bezrobotna albo otrzymuje wynagrodzenie, które nie wystarcza na podstawowe potrzeby. Nikt nie wie, czy demonstracje będą miały ciąg dalszy, jaki on będzie i czy doprowadzi do zmiany rządu oraz jaki będą one miały wpływ na najbliższe wybory parlamentarne. Niezależnie od ich wyniku postacią numer jeden w Iranie i tak jest najwyższy przywódca – obecnie Ali Chamenei – ajatollah, wybierany dożywotnio przez grupę pozostałych ajatollahów.

Jak wygląda sytuacja Iranu na początku 2018 r.? Iran obowiązuje umowa dotycząca rozwoju przemysłu jądrowego, ale nie ogranicza ona zupełnie dalszego jego rozwoju. Iran już teraz nie tylko potencjalnie, lecz także realnie należy do grona państw, które dysponują siłą jądrową na potrzeby wojskowe. Nawet jeśli Iran nie złamie zawartej umowy, która obowiązuje jeszcze ponad siedem lat, to wraz z jej zakończeniem będzie w stanie w ciągu kilku miesięcy stworzyć bomby atomowe.

Iran włączył się w walkę przeciwko Państwu Islamskiemu. Nie z powodów ideologicznych. Chodziło o czysty interes polityczny. Iran chciał zlikwidować siłę, która miała potencjał, by stać się mocarstwem numer jeden w świecie islamskim i spadkobiercą polityki terroru Iranu. Teheranowi zależało, by Syria pozostała pod rządami Baszszara al-Asada lub kogoś z jego otoczenia, bo taka Syria byłaby pod bezpośrednim wpływem Iranu. Reżim ma też interes w tym, by nie doszło do zmiany rządu w Iraku, żeby Kurdowie byli marginalizowani, bo samodzielny rząd lub państwo Kurdów są zagrożeniem dla Iranu. Iranowi zależy również na tym, by Liban był w dalszym ciągu pod wpływem szyitów i Hezbollahu oraz by Hezbollah pozostał ruchem wojskowym.

Iran jest więc najsilniejszym państwem muzułmańskim na Bliskim Wschodzie, a może i na całym świecie. Jak wygląda jego sytuacja na globalnej mapie politycznej? Dla Rosji jest to bardzo wygodna sytuacja, ponieważ kraje te łączą podobne interesy. Rosja odnowiła swój status na Bliskim Wschodzie, jaki miała w latach 50. i 60. XX w., co jest ogromnym, historycznym osiągnięciem Władimira Putina. Społeczeństwo Stanów Zjednoczonych jest zmęczone nieudanymi interwencjami w Afganistanie, Iraku i nawet w Syrii. Nie ma w USA lidera, który będzie miał odwagę i polityczną możliwość, by wysłać żołnierzy na zagraniczny front. Nie zrobią tego ani Donald Trump, ani jego obecny zastępca (jeśli Trump nie dokończy kadencji, choć wydaje mi się, że jednak dotrwa na stanowisku do końca). Rosja od czasu przegranej wojny w Afganistanie też tego nie robi. Interwencja w Syrii została przez te państwa podjęta, ale bez użycia żołnierzy na froncie. Europa nie robi tego od dawna.

Jakie miejsce w tym kontekście ma Izrael, który – jak wiadomo – nie jest słabym państwem? Jeśli Iran będzie miał swoje bazy wojskowe w Syrii, na północnej granicy z Izraelem, jeśli Hezbollah nadal będzie częścią siły irańskiej w czasach, kiedy wojna odbywa się głównie przy użyciu rakiet, jeśli od północy będą rozstawione dziesiątki tysięcy rakiet skierowanych w kierunku Tel Awiwu (a sytuacja prawie już tak wygląda), to dla Izraela będzie to kwestia przetrwania. Być albo nie być. Izrael jako jedyne państwo żydowskie na świecie, Izrael jako państwo żydowskie (bardzo demokratyczne, ale jednak żydowskie), nie może sobie pozwolić na istnienie okoliczności, które mogą doprowadzić do jego unicestwienia. Naród żydowski zbyt wiele stracił w ostatnim wieku. Każdy Żyd osobiście i każda zbiorowość żydowska – czy to prawica, czy lewica, czy centrum; czy to religijny, czy świecki Żyd – mają w swoich genach pamięć tragedii Holokaustu.

W takiej sytuacji Izrael będzie musiał działać. Jak? Kiedy? Czy sam, czy w jakiejkolwiek koalicji (trzeba wziąć pod uwagę, że Iran zagraża również m.in. Egiptowi, Arabii Saudyjskiej, Jordanii i większości Emiratów)? Zachowanie Izraela pozostaje wielkim znakiem zapytania. ©℗

oprac. raw

eprasa.pl d5eabde7d4

Kosztowne e-marzenia

Jacek Przybylski

Ten rok ma być przełomowy dla elektromobilności w Polsce. Sejm przyjął ustawę mającą skłaniać do kupna elektrycznych samochodów. Zachęty są jednak marne. Szkoda, bo rozwój e-mobilności ma nas kosztować 19 mld zł

Gdy jadą, niemal ich nie słychać. W całej Europie jest jednak o nich coraz głośniej. Samochodów hybrydowych oraz elektrycznych z roku na rok jest na drogach coraz więcej. Cicha jazda to tylko jeden plus. Dla nabywców, którzy dali się przekonać do zmiany, ważne są również niższe koszty eksploatacji. Wynikają one m.in. z wykorzystania tańszej energii elektrycznej (przejechanie 100 km autem elektrycznym kosztuje obecnie ok. 6 zł) oraz z prostszej konstrukcji napędu, która nie wymaga wymiany filtrów czy oleju.

O wiele niższa emisja spalin sprawia zaś, że rządy wielu państw – zwłaszcza tych borykających się z problemem wiszącego nad miastami smogu – postawiły na rozwój aut niskoemisyjnych. Wyłącznie ekologiczne nowe auta chcą dopuszczać na drogi m.in. władze Niemiec (sprzedaż nowych samochodów z silnikami benzynowymi i jednostkami Diesla będzie tam możliwa tylko do 2030 r.), Francji czy Wielkiej Brytanii (w obu krajach po 2040 r. w sprzedaży mają być tylko hybrydy i auta elektryczne).

Niedawny kandydat SPD na kanclerza Niemiec Martin Schulz postulował w zeszłym roku wprowadzenie narzucanego przez Brukselę procentowego udziału samochodów na prąd w rynku motoryzacyjnym Unii Europejskiej. I chociaż Unia takiego zapisu jeszcze nie wprowadziła, to polski rząd musiał spieszyć się z ustawą o elektromobilności, która wdrażała m.in. unijne przepisy w sprawie rozwoju infrastruktury paliw alternatywnych. Gdyby Polska nie wprowadziła ich do 1 lutego, władzom w Warszawie groziłyby kary.

NORWESKI REKORD

Władze w Amsterdamie oraz Oslo postanowiły zaś, że sprzedaż nowych samochodów z silnikiem spalinowym będzie zakazana już w 2025 r. Dla wielu ekspertów takie zapowiedzi jeszcze niedawno wydawały się mrzonką. Tymczasem rząd Norwegii, kraju będącego największym w Europie Zachodniej producentem ropy, wprowadził tak wiele przywilejów, które mają zachęcać do kupna aut niskoemisyjnych, że elektryczna rewolucja na drogach stała się realna. Właściciele hybryd, aut całkowicie elektrycznych lub napędzanych wodorem mają więc prawo jeździć pasami dla autobusów, dzięki czemu łatwiej omijają korki. Właściciele samochodów niskoemisyjnych są też zwolnieni z płacenia większości podatków oraz np. z opłat za przejazd płatnymi drogami, tunelami czy za przeprawy promowe. Mogą oni również liczyć na darmowe parkowanie oraz bezpłatnie doładowywać auta na parkingach publicznych.

Władze Norwegii wzięły też na cel główną przeszkodę w nabyciu aut elektrycznych i doprowadziły do zmniejszenia ich cen (m.in. poprzez zwolnienia z podatku VAT). Pakiet zachęt i przywilejów sprawił, że w Norwegii padł już rekord: aż 52 proc. ze 158,6 tys. nowych samochodów osobowych zarejestrowanych w roku 2017 stanowiły samochody niskoemisyjne. Dla porównania: w 2016 r. stanowiły one 40 proc. nowych pojazdów.

Według danych ogłoszonych przez Norweską Federację Drogową (OFV) w 2017 r. zarejestrowano 49,7 tys. pojazdów hybrydowych i aż 33 tys. samochodów całkowicie elektrycznych.

O wiele mniej chętnie do elektryków przesiadają się mieszkańcy Wielkiej Brytanii czy Niemiec.

DALEKO DO MILIONA

W Polsce samochody zeroemisyjne miałyby jeszcze jedną zaletę: dodatkowo zmniejszałyby naszą zależność od ropy naftowej (ok. 90 proc. tego surowca nasze rafinerie nadal importują z Rosji).

Polskie władze nie mówią jeszcze wprawdzie o żadnej dacie, po której nad Wisłą rejestracja nowych aut spalinowych byłaby zakazana, lecz plany

eprasa.pl d5eabde7d4

W Norwegii już 52 proc. nowych samochodów osobowych zarejestrowanych w roku 2017 stanowiły samochody niskoemisyjne. Premier Mateusz Morawiecki chce, aby do 2025 r. po Polsce jeździło milion pojazdów elektrycznych FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

polskiego rządu też są ambitne. Premier Mateusz Morawiecki chciałby, aby do 2025 r. po drogach w Polsce jeździł milion samochodów elektrycznych.

Patrząc na dane dotyczące sprzedaży, na razie brzmi to jak kompletna mrzonka. W zeszłym roku w Polsce zarejestrowano ok. 300 aut elektrycznych. W sumie – według danych Instytutu Badań Rynku Motoryzacyjnego SAMAR – w ciągu siedmiu lat w Polsce zarejestrowano około tysiąca samochodów elektrycznych. Dużo lepiej wyglądają statystyki dotyczące hybryd: w Polsce w ciągu siedmiu lat zarejestrowano ok. 40 tys. takich aut (chociaż nie jeżdżą one wyłącznie na prąd, to z badań wynika, że ich użytkownicy co najmniej połowę pokonywanego dziennie dystansu przemierzają właśnie w trybie elektrycznym, co sprzyja ochronie środowiska).

Wkrótce niskoemisyjnych samochodów ma przybywać w dużo większym tempie. Pod koniec ubiegłego roku Rada Ministrów rzutem na taśmę przyjęła przygotowany przez Ministerstwo Energii projekt ustawy o elektromobilności i paliwach alternatywnych. W zeszłym tygodniu odbyło się zaś w Sejmie pierwsze czytanie rządowego projektu – projekt, z poparciem wszystkich klubów, został skierowany do Komisji Infrastruktury, Energii i Skarbu Państwa. Według deklaracji urzędników ustawa ma wejść w życie już w pierwszym kwartale tego roku.

Z projektu wynika, że kupujący auta o napędzie elektrycznym, wodorowym lub hybrydowym (PHEV) mają korzystać z przywilejów podatkowych. Chodzi m.in. o wprowadzenie wyższej stawki odpisów amortyzacyjnych dla pojazdów o napędzie elektrycznym oraz zwolnienie z podatku akcyzowego w przypadku pojazdów elektrycznych (w przypadku samochodów o pojemności silnika do 2 l wynosi ona 3,1 proc. wartości, a w przypadku aut z większą pojemnością silnika aż 18 proc.). To kiepska zachęta, zważywszy na fakt, że niskoemisyjne pojazdy wciąż są bardzo drogie. Europejski bestseller, Nissan Leaf, który według producenta na jednym ładowaniu potrafi przejechać do 378 km, kosztuje w Polsce od 139 tys. zł do 165,5 tys. zł. Za takie pieniądze można kupić już niezłą limuzynę ze spalinową jednostką pod maską. Zniżka w wysokości 3,1 proc. to więc niewielka zachęta do rezygnacji z zakupu tradycyjnego auta. Jeszcze lepiej różnicę w kosztach widać na przykładzie Volkswagena Golfa. Za e-Golfa trzeba zapłacić 163 tys zł, a ten sam model z silnikiem Diesla to wydatek rzędu 92 tys. zł. Tymczasem, jak zauważa Obserwatorium Rynku Paliw Alternatywnych ORPA.PL, w Norwegii, w której e-Golf był w 2017 r. najczęściej wybieranym autem elektrycznym, zwolnienia podatkowe są na tyle wysokie, że elektryczny Volkswagen Golf stał się tańszy od tego samego modelu z silnikiem Diesla.

Niewiele pomoże tu fakt, że ustawa przewiduje m.in. możliwość poruszania się pojazdów o napędzie elektrycznym po buspasach.

ZWARCIE

Przyjęta 11 stycznia ustawa ma rozwiązać m.in. problem braku infrastruktury paliw alternatywnych w Polsce. Ponadto ustawa przewiduje m.in.: możliwość poruszania się pojazdów o napędzie elektrycznym po buspasach, wprowadzenie wyższej stawki odpisów amortyzacyjnych dla pojazdów o napędzie elektrycznym, zwolnienie z podatku akcyzowego w przypadku pojazdów elektrycznych.

Kłopot w tym, że polscy urzędnicy z uporem maniaka robią, co mogą, aby utrudnić życie właścicielom wszelkich samochodów, w tym aut na prąd, traktując kierowców jednocześnie jako zło wcielone i podatkowe dojne krowy. Sztandarowym przykładem są tu działania władz Warszawy, które od lat utrudniają życie zmotoryzowanym. Od 1 stycznia 2018 r. pozbawiły one kierowców aut hybrydowych i elektrycznych możliwości wjazdu na Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat. Na ten odcinek Traktu Królewskiego posiadacze „elektryków" mogli wjeżdżać od 2014 r. dopiero po odebraniu specjalnego identyfikatora. Dlaczego ten przywilej przestał obowiązywać? Bo zainteresowanie było zbyt duże. – W 2014 i 2015 r. wydaliśmy 152 identyfikatory. Potem nastąpił kilkusetprocentowy wzrost i w 2016 i 2017

eprasa.pl d5eabde7d4

wydaliśmy ich już ponad 1200. I chociaż jesteśmy zwolennikami samochodów o napędzie ekologicznym, to nie możemy uprzywilejowywać e- samochodów, kosztem transportu zbiorowego, który dla miasta jest priorytetem – tłumaczy „Do Rzeczy" rzecznik prasowy ZDM Karolina Gałecka. ZDM w Warszawie nie chce też, aby kierowcy „elektryków" mogli korzystać z buspasów, ponieważ to „zniechęci mieszkańców do korzystania z komunikacji miejskiej. Rosnąca liczba e- samochodów będzie generowała coraz to większe natężenie ruchu".

Może się więc okazać, że w Warszawie kierowcy ekologicznych samochodów nie będą się cieszyć żadnymi przywilejami. A jeśli gdzieś pojawiają się drobne infrastrukturalne udogodnienia, takie jak ładowarka (np. przy warszawskim Centrum Nauki Kopernik), to często brakuje np. zakazu parkowania przy niej samochodów spalinowych, przez co właściciele „elektryka" nie są w stanie z niej skorzystać.

NA RAZIE BEZ OPŁAT ZA WJAZD

Życie właścicielom elektryków utrudnia właśnie marna infrastruktura, a zwłaszcza koszmarnie mała sieć stacji ładowania, w których można auto elektryczne od 0 do 80 proc. naładować w około pół godziny. Liczbę ładowarek w całej Polsce szacuje się obecnie na nieco ponad 300.

Biorąc pod uwagę, że większość sprzedawanych w Europie aut elektrycznych może na jednym ładowaniu przejechać 150–200 km, a podczas siarczystych mrozów czy potwornych upałów maksymalny zasięg jeszcze spada ze względu na konieczność używania klimatyzacji, publicznych lub prywatnych ładowarek powinny być tysiące. Rząd zdaje sobie z tego sprawę i planuje, że do 2020 r. powstanie infrastruktura do ładowania aut elektrycznych. Zgodnie z przyjętą w zeszłym tygodniu ustawą rząd zamierza zbudować 400 tzw. szybkich ładowarek o mocy ok. 50 kW i 6 tys. tzw. wolnych ładowarek, a także stacje tankowania pojazdów CNG i LNG (104 stacje CNG i 14 stacji LNG).

Rozbudową infrastruktury mają zająć się firmy energetyczne, m.in. PGE, Energa oraz Greenway Infrastructure Poland (do 2020 r. chce ona uruchomić blisko 200 ładowarek). Ładowarkami dla „elektryków" już teraz kuszą klientów niektóre centra handlowe oraz supermarkety.Początkowo rząd chciał też zmusić Polaków do zmiany napędu w samochodach za pomocą dodatkowych opłat i utrudnień. Z pierwotnego projektu ustawy wynikało, że kierowcy samochodów z silnikami benzynowymi oraz Diesla musieliby płacić za wjazd do tzw. stref czystego transportu, które będą mogły tworzyć lokalne samorządy. Gminy miały mieć prawo wprowadzania opłat za wjazd dla samochodów innych niż korzystających z alternatywnych źródeł paliw. Nowoczesna forma myta miała wynosić maksymalnie 30 zł za dzień. Opłaty miały być pobierane przez całą dobę, a osoby, które uchylałyby się od uiszczenia nowej daniny, mogłyby być ukarane grzywną w wysokości 500 zł. Na szczęście sejmowe komisje infrastruktury oraz energii i Skarbu Państwa wykreśliły opłaty z projektu ustawy o elektromobilności, a wiceminister energii Michał Kurtyka oznajmił, że rząd jest w stanie zgodzić się na tę poprawkę. Miejmy nadzieję, że możliwość pobierania opłat za wjazd do „czystej strefy" nie powróci w Senacie – taki zapis z pewnością odbiłby się PiS poważną wyborczą czkawką, ponieważ wprowadzenia tak wysokiego myta, nieprzystającego zupełnie do polskich realiów, kierowcy i członkowie ich rodzin długo by rządzącym nie zapomnieli.

Pozostaje jednak pytanie, czy samochody elektryczne są rzeczywiście tak bardzo ekologiczne. W Norwegii, która niemal 98 proc. swojej energii elektrycznej uzyskuje z hydroenergii, większy udział samochodów elektrycznych bez wątpienia przyczynia się do poprawy stanu środowiska naturalnego. Podobnie może być w krajach takich jak Niemcy, w których z odnawialnych źródeł energii pochodzi 35 proc. energii elektrycznej (a mimo to elektromobilna rewolucja wcale nie budzi wśród niemieckich kierowców wielkiego entuzjazmu). W Polsce energia pozyskiwana jest głównie ze spalania węgla. A jeśli na drogach zaczną w końcu dominować samochody elektryczne, to Polska stanie też przed nowym problemem: co zrobić z tonami zużytych akumulatorów i z czyjej kieszeni wyciągnąć wówczas kolejne miliardy.

DROGA ZABAWKA

Kontrowersje może budzić również projekt budowy polskiego samochodu elektrycznego. Można mocno trzymać kciuki za polskich inżynierów i speców od marketingu. Jednak czy państwowa spółka ElectroMobility Poland – która ma produkować polskie auta i autobusy elektryczne – będzie w stanie szybko znaleźć dla siebie wystarczającą niszę na rynku? Oczywiście niszę poza zamówieniami ze strony rządu i wielkich państwowych firm wynikającymi z faktu, że przyjęta w zeszłym tygodniu ustawa wprowadza obligatoryjny udział pojazdów o napędzie elektrycznym we flocie części organów administracji centralnej oraz wybranych jednostek samorządu terytorialnego. Nie będzie to łatwe zadanie. Konkurencja jest ogromna. Amerykańska Tesla – słynna firma Elona Muska produkująca auta elektryczne – po kilkunastu latach działalności wciąż ma problemy z wyjściem ponad kreskę.

Trzeba się też zastanowić, czy rząd kraju, którego mieszkańcy jeżdżą najstarszymi samochodami w Unii Europejskiej (średni wiek auta w Polsce szacowany jest od 12 do ponad 14 lat) i w którym z powodu smogu umiera ponad 40 tys. osób rocznie, nie mógłby się zdecydować na szybszy i tańszy (rozwój elektromobilności do 2020 r. ma kosztować 19 mld zł) sposób zmniejszenia zanieczyszczeń wywołanych ruchem drogowym.

Wydaje się, że likwidacja akcyzy na nowe auta, w tym hybrydy bez wtyczki, a także obniżka podatku od nowych samochodów dla osób prywatnych oraz firm zarejestrowanych jako jednoosobowa działalność gospodarcza (obecnie rekordowe zakupy nowych aut to głównie zasługa klientów flotowych) mogłyby sprawić, że Polacy chętnie przesiedliby się do aut czystszych, czyli spełniających nowe normy emisji spalin. Stałoby się to na długo przed rokiem 2025. I to bez konieczności wydawania pieniędzy podatników na budowę nowej infrastruktury i modernizację tej już istniejącej.

Milion samochodów na prąd stanowiłby dodatkowe obciążenie dla polskiej sieci energetycznej, co w połączeniu ze spadającymi dochodami z akcyzy od paliw płynnych mogłoby się przełożyć na wzrost cen energii lub zainspirować rząd do wprowadzenia wyższej akcyzy na prąd. Zanim wyłoży się miliardy podatników na marzenia o elektryfikacji, warto więc jeszcze raz sprawdzić wszelkie koszty. I z punktu widzenia budżetu, i przeciętnego Kowalskiego. Tylko wówczas można przeprowadzić e-rewolucję tak, aby nie wyrzucać pieniędzy podatników na marzenia o polskim Elonie Musku, a samym obywatelom dać prawo wyboru, czym chcą jeździć i ile chcą za to płacić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

Tomasz Wróblewski

Przyszła Europa wykluwać się będzie w najbliższych latach. W konfliktach, awanturach, szantażach, kompromisach i podjazdach

Nowa wojna trzydziestoletnia

FOT. FOTOLIA

Integracja europejska, pomyślana jako mechanizm stabilizujący relacje między narodami po II wojnie światowej, wypaliła się. Niezależnie od tego, czy ktoś jest eurosceptykiem, czy euroentuzjastą, rozumie, że przyszedł czas na nowy porządek polityczny. System, który nadążałby za globalnymi przemianami ekonomiczno-społecznymi.

Źródła wielkiej niemocy europejskiej zaszyte są w modelu polityczno-gospodarczym Unii państw europejskich. Systemu w żaden sposób nieprzystosowanego do współczesnych wyzwań. Jak to zgrabnie napisał Francis Fukuyama w jednym z ostatnich esejów: „Europa stworzyła wspólny system monetarny pozbawiony wspólnej polityki fiskalnej. Stworzyła Schengen bez kontroli zewnętrznych granic Unii. Stworzyła kosztowny system socjalny osłabiający konkurencyjność europejskiej gospodarki i uniemożliwiający finansowanie coraz bardziej roszczeniowych postaw swoich obywateli. I wreszcie stworzyła potężny aparat decyzyjno-biurokratyczny oderwany od wartości i tradycji podległych mu narodów". Słabość systemową Unii najlepiej widać po programach wychodzenia z kolejnych kryzysów. Erzacach naprędce kleconych, sprowadzających się do poszerzania kompetencji urzędników, którzy następnie stają się źródłem kolejnych, coraz poważniejszych kryzysów. Wieczna integracja przybrała formę kultu, wiary opartej na przekonaniu, że istnieje wyższa forma cywilizacji gwarantująca wieczny dobrobyt i pokój, która powstanie na gruzach państw narodowych. I, jak to w młodych religiach bywa, jej wyznawcy każdy kryzys, każdą okazję wykorzystują do osłabiania tradycyjnych państw, tradycji, religii spajającej narody razem i zastępowania ich nową globalistyczną ideologią. Efekty są na tyle mierne, że grono wyznawców zamiast rosnąć, maleje. Doszliśmy do punktu swoistego equilibrium, gdzie wierni integracji europeidzi blokowani są przez coraz większą grupę narodowców czy tradycjonalistów wystraszonych kierunkiem zmian i ostatnimi kryzysami. „Dzielą nas na plemiona – czytamy w jednym z ostatnich raportów najstarszego europejskiego think tanku – Chatham House – nienawidzące się plemiona Europy, które nie pozwalają nam ruszyć się z miejsca". Z jednej strony blokują dalszą integrację, a z drugiej nie pozwalają się cofnąć, by naprawić błędy i zacząć od nowa.

Musimy założyć, że w perspektywie 10–20 lat nic i nikt nie rozstrzygnie tego sporu, nikt nie pogodzi plemion.

Tym, co różni ten kryzys od wcześniejszych, jest brak wspólnoty ideowej. Jeszcze kilka lat temu dominowało przekonanie, że jak tylko opadnie kurz kryzysu finansowego, a wskaźniki makro zaczną się zielenić, europejskie narody radośnie ruszą ku dalszej integracji. Nic takiego się nie stało. Ruchy narodowe weszły do mainstreamu, polaryzacja postępuje, a Unia coraz mocniej buksuje w miejscu. Europeidzi kontra tradycjonaliści. Plemię europeidów swoją przyszłość łączy z postępującą emancypacją biurokracji unijnej od wyborców i państw narodowych. Wolę ludu nazywają populizmem, w którym upatrują analogii do totalitarnych reżimów. Stąd też, ku wielkiemu zdziwieniu Polaków, w Europie pojawiają się oskarżenia PiS o faszyzm. Tutaj nikt nie szuka na poważnie analogii do Hitlera, to raczej część narracji.

Przeciwko sobie europeidzi mają rosnące w siłę plemię tradycjonalistów. Ludzi wystraszonych tempem i przez nikogo niekontrolowanym kierunkiem przemian. Unia Europejska jawi im się jako sieć partykularnych interesów uprzywilejowanej klasy – mieszanki biurokratów i korporatów. Zaledwie 34 proc. Europejczyków zarabiających poniżej średniej krajowej

eprasa.pl d5eabde7d4

uważa, że są beneficjentami członkostwa w UE. 54 proc. wszystkich Europejczyków uważa, że życie w ich kraju pogorszyło się w ciągu ostatnich 20 lat. Szybko rośnie niezadowolenie klasy średniej, która utraciła swoje fundamenty ekonomiczne.

Od dobrych dwóch lat obserwujemy nieustanne starcie dwóch plemion. Kolejne pomysły instytucji wspólnego ministra finansów, wspólnego budżetu, które równie szybko ożywają, co zaraz znowu gasną, nie mogąc zdobyć poparcia autonomicznych rządów i parlamentów. Dzisiaj nikt w UE nie wierzy, że możliwy jest jakiś wielki ponadnarodowy traktat czy mechanizm wprowadzający Europę z powrotem na tory integracji.

Mamy pat, który oznacza, że przyszłość Europy będzie się wykluwała w mozolnych negocjacjach i nieustannych kryzysach. Unia stopniowo będzie coraz mniej ideologiczna, a coraz bardziej będzie transakcyjna. Smithowska symbioza partykularnych interesów każdego państwa z osobna.

To model, na jaki dzisiejsza Polska nie jest przygotowana. Przyszła Europa wykluwać będzie się w najbliższych latach. W konfliktach, awanturach, szantażach i kompromisach oraz podjazdach. To tak naprawdę odpowiednik trzydziestoletniej wojny, która zmieniła kształt kontynentu na kolejne 200 lat. Czy i ta wojna rozgrywać się będzie z naszą krzywdą, poza nami?

ŚWIAT I MIGRACJE LUDÓW

Pierwsze, co może zostać poddane urealnieniu w Unii, to polityka zagraniczna i migracyjna, czego wymaga racja bytu „raison d'être" – racja bytu Europy. Dotychczas Bruksela bardziej zajmowała się kreowaniem międzynarodowego wizerunku niż uprawianiem realnej polityki zagranicznej. Wypracowywano tu całe tony dokumentów analizujących prawa kobiet w Nigerii, równouprawnienie mniejszości seksualnych w Boliwii, szkodliwość tytoniu w Senegalu, finansowano niezliczone konferencje o głodzie i obrzezywaniu dziewczynek, ale nie uprawiano polityki. Wszystko to z pewnością ważne problemy, ale w żaden sposób niepowiązane z interesami narodowymi państw, które Unia reprezentuje. Co więcej, polityczne poprawne deklaracje zwykle rozmijały się z realnymi działaniami.

Najlepszym przykładem jest 15 lat programu walki z ubóstwem i głodem w Afryce. Doroczne kongresy w Ad-Dausze, oprócz pięknych bankietów, gestów i słów o cierpieniu, nie były w stanie wypracować porozumienia co do obniżki ceł na afrykańskie produkty tam, gdzie kolidowało to z interesami europejskich firm. Unia podkreśla swoją aktywność i troskę o pokój na Ziemi, ale oprócz felernych negocjacji z Iranem w sprawie broni nuklearnej wszystko to są puste słowa. Ostatnio Federica Mogherini, wysoka przedstawiciel Unii ds. zagranicznych i polityki bezpieczeństwa, wydała komunikat o mobilizacji państw Unii przeciwko koreańskiej bombie nuklearnej. Na koniec musiała dodać, że chodzi o moralną mobilizację. Innej broni Unia nie posiada. Pani Mogherini ma zaledwie dwóch przedstawicieli do spraw kryzysów w Azji. Żaden z nich w tym czasie nie przebywał ani w Chinach, ani w Korei, obaj zajmowali się położeniem mniejszości islamskiej w Mjanmie. Biuro do spraw kryzysowych w Afryce liczy 17 osób, na Bliskim Wschodzie – trzy osoby. Tymczasem gabinet pani Mogherini w Brukseli to 34 osoby merytoryczne plus pracownicy wspomagający, wszyscy zajmują się słaniem dokumentów i petycji. Jeżeli Europa chce aktywnie bronić się przed zagrożeniami, to będzie szybko musiała to zmienić.

Ochrona południowych granic Unii jest nie tylko w interesie Włoch, Grecji, Hiszpanii, lecz także wszystkich zwolenników Schengen. Nie mamy co marzyć o dalszej integracji bez porzucenia naiwnie dobrotliwej troski o wszystkich migrujących nieszczęśników. To samo musi dotyczyć polityki wschodniej i relacji z Rosją. Nie ma możliwości okiełznania Putinowskiej agresji przy jednoczesnym flirtowaniu z Gazpromem. Do tego potrzebujemy twardej, spójnej polityki, i to zaraz.

Migracja zdaje się być dobrym przykładem ucierania się unijnego stanowiska. Po dwóch latach słownych przepychanek, oskarżania Polski i Węgier o egoizm, rasizm, Europa nie tylko porzuciła swoje plany relokacji imigrantów, lecz także wręcz podejmuje działania przesiedlania ich z powrotem do afrykańskich i azjatyckich krajów. Wszystko oczywiście przebiega w bólach. Komisja Europejska znów skarży Polskę o odmowę przyjmowania imigrantów, ale sama przyznaje, że program relokacji był idiotycznym pomysłem. Objawem pragmatycznego myślenia jest nie tylko układanie się z Turcją, budowanie planów relokacji w głąb Afryki libijskich obozów i niewolniczych targów imigrantami, lecz także nawet pakty z afrykańskimi gangami. Przesyłanie pieniędzy, za które bandyckie organizacje pilnują wybrzeży, żeby ludzie nie przedzierali się do Europy. To jest pragmatyzm Europy w stylu, jaki znamy z XIX w. Wszystko to oczywiście będzie dalej obudowane liberalną troską, oskarżeniami Polski o rasizm, ale rzeczywistość wyraźnie zdąża już w innym kierunku.

Większy pragmatyzm w polityce zagranicznej będzie również oznaczał więcej różnic w bilateralnych stosunkach. Niedawne wystąpienie niemieckiego ministra spraw zagranicznych Sigmara Gabriela o budowaniu międzynarodowej polityki w oderwaniu od Stanów Zjednoczonych może być początkiem rozjeżdżania się polityk państw Unii. „W transatlantyckich stosunkach z USA Europa musi teraz dbać o własne interesy" – Gabriel używa tu skrótu myślowego, mówiąc o polityce europejskiej, w rzeczywistości musi się liczyć z tym, że nie wszystkie państwa mu przyklasną i zdecydują się na zmianę frontu.

Niemcy i Francja chcą potępienia USA za pomysł otwarcia ambasady w Jerozolimie. Czy Polska, mając doskonałe relacje z Waszyngtonem i Izraelem, wesprze w tym względzie Unię, czy pójdzie śladem Ameryki? Podobnie rzecz będzie wyglądała w relacjach z Wielką Brytanią po brexicie, a za chwilę w relacjach z Chinami. Należy się spodziewać powrotu do wielopoziomowej dyplomacji, wypadkowej rozmaitych, często sprzecznych ze sobą interesów poszczególnych państw europejskich. Kolejna przestrzeń, gdzie przez ostatnie lata Polska byłą całkowicie bierna, zdając się na Niemcy, Wielką Brytanię i Francję. Czy jesteśmy gotowi do gry na wielkich salonach? Zdaje się, że na razie głównie się na nie boczymy.

GOSPODARKA

Miękkim podbrzuszem europejskiej gospodarki pozostaje euro. Wspólna waluta, która według słów kanclerza Kohla i prezydenta Mitterranda miała być smarem integracji unijnej, stała się zarzewiem napięć i podziałów nie tylko wewnątrz Europy, lecz także całego zachodniego świata. Nadwyżka handlowa Niemiec ze Stanami Zjednoczonymi, wywołana niedowartościowanym euro, jest jednym

FOT. FOTOLIA

eprasa.pl d5eabde7d4

z powodów, dla których prezydent Donald Trump rozważa przebudowę systemu celnego. W biedniejszych państwach Południa, a także we Francji, euro stało się kulą u nogi rozwoju gospodarczego i wychodzenia z deficytu.

Rozliczne pomysły przesunięcia akcentów europejskiej gospodarki i podzielenia się deficytem w praktyce oznaczałyby, że Niemcy będą musiały finansować słabsze państwa. Na to w obecnej sytuacji politycznej raczej zgody nie będzie. Rozmowy o wspólnym ministrze finansów i wspólnym budżecie będą ciągnęły się długo i skończą się raczej nic nieznaczącym kompromisem. W całym tym procesie powracać będzie problem samego euro, które jest kluczem do niemieckiego panowania nad europejską gospodarką, a przez to i polityką. Nie dlatego, że Niemcy będą coraz silniejsze, ale dlatego, że Francja, Włochy i Hiszpania będą coraz słabsze.

Jeżeli Europa faktycznie ma się integrować, a nie rozpaść się z hukiem przy kolejnym kryzysie, euro będzie musiało być zreformowane, o ile nie całkowicie wygaszone. Dzisiaj ciężko jest wskazać na alternatywne rozwiązania monetarne. Mało prawdopodobny wydaje się też scenariusz powrotu do dawnych narodowych walut, ale już system wiążący wartość lokalnego euro z wyceną narodowych obligacji może okazać się ciekawym rozwiązaniem w dobie elektronicznego pieniądza. Wbrew pozorom bardziej prawdopodobnym niż wpuszczone w ślepą uliczkę rozmowy o wspólnym ministerstwie finansów czy wspólnym systemie podatkowym.

Jeżeli Europa faktycznie ma się integrować, to euro będzie musiało być zreformowane, o ile nie całkowicie wygaszone

SOCJAL

Wyzwaniem dla Unii pozostanie rozbudowany i kosztowny system socjalny. Europa dziś rozwija się w rekordowym tempie. Kryzys jest za nami, ale nawet obecny wzrost gospodarczy nie jest w stanie nadążyć za gwałtownie rosnącymi kosztami państw socjalnych. Rozbudowane oczekiwania i wyśrubowany styl życia czeka znacząca korekta. Francja, Holandia, Hiszpania już podjęły ambitne działania w celu obniżenia kosztów pracy, świadczeń emerytalnych. Proces nie będzie przebiegał równomiernie, ale należy przyjąć, że Europa za 10 lat będzie bardziej przypominała obecne Stany Zjednoczone niż dzisiejszą Francję.

Coś, co może być zbawienne dla gospodarki Unii, dla samej Polski może rodzić mnóstwo problemów. Poszczególne rządy będą starały się rekompensować swoim obywatelom cięcia świadczeń socjalnych poprawą sytuacji na rynku i ograniczaniem konkurencji. Tam, gdzie mogą, małymi i większymi regulacjami będą blokować firmy i produkty z państw Europy Środkowej. Będą ograniczać konkurencję polskich pracowników, co już robi Emmanuel Macron, podejmując krucjatę przeciwko pracownikom delegowanym.

Musimy przyjąć, że protekcjonizm na dobre zagości na europejskich rynkach. Najlepiej widać to po wskaźniku Product Market Regulation (PMR) Indicator mierzącym bariery handlowe w różnych branżach. PMR od dwóch lat niezmiennie rośnie, otwierając szerokie pole do bilateralnych negocjacji handlowych. Wymyślne bariery wprowadzane pod pozorem ochrony środowiska, praw zwierząt czy regionalnych zwyczajów dla Komisji Unijnej są często nie do uchwycenia. Polska potrzebować będzie tu nie tylko doskonałych negocjatorów, lecz także firm prawniczych sprawnie poruszających się po europejskich państwach. To zupełnie nowa przestrzeń, w jakiej dotychczas rzadko wygrywaliśmy.

GRANICE

Problemem, który dopiero czeka na swoje rozstrzygnięcie, jest przyszły kształt granic. Po II wojnie światowej UE uznała, że granice, nawet jeżeli nie są idealne, często siłą narzucone, to są lepsze niż próba ich weryfikacji. Nie chcąc otwierać puszki Pandory, Unia po prostu udawała, że problem nie istnieje. Liczono, że wraz z postępującą integracją temat zniknie. Dzisiaj wiemy już, że nie zniknie. Problem wraca ze zdwojoną siłą. Katalonia, Szkocja, Irlandia Północna – Europa pełna jest granic, które w każdej chwili mogą zostać otwarte jak niezagojone rany. Za chwilę usłyszymy Węgrów, których kraj swego czasu podzielono między Rumunię, Słowację i Ukrainę. Belgia ze swoimi dwoma narodami-państwami, Polska ze swoimi reparacjami wojennymi, utraconym Lwowem, a Niemcy z Wrocławiem czy ze Szczecinem.

Granice zaczynają odżywać równie szybko co narodowe sentymenty. Wcześniej czy później Bruksela będzie musiała uznać problem za otwarty i usiąść do stołu z tradycjonalistami, żeby wreszcie zdecydować, czym są granice, narody i prawa do suwerennego stanowienia w Europie. Kryzys w Katalonii pokazał całkowite nieprzygotowanie UE do problemu. Nie rozstrzygając, czy rebelia miała rację bytu i moralne prawo, należy powiedzieć, że trzymanie więźniów politycznych w hiszpańskich więzieniach ma jeszcze gorsze konotacje.

Wolnorynkowy Instytut Bruegla w Brukseli opublikował ostatnio niezwykle interesujący raport „Europa po brexicie, czyli nowe Partnerstwo Kontynentalne". Autorzy wyszli z założenia, że nie tylko fundamenty Unii nie przystają do realiów europejskich, ale też sama konstrukcja 28 państw, a teraz 27, jest coraz bardziej sztuczna. Mamy 27 państw w ramach UE, z tego 26 w Unii bankowej, 21 – w Schengen, 21 – w NATO, 19 – w strefie euro. Mamy niezliczone przykłady wyjątków państw poza Schengen, a w NATO – dotyczące rozmaitych produktów i rozmaitych polityk edukacji integracje. I do tego 27 państw, które na co dzień muszą układać się w grupie 48 państw całej Europy. Niektóre połączone są unią gospodarczą, inne bilateralnymi umowami. I wszystkie coraz mniej obowiązują wspólne zasady gry.

Tym, czego naprawdę UE dziś potrzebuje, jest kreatywne myślenie odrzucające wszystko to, co wydawało nam się niedawno aksjomatem – czyli pokojowe współistnienie w ramach jednego systemu praw i unijnej administracji. Jeżeli to ma dalej być pokojowa koegzystencja, to musi być szyta na miarę i musi być odpowiedzią na bieżące potrzeby, a nie ideologiczne marzenia. Musi doceniać interesy wszystkich „plemion".

Nie ma w przyszłej Europie nadziei na wielkie zwycięstwo federalistów z jednym rządem i jedną wizją, ale nie ma też nadziei dla eurosceptyków i Europy silnej jedynie wspólnym rynkiem. Wspólny rynek nie ochroni naszych granic przed rosyjską agresją i nie mniej agresywnymi ludami Afryki czy Azji. Czekają nas lata bolesnej, pełnej tarć koegzystencji. Przygotujmy się na nową wojnę trzydziestoletnią, jeżeli znowu nie chcemy czekać 200 lat na swoją szansę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

Złoty i jego historia

Robert Wojnarowski

Gdyby nie uchylenie dekretu Józefa Piłsudskiego, dziś za benzynę, komputery i wszystko inne płacilibyśmy w „lechach". Złoty jednak przetrwał, również trudny czas dla polskiego państwa, kiedy to nasze ziemie były rozkradane przez sąsiadów

eprasa.pl d5eabde7d4

FOT. K. SŁOWKA/NBP

Polski złoty przeszedł bardzo długą drogę – od niestarannie wybijanych, „oszukanych" monet po banknoty z najnowocześniejszymi zabezpieczeniami. Los polskiej waluty nierozerwalnie łączył się z burzliwą historią Polski. Podobnie jak kraj, który w pewnych okresach znikał z mapy, z obiegu znikał i wracał złoty.

Nim wybito pierwsze monety określane jako złoty, waluta ta była w pewnym sensie jednostką wirtualną. Po raz pierwszy nazwa „złoty" pojawiła się oficjalnie w statutach piotrkowskich z 1496 r. Jej wartość ustalono na 30 groszy. Jednostkę obrachunkową pod nazwą „złoty" wprowadzono w czasach wielkich odkryć geograficznych. Część państw europejskich potrzebowała nowych statków, które miały dobijać m.in. do brzegów Ameryki, a materiały do ich budowy zamawiano również od kwitnącej w tym czasie gospodarczo Rzeczypospolitej. Jednostka obrachunkowa ułatwiała większe transakcje.

NARODZINY ZŁOTEGO

„Cenę daje ocalenie kraju i to lepsze jest od kruszcu" – brzmiał napis na pierwszych monetach uznawanych za polskiego złotego. To dlatego, że zawierały w sobie srebro o wartości około 13 groszy, a wartość pojedynczej monety ustanowiono na 30 srebrnych groszy. Kiedy w 1663 r. wybijano pierwszą taką monetę, na polskim tronie zasiadał Jan II Kazimierz Waza, ostatni z Wazów władający Polską.

Pierwsze złotówki nazywano tymfami. Nazwę tę zawdzięczają Andrzejowi Tymfowi, a właściwie Andreasowi Tümpe, niemieckiemu mincerzowi, zarządcy królewskich mennic, który wpadł na pomysł bicia monety o zaniżonej zawartości szlachetnego kruszcu. Wątpliwą wartość tego pieniądza oddano w powiedzeniu „Dobry żart tymfa wart". Monety te bowiem, oprócz zaniżonego udziału srebra, były bite bardzo niedbale, nieczytelnie i w ogromnych ilościach. Biorąc pod uwagę fakt, że kraj dźwigał się po szwedzkim potopie, można zrozumieć taką formę „pożyczki" Rzeczypospolitej od swoich obywateli i niedbałość przy produkcji pieniądza. W wyniku potopu nasz kraj poniósł ogromne straty materialne – szacowane nawet na połowę całego majątku – i demograficzne – wskutek działań wojennych, głodu i chorób.

Andrzej Tymf przy produkcji polskich pieniędzy nie oparł się pokusie nadużyć i fałszerstw. Na swojej działalności – i tej legalnej, ale zwłaszcza nielegalnej – dorobił się ogromnego majątku. Szlachta w końcu oskarżyła go publicznie o nadużycia, a mincerz, któremu Jan II Kazimierz Waza pozwolił stworzyć tymfa, ratował się ucieczką z Polski w 1667 r.

Jan III Sobieski podjął próbę „ucywilizowania" polskiego rynku monetarnego. Oprócz podejrzanych tymfów w Rzeczypospolitej krążyły w obiegu m.in. grosze, talary, boratynki oraz monety zagraniczne. W 1677 r. Sejm zezwolił na uruchomienie mennic i oszacował wartość pieniądza. Do obiegu trafiły m.in. talary, na których król był przedstawiany z wieńcem laurowym na głowie. Reforma jednak się nie powiodła i w 1685 r. z powodu nierentowności zamknięto mennice koronne na ponad 80 lat.

Ostatni król Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Stanisław August Poniatowski, przeprowadził reformę monetarną, po której złoty został jednostką zasadniczą, a z obiegu wycofano inne, obce monety. Wtedy też na monetach po raz pierwszy pojawia się nazwa „złoty" w języku polskim zamiast po łacinie. Aby zahamować inflację, wybijano porządne srebrne talary. Jednak pojawił się problem, który spowodowany był złym ustawieniem kursów. Dobre, polskie monety na masową skalę wywozili z Polski Prusacy, zalewając nasz rynek gorszej jakości pieniądzem. Aby ograniczyć ten problem, udział srebra w polskich monetach został zmniejszony.

Awers i rewers tymfa z lat 1663–1666

FOT. WARSZAWSKIE CENTRUM NUMIZMATYCZNE

To również czas, gdy na masową skalę wprowadzono do obiegu miedziane monety. Pieniądz przestawał mieć wartość materiału, z którego go wykonywano.

POD ZABORAMI

Pierwsze pieniądze papierowe wyemitowano w Polsce podczas powstania kościuszkowskiego, po drugim rozbiorze w 1794 r. Na rynku brakowało pieniędzy,

eprasa.pl d5eabde7d4

Banknot z czasów Księstwa Warszawskiego – bilet kasowy z 1810 r. FOT. WARSZAWSKIE CENTRUM NUMIZMATYCZNE

ale w pogrążonym w wojennej zawierusze kraju, który musiał się zbroić, brakowało kruszcu do bicia monet. Pojawił się więc pomysł wprowadzenia drukowanego pieniądza. Były to bilety skarbowe, które po powstaniu miały być zamieniane na kruszec. Zaborcy, oczywiście, nie uznawali papierowego kościuszkowskiego pieniądza. Jednak, podobnie jak w przypadku każdej prawdziwej waluty, za odmowę przyjęcia biletów skarbowych po ustalonej cenie groziły kary, wymierzane w tym wypadku ze strony polskiego powstańczego państwa. Po upadku powstania bilety przestały być prawnym środkiem płatniczym. Nigdy nie zostały wykupione, tym samym nie zrealizowano obietnicy wymiany ich na kruszec.

W utworzonym w 1807 r. przez Napoleona – formalnie wolnym, ale uzależnionym od cesarstwa francuskiego – Księstwie Warszawskim rozpoczął się nowy etap historii polskiej waluty. W kraju niezbędna była gruntowna reforma monetarna. Pod koniec 1810 r. dekretem księcia warszawskiego, króla saskiego Fryderyka Augusta, wprowadzono tzw. bilety kasowe. Na banknotach emitowanych przez Główną Kasę Wymiany pojawił się herb Księstwa Warszawskiego.

Po utworzeniu w 1815 r. zależnego od Rosji Królestwa Polskiego emitowano pieniądze z herbem tzw. państwa kongresowego – na którym widniał carski, czarny, dwugłowy orzeł z białym polskim orłem na piersi.

W 1828 r. w Królestwie Polskim powołano do życia Bank Polski, co było w zasadzie początkiem polskiej bankowości. Był to pierwszy polski bank państwowy, emitent polskiego złotego. Nie tylko emitował złotego, udzielał pożyczek, lecz także finansował budowę dróg oraz państwowe górnictwo.

Podczas powstania listopadowego, gdy Polacy poczuli ducha wolności i powstał rząd tymczasowy, z pieniędzy zniknął herb państwa „kongresowego", pojawiła się natomiast ukoronowana tarcza herbowa, a na niej polski orzeł oraz litewska Pogoń. Banknoty i monety rządu powstańczego w 1830 r. były jedynym suwerennym pieniądzem polskim w XIX w.

Po upadku niepodległościowego zrywu zaborcy rozpoczęli rusyfikację i likwidację „niezależności" Królestwa Polskiego. Na srebrnych monetach wybijano napisy w języku polskim i rosyjskim. Polski orzeł nie pojawiał się już na piersi czarnego, zastąpiono go podobizną św. Jerzego. Jednak polski orzeł został umieszczony na skrzydłach orła dwugłowego, wśród innych herbów ziem należących do cesarstwa rosyjskiego.

W latach 40. i 50. XIX w. zaczęły obowiązywać ruble i kopiejki. W 1869 r. Bank Polski podporządkowano rosyjskiemu Ministerstwu Skarbu w Petersburgu, a w 1886 r. instytucję postawiono w stan likwidacji, która zakończyła się w 1894 r. Majątek po Banku Polskim przejął Bank Państwowy Rosji. Na kolejne monety z białym orłem trzeba było czekać aż do 1916 r.

Wolne Miasto Kraków, „państewko" składające się z dawnej stolicy Polski i najbliższych terenów, istniejące w latach 1815–1846 na obszarze 1164 km kw. (dzisiejszy Kraków ma niemal 327 km kw. powierzchni), było kontynuatorem tradycji groszy i złotego. W 1835 r. puszczono w obieg srebrne jednozłotówki, a także monety dziesięcio- i pięciogroszowe. Na monetach widniał ukoronowany herb miasta.

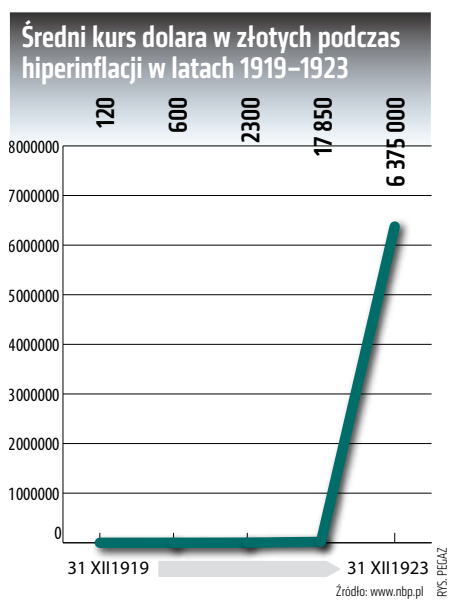

Co ciekawe, to małe państewko, pozbawione prawa do pobierania ceł, nakładające na ludność bardzo niskie podatki, stało się w krótkim czasie jednym z najważniejszych ośrodków handlowych w Europie Środkowo-Wschodniej.

KONIEC POLSKIEJ MARKI

123 lata po odebraniu Rzeczypospolitej niepodległości przez sąsiadów naród doczekał się wolności. W 1918 r. nastała II Rzeczpospolita. Nim do tego doszło, podczas I wojny światowej i zajęciu przez Niemcy większości dawnych polskich ziem do obiegu wprowadzono polskie marki. 9 grudnia 1916 r. generał-gubernator warszawski wydał rozporządzenie o wprowadzeniu do obiegu na terenie okupowanym przez Niemców, w Generalnym Gubernatorstwie Warszawskim, polskiej marki. Pojawił się na niej nawet biały orzeł w koronie. Od czasu powstania listopadowego nie stosowano oficjalnie polskiego herbu.

Jeszcze po 1918 r. używano walut zachodniego zaborcy. Oficjalnym środkiem płatniczym w II RP była marka polska. Polacy nie musieli martwić się o przegródkę na drobniaki, planowano emisję monet, ale ostatecznie do tego nie doszło. Chociaż powstały monety próbne. W 1922 r. wybito monetę próbną z polskim orłem i wizerunkiem marszałka Józefa Piłsudskiego, a rok później z orłem oraz dziewczyną trzymającą na ramieniu snopek zboża. Monety nie weszły jednak do obiegu, a koniec marki był już dość bliski.

Odradzające się państwo borykało się z wieloma problemami. Także finansowymi. Państwowa kasa świeciła pustkami, dochody kraju były bardzo niskie w stosunku do wydatków. To również za

eprasa.pl d5eabde7d4

sprawą bardzo niewydolnej administracji podatkowej. Do tego niemiecka propaganda na Zachodzie sprawiała, że nowe państwo polskie miało ogromne trudności z przyciągnięciem kapitału zagranicznego czy chociażby z zaciągnięciem pożyczki. Państwo wydawało ok. 2,5 razy tyle, ile zarabiało. Polska Krajowa Kasa Pożyczkowa, która zajmowała się emisją pieniędzy, zaczęła więc je drukować bez pokrycia na łatanie deficytu budżetowego kraju.

Nietrudno było przewidzieć, że zakończy się to dużą inflacją, która tylko z początku wpływała na gospodarkę pozytywnie, bo zwiększała eksport. W 1923 r. zaczęła szaleć hiperinflacja. Przez kilka lat życia polskiej marki drukowano banknoty o wielkiej rozbieżności nominałów. Najniższy z nich to pół marki, najwyższy – 10 mln marek polskich. Stopa rocznej inflacji przekraczała 3 tys. proc. 31 grudnia 1919 r. za jednego amerykańskiego dolara trzeba było zapłacić 120 mkp, rok później 600 mkp, 31 grudnia 1921 – 2300 mkp, w kolejnym roku już 17 850 mkp, a w szczycie hiperinflacji jeden dolar kosztował 6 375 000 (kurs z 31 grudnia 1923 r.).

To był początek końca polskiej marki.

LECH W PORTFELU?

Reformy były nieuniknione, musiały być szybkie i drastyczne. Powołano ponadpartyjny rząd, na którego czele stanął Władysław Grabski, który wcześniej próbował okiełznać upadającą polską walutę jako minister skarbu.

Poprawiono ściągalność podatków, ucięto wydatki na administrację, ceny biletów PKP poszły w górę, wprowadzono nowy jednorazowy podatek dla ludzi dysponujących majątkiem o równowartości ok. 3 kg złota. Rozpoczęto interwencyjny skup marek i zaprzestano dodruku pustego pieniądza.

15 kwietnia 1924 r. powołano Bank Polski jako spółkę akcyjną, który miał zajmować się emisją nowych pieniędzy. Był to koniec planowanej od lat i mocno wyczekiwanej reformy. Już w 1919 r. zdecydowano, że Polacy będą nosić w portfelach złotego oraz grosze, choć powrót do nazwy waluty obowiązującej przed rozbiorami wcale nie był taki oczywisty.

Wśród propozycji cieszących się dużym poparciem w 1919 r. były „lech", „piast" czy „pol", a nawet „kościuszko". 5 lutego 1919 r. Naczelnik Państwa Józef Piłsudski podpisał dekret, w którym napisano: „Jednostka monetarna waluty polskiej otrzyma nazwę »Lech« , a setna jej część nazwę »grosz«."

Przeciwko takiemu nazewnictwu wystąpił m.in. Stanisław Karpiński – ówczesny dyrektor Polskiej Krajowej Kasy Pożyczkowej, instytucji zajmującej się emisją pieniędzy. Najważniejszym argumentem za zaproponowaną przez Karpińskiego nazwą waluty był fakt, że nazwa złoty funkcjonowała przed I wojną światową i zaborami. 28 lutego 1919 r. Sejm Ustawodawczy uchylił dekret Marszałka i przesądził, że sto groszy składa się na jeden złoty, a nie jednego „lecha". Teoretycznie przez 23 dni obowiązującą w kraju walutą był „lech", choć nie wybito ani jednej monety i nie wydrukowano ani jednego banknotu pod tą nazwą.

Marki polskie wymieniano po kursie 1 800 000 marek za jeden złoty. Nową walutę zbudowano na solidnych fundamentach. 30 proc. obiegu było zabezpieczone w złocie i walutach obcych. Bank Polski miał kapitał początkowy w wysokości 100 mln zł. Był to ogromny wysiłek młodego państwa, a zwłaszcza obywateli, którzy przeżyli zabory, dwie wojny, w wojennej zawierusze stracili bliskich i majątki, ale kupowali akcje instytucji mające łącznie równowartość ok. 29 ton złota.

W obiegu były monety o nominałach od 1 gr oraz banknoty, z najwyższym nominałem 500 zł. Na każdym z wydawanych na początku 20-lecia międzywojennego banknocie widniał napis: „Podrabianie – usiłowanie podrabiania – puszczanie w obieg – lub usiłowanie puszczenia w obieg podrobionych biletów Banku Polskiego podlega karze ciężkiego więzienia". Aby podrobienie jak najbardziej trudnić, banknoty były zabezpieczone znakami wodnymi.

Ówczesny złoty był mocną walutą, równy wartością frankowi szwajcarskiemu. Jeden złoty był równowartością 9/31 grama czystego złota. Waluta była stosunkowo stabilna, choć w 20-leciu międzywojennym również nie oparła się inflacji. Nie była ona jednak tak duża jak w przypadku marek polskich.

GÓRAL W CIENIU SWASTYKI

Polsce nie było dane długo cieszyć się wolnością. Atak Niemiec na Polskę 1 września 1939 r. wiązał się z wywożeniem przez okupanta wszystkiego, co tylko dało się ukraść, a co stanowiło jakąkolwiek wartość.

Na początku niemieckiej okupacji na terenach Polski funkcjonowały reichsmarki, złoty oraz bony, jednak jeszcze we wrześniu 1939 r. Niemcy utworzyli na terenach Polski instytucje zajmujące się przechwytywaniem marek, które trafiały do banku III Rzeszy.

Aby szybko uporządkować sprawy finansowe na okupowanych terenach i aby ludność nie straciła zaufania do waluty, okupant postanowił zachować nazwę „złoty". Jednak na nowych banknotach miało nie być orła w koronie.

Emisją nowych pieniędzy w okupowanym kraju miał się zająć powołany do życia 15 grudnia 1939 r. Emissionsbank in Polen (Bank Emisyjny w Polsce). Naziści zaproponowali, by szefem tej instytucji został dotychczasowy wiceprezes Banku Polskiego, znany i szanowany w kraju ekonomista Feliks Młynarski. Ten po konsultacji z polskim rządem na uchodźstwie i otrzymaniu zgody od gen. Władysława Sikorskiego propozycję przyjął.

Banknot jednomarkowy z 1916 r.
FOT. WARSZAWSKIE CENTRUM NUMIZMATYCZNE

Postawił jednak Niemcom warunki, by napisy na banknotach były w języku polskim, a instytucja zajmująca się emisją okupacyjnej waluty miała w nazwie „polska". Niemcy o dziwo zgodzili się na to i tym sposobem Bank Emisyjny, obok Polskiego Czerwonego Krzyża, był jedyną instytucją w Generalnym Gubernatorstwie z Polską w nazwie.

Przedwojenne banknoty zostały ostemplowane i w 1940 r. wymienione na okupacyjne. Wprowadzono jednak górne limity wymiany – inne dla Niemców mieszkających w Generalnym Gubernatorstwie, inne dla Polaków i jeszcze inne dla Żydów. „Młynarek" –

eprasa.pl d5eabde7d4

jak od nazwiska Feliksa Młynarskiego mówiło się na okupacyjne banknoty – o najwyższym nominale 500 zł miał na przedniej stronie podobiznę górala, a na tylnej – panoramę Tatr. Jak łatwo się domyślić, banknot ten nazywano góralem.

Właśnie kryptonim „Góral" miała spektakularna akcja żołnierzy AK, którzy – by zdobyć pieniądze na walkę z okupantem – postanowili okraść instytucję całkowicie zależną od Niemiec i finansującą część potrzeb Rzeszy, czyli Bank Emisyjny. Żołnierze podziemia ukradli pieniądze przy udziale pracowników banku, którzy informowali ich o transportach pieniędzy. Spektakularną akcję przeprowadzono 12 sierpnia 1943 r. W biały dzień w centrum Warszawy AK-owcy ukradli ciężarówkę wypchaną pieniędzmi. Zdobycie 106 mln zł dla polskiego podziemia zajęło im kilka minut. Oprócz strat materialnych Niemcy ponieśli też straty wizerunkowe. Zakpiono z nich i ośmieszono. Niemcy nigdy tych pieniędzy nie odzyskali. Co więcej, nie wiedzieli, że za kradzieżą stoi Armia Krajowa. Inaczej ludność cywilną czekałyby represje, a takowych po akcji „Góral" nie było.

Banknot Generalnej Guberni – „Góral" z 1940 r.

FOT. WARSZAWSKIE CENTRUM NUMIZMATYCZNE

INFLACYJNY ROLLERCOASTER

Chociaż podczas II wojny światowej rząd polski na uchodźstwie również emitował swoje złote, to nie weszły one do obiegu w PRL. Po upadku III Rzeszy polskie banknoty zaprojektowali radzieccy graficy, a ich emisją zajęła się najpierw Centralna Kasa Skarbowa, a później Narodowy Bank Polski, który powołano 15 stycznia 1945 r. Do 1950 r. w PRL nie było monet, posługiwano się wyłącznie banknotami o nominałach od 1 do 500 zł.

Rok 1950 i ówczesna „reforma" monetarna to jedna z najciemniejszych kart historii złotego, pokaz przebiegłości i gangsterskiego wręcz podejścia Moskwy do obywateli PRL. Przygotowywano się do niej przez dwa lata. W 1948 r. rozpoczął się druk nowych banknotów, graficznie nawiązujących do tematyki chłopskiej i robotniczej. Zamiast wizerunków polskich bohaterów narodowych – rolnik (10 zł), krakowska kwiaciarka (20 zł), rybak (50 zł), robotnik (100 zł) i górnik (500 zł). Operacja była prowadzona w ścisłej tajemnicy, wiedziała o niej tylko komunistyczna wierchuszka. Nowe banknoty wprowadzono do obiegu w dniu wypłat w państwowych zakładach – 30 października 1950 r., a zaledwie dwa dni wcześniej podjęto dwie ustawy sankcjonujące całe przedsięwzięcie. Kompletnie zaskoczeni ustawami byli nawet posłowie, którzy do ostatniej chwili nie wiedzieli, że będą głosować nad reformą walutową. Prezesi banków przeszli szkolenie na kilka dni przed wprowadzeniem nowych pieniędzy, a urzędy bezpieczeństwa zostały poinformowane o tajemniczych, cennych transportach w dniu głosowania nad ustawami w Sejmie.

Do obiegu wprowadzono banknoty 2, 5, 10, 20, 50, 100 i 500 zł i monety 1, 2, 5, 10, 20, 50 gr oraz 1 zł. Przyjęte w Sejmie ustawy pozwoliły na konfiskatę społeczeństwu dwóch trzecich oszczędności zgromadzonych w gotówce. To dlatego, że wynagrodzenia i ceny przeliczano w stosunku trzy nowe za każde 100 starych złotych, ale gotówkę można było wymieniać w stosunku 1:100. Czas na wymianę oszczędności pokazuje, że Sowietom zależało na szybkim ograbieniu Polaków, bo pieniądze trzeba było wymienić na nowe do 8 listopada.

Jednym z elementów reform było wprowadzenie zakazu handlu złotem i walutami obcymi. Można je było legalnie wymienić, ale za śmiesznie niską cenę w porównaniu z realną wartością. Dla ludności, która podczas wojen i zaborów przyzwyczaiła się do tego, że złoto jest jednym z najlepszych i najpewniejszych sposobów lokaty kapitału, był to prawdziwy cios. Znaczna część Polaków mających złoto lub obce waluty zdecydowała się je zwyczajnie zakopać, bo za samo ich posiadanie groziło 15 lat więzienia, a za handel nawet kara śmierci.

Banknot 1000 zł z okresu PRL z lat 1974–1993

FOT. WARSZAWSKIE CENTRUM NUMIZMATYCZNE

Do czasu reformy przeprowadzonej w epoce Edwarda Gierka złoty nie przechodził dużych zmian, jedynie niektóre banknoty zastąpiono monetami. Do portfeli Polaków w 1966 r. trafił także banknot z Mikołajem Kopernikiem, co mocno wyróżniało go na tle „ludu pracującego" z polskich portfeli. Banknot z Kopernikiem był też najdroższym w produkcji banknotem tamtych czasów i zapowiedzią zmian, które miały nadejść, czyli wymianą socrealistycznych projektów na nowe.

Nastąpiło to stopniowo, w latach 1974–1977. Serię nazwano „Wielcy Polacy". W portfelach ludzie nosili Karola Świerczewskiego (50 zł), Ludwika Waryńskiego (100 zł), Jarosława Dąbrowskiego (200 zł), Tadeusza Kościuszkę (500 zł), Mikołaja Kopernika (1000 zł), Mieszka I i Bolesława Chrobrego na jednym banknocie (2000 zł). Z czasem na środkach płatniczych znalazły się podobizny Józefa Bema (10 zł) i Romualda Traugutta (20 zł), którymi to banknotami zastąpiono monety, a jeszcze później Fryderyka Chopina (5000 zł).

Schyłek PRL to czas hiperinflacji. Stąd decyzja władz o wprowadzeniu kolejnych banknotów o wyższych nominałach. Ludzie odbierali swoje wynagrodzenia w banknotach ze Stanisławem Wyspiańskim (10 000 zł), Marią Skłodowską-Curie (20 000 zł) i Stanisławem Staszicem (50 000 zł), a także w banknocie, który wyróżniał się na tle pozostałych z serii „Wielcy Polacy", bo nie umieszczono na nim żadnej podobizny. Miał nominał 200 000 zł. Były to ostatnie nowe banknoty z napisem Polska Rzeczpospolita Ludowa i orłem pozbawionym korony.

Pod koniec 1989 r. polski złoty był wart coraz mniej. Gdyby nie cenzura,

eprasa.pl d5eabde7d4

w gazetach pewnie znów pojawiłyby się rysunki satyryczne, jak te cieszące się popularnością po I wojnie światowej, na których robotnik mówił: „Otrzymałem pensję miesięczną i nie wiem, co robić. Posiadam pieniędzy zbyt wiele, aby samemu udźwignąć, i zbyt mało, ażeby zapłacić dorożkarzowi za dowiezienie do domu". Polska hiperinflacja pod koniec PRL i na początku transformacji w skali globalnej nie była może wielka i daleko jej do rekordowej węgierskiej hiperinflacji, podczas której ceny rosły prawie o 200 proc. dziennie, ale dała się we znaki Polakom. W rekordowym momencie poziom inflacji wynosił 1395 proc. w skali roku.

Pensje rosły szybko, ale uwolnione ceny również. Do tego doszły puste półki w sklepach i gigantyczne kolejki przed nimi. Ludzie kupowali na zapas, mając świadomość, że ich wypłata odebrana na początku miesiąca, już pod jego koniec będzie znacznie mniej warta. Ogromna dziura budżetowa, dodruk pieniądza bez pokrycia dokończyły dzieła i kilkanaście miesięcy w latach 1986 i 1990 to był prawdziwy inflacyjny rollercoaster. Państwo potrzebowało coraz więcej banknotów, by wypłacać ludziom rosnące w szaleńczym tempie, a relatywnie warte coraz mniej pensje, emerytury i renty. W 1989 r. średnia pensja wynosiła 206 758 zł, a już w 1991 r. było to 1 770 000 zł. Bochenek chleba w 1989 r. kosztował 530 zł, by dwa lata później trzeba było za niego zapłacić 1762 zł.

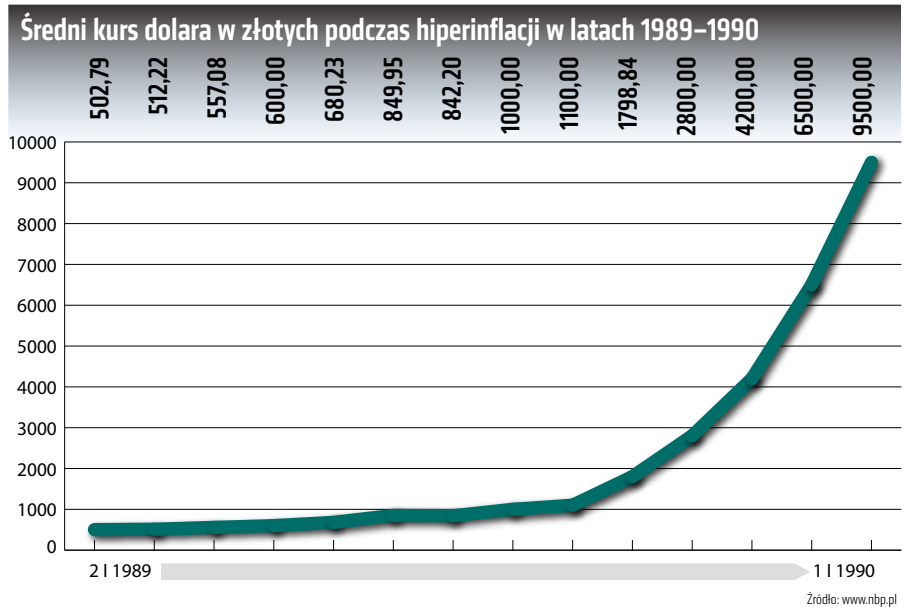

Najnowszy polski banknot – 500 zł z wizerunkiem Jana III Sobieskiego z 2017 r. FOT. NBP

To spowodowało konieczność emisji nowych banknotów o wyższych nominałach. 100 000 zł wart był banknot, na którym widniał Stanisław Moniuszko, przy podobiźnie Henryka Sienkiewicza widniał nominał 500 000 zł, Władysława Reymonta – 1 000 000 zł, a Ignacego Jana Paderewskiego – 2 000 000 zł. Do portfeli Polaków miał też trafić banknot z wizerunkiem marszałka Piłsudskiego z nominałem 5 000 000 zł, ale ze względu na denominację do tego nie doszło.

KONIEC KRAJU MILIONERÓW

Ogromną inflację zatrzymały drastyczne reformy, zwane planem Balcerowicza. Okiełznano ją w dużej mierze dzięki bardzo niskiej indeksacji płac. Podnoszenie płac powyżej indeksacji było surowo karane. Kiedy inflację opanowano, trzeba było jeszcze przeprowadzić denominację złotego. Gdy jedna średnia pensja wynosiła prawie 1,8 mln zł, Polska stała się krajem milionerów. Początek końca tej sytuacji to 1 stycznia 1995 r., gdy do obiegu trafiają banknoty po denominacji.

Aż do końca 1996 r. w obiegu były stare i nowe pieniądze. Na sklepowych półkach podawano więc informację, że coś kosztuje np. jedną nową złotówkę lub 10 tys. starych. Przy starej cenie trzeba było skreślić cztery zera, by obliczyć cenę w nowych złotych.

Na nowych banknotach, których używamy w Polsce do dziś, „wielkich Polaków" zastąpili wyłącznie władcy Polski: Mieszko I (10 zł), Bolesław Chrobry (20 zł), Kazimierz Wielki (50 zł), Władysław Jagiełło (100 zł) i Zygmunt I Stary (200 zł). W przegródce na drobne brzęczą monety od 1 gr do 5 zł.

Najnowszy wprowadzony do obiegu w Polsce banknot ma nominał 500 zł i widnieje na nim podobizna Jana III Sobieskiego. Jak czytamy na stronie Narodowego Banku Polskiego: „Banknot 500 zł jest zapewnieniem niezakłóconego obiegu gotówki, zmniejszeniem kosztów emisji znaków pieniężnych, jak również odpowiedzią na większe zapotrzebowanie na banknoty o wysokich nominałach". Jego udział w rynku w pierwszych latach ma być niewielki i będzie zależał od zapotrzebowania zgłaszanego przez banki.

Banknot 500-złotowy ma najnowocześniejsze zabezpieczenia na świecie (podobnie jak pozostałe polskie banknoty, bo zabezpieczenia są modyfikowane najnowszymi dostępnymi metodami). Ponieważ duża część Polaków pewnie jeszcze nie miała okazji się z nim zetknąć, na stronach internetowych Narodowego Banku Polskiego znajdziemy krótkie szkolenie, jak rozróżnić oryginał od fałszywki.

Wiele wskazuje na to, że jeszcze długo w naszych portfelach będziemy nosić złotego. Wstępując do Unii Europejskiej, zobowiązaliśmy się do przyjęcia wspólnotowej waluty euro, ale nie określono czasu, do kiedy Polska ma to zrobić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt realizowany we współpracy z Narodowym Bankiem Polskim w ramach programu edukacji ekonomicznej.

eprasa.pl d5eabde7d4

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Z deszczu pod państwowe

Czy rząd PiS zdecydowałby się na zlikwidowanie całej branży futrzarskiej w Polsce, czyli na zamknięcie ponad tysiąca firm, dzięki którym pracę ma ponad 50 tys. ludzi, gdyby były one państwowe? Wątpię. W takim przypadku słabość do tego, co państwowe, pewnie wzięłaby jednak górę nad słabością do zwierząt. Tak jak w przypadku kopalń, głównie państwowych, które mogą w Polsce bezkarnie i bez przeszkód skracać życie nie tylko wszystkim zwierzętom, w tym futerkowym, lecz także ludziom, sprzedając fatalnej jakości węgiel, który w dużej mierze przyczynia się do powstawania smogu.

A potem chorzy – w tym ci dotknięci smogiem – trafiają do kolejek do wkrótce już zapewne niemal wyłącznie państwowych, i coraz częściej niedostępnych, szpitali. Prywatne bowiem, jeśli nie liczyć wyjątków, nie zostały zakwalifikowane do niedawno stworzonej sieci szpitali, które mogą leczyć pacjentów za ich własne pieniądze – z tym że transferowane za pośrednictwem państwowego NFZ. Ba, niedawno upaństwowiono też niemal całe ratownictwo medyczne, oddając je placówkom państwowym.

Upaństwawianie postępuje jednak nie tylko w służbie zdrowia. I nie tylko w dziedzinach kojarzonych z repolonizacją gospodarki, gdzie często potrzebne są gigantyczne pieniądze, o które trudno na rynku polskiego kapitału prywatnego – tak jak w przypadku przejęcia przez państwowego ubezpieczyciela PZU kontroli nad do niedawna prywatnym (i we włoskich rękach) gigantem Pekao SA, a nieco wcześniej nad znacznie odeń mniejszym Aliorem. I także nie tylko w sektorze zbrojeniowym, gdzie jeszcze być może da się to jakoś tłumaczyć – państwowy Polski Fundusz Rozwoju właśnie obejmuje jedną czwartą akcji prywatnej WB Electronics.

Upaństwawianie postępuje bowiem też wśród innego typu firm, całkowicie „cywilnych". Dość wspomnieć niedawne przejęcie przez państwo kontroli nad stojącym na skraju bankructwa Autosanem czy obecny zamiar zakupu przez Państwowy Holding Nieruchomości jednej z największych polskich prywatnych firm budowlanych – Doraco. A to zapewne nie koniec, jeśli serio traktować słowa exposé premiera Morawieckiego: „Państwo wraca do gry na poważnie. Do przedsiębiorczych przedsiębiorców dołącza teraz przedsiębiorcze państwo". A przecież nie ma powodu, by ich serio nie traktować.

Dobrze, że rząd stara się zmniejszyć narosłe przez ćwierć wieku nadmierne uzależnienie naszej gospodarki od kapitału zagranicznego. Niedobrze jednak, że stara się zastępować tamten kapitał zagraniczny kapitałem polskim, tyle że państwowym, a nie polskim kapitałem prywatnym. Jeszcze gorzej, że zastępuje też polski kapitał prywatny państwowym. W dłuższej perspektywie może to bowiem oznaczać, że uwalniając się od jednego kłopotu, pakujemy się w inny. Czyli, parafrazując stare powiedzenie, że trafiamy z deszczu pod państwowe. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

A gdyby nie było emerytur

Przez tysiące lat ludzkość obywała się bez emerytur – do XIX w., kiedy Bismarck wymyślił sprytny mechanizm finansowania wydatków publicznych. Idea była prosta: zbieramy składki na emerytury (czyli podatki), z których wypłacamy świadczenia po przekroczeniu wieku emerytalnego. Haczyk polegał na tym, że ludzie żyli krótko, więc zbierano dużo podatków, a wypłacano mało emerytur. W efekcie rząd miał dużo pieniędzy na coraz liczniejsze wydatki. Minęło ponad sto lat, ludzie żyją bardzo długo i sytuacja się odwróciła. Zbieramy mało pieniędzy, a wypłacać musimy dużo. Systemy emerytalne większości krajów są więc de facto długookresowymi bankrutami. Można to sprawdzić, patrząc na prognozy długu publicznego krajów UE, które uwzględniają zobowiązania emerytalne. Ten dług często przekracza 400 i 500 proc. PKB. Są dwa rozwiązania problemu: obniżenie emerytur lub podniesienie podatków (składek emerytalnych).

Gdy w kasie państwa nie będzie pieniędzy, nie da się honorować praw nabytych

W tym felietonie rozważam skrajny wariant, czyli całkowitą likwidację emerytur. Wiem, wiem, są prawa nabyte. Jednak jeżeli w kasie państwa nie będzie pieniędzy, to nie da się honorować praw nabytych, co zresztą w pewnym stopniu udowodnił Polakom minister Sami Wiecie Który poprzedniego rządu, który pozbawił Polaków połowy oszczędności zebranych w OFE.

Zatem załóżmy, że od roku X corocznie obniża się emerytury o 10 proc. (5 proc.), aż po 10 (20) latach następuje całkowita ich likwidacja. Oczywiście na razie to utopia, bo partia, która to zaproponuje, nigdy nie wygra wyborów. Jednak za dwie, trzy dekady nie będzie wyjścia, bo zabraknie pieniędzy. Jakie byłyby efekty takiego rozwiązania? Ponieważ wydatki będą maleć, będzie można obniżać podatki, co pozytywnie wpłynie na aktywność gospodarczą i zatrudnienie. Ludzie będą świadomi, że emerytury wkrótce przestaną istnieć, więc zaczną więcej oszczędzać. Wzrosną oszczędności krajowe, co będzie wspierało inwestycje. Z drugiej strony obniży się konsumpcja. Z powodu słabego rozwoju krajowego popytu firmy będą musiały skupić się na eksporcie. W krótkim okresie taka zmiana może wpłynąć negatywnie na PKB, ale długookresowo kraj stanie się bardziej konkurencyjny. Być może wzrośnie dzietność, bo ludzie zrozumieją, że na starość mogą liczyć tylko na oszczędności i na dzieci.

Mam 50 lat i zapewne dożyję emerytury, ale obecne pokolenie 40-latków i młodszych na pewno stanie przed opisywanym dylematem. Jest jednak nadzieja: być może na nasze emerytury zapracują roboty. ©℗

Autor jest rektorem Narxoz University w Ałma Acie w Kazachstanie.

eprasa.pl d5eabde7d4

TEST „DO RZECZY": PROJEKTOR EPSON EH-TW9300W

To gadżet dla zamożnych miłośników kina, których stać na zakup projektora w cenie używanego auta. Trzeba jednak przyznać, że biorąc pod uwagę stosunek ceny do jakości, tak wysoka kwota wydaje się uzasadniona.

Projektor Epsona oferuje urzekającą jakość obrazu ze standardową dynamiką kolorystyczną (SDR) i zaskakująco dobrą jakość z wysoką dynamiką (HDR).

Model EH-TW9300W odtwarza filmy i programy w imponującej jakości. Wprawdzie nie jest to natywne 4K, ale obraz jest rzeczywiście wyjątkowo ostry i lepszy niż w przypadku typowych projektorów HD. Kolory są żywe, barwy prawidłowo odwzorowane, a czernie głębokie. Współczynnik kontrastu wynosi aż 1 000 000:1, a natężenie światła wynosi do 2500 lumenów, co pozwala na wyświetlanie filmów nawet w tych pomieszczeniach, które nie są do końca zaciemnione. Projektor pozwala też na oglądanie filmów w trójwymiarze (specjalne okulary trzeba jednak kupić osobno).

Przekątna ekranu może mieć od 50 do aż 300 cali.

Bardzo fajnym rozwiązaniem jest też możliwość bezprzewodowego przesyłu obrazu, co pozwala na stworzenie systemu kina domowego bez konieczności rozkładania po salonie wielu kabli. Zasięg pracy transmitera – do

którego można podpiąć np. pendrive'a – wynosi niemal 10 m, co ułatwia urządzenie domowej sali kinowej. Treści do projektora można też przesyłać za pośrednictwem smartfona.

Projektor rozgrzewa się w pełni w ciągu półtorej minuty. Według Epsona żywotność lampy wynosi 5 tys. godzin, co oznacza, że za pomocą tego modelu można oglądać jeden film codziennie przez siedem lat.

Ważący 11 kg projektor jest stosunkowo duży. Jego wymiary to 52 x 45 x 17 cm. Można go postawić lub podwiesić pod sufitem. Wentylatory nie są najcichsze, ale nie przeszkadzają w oglądaniu filmów (pod warunkiem, że sam projektor nie znajduje się w odległości mniejszej niż metr od oglądających).

Minimalne smużenie sprawia, że ten model Epsona nadaje się nie tylko do odtwarzania filmów, lecz także nawet do gier czy oglądania rozgrywek sportowych. Ogólnie jest to więc jeden z najlepszych projektorów w tym segmencie cenowym.

Cena: 15 190 zł. ©℗

Jacek Przybylski

BOKS Z TATĄ

Znacie lepszego pierwszego trenera sportu niż własny tata? Pierwsze kopnięcie piłki, pierwsze zapasy, pierwszy rzut przez ramię, a do tego gimnastyka sportowa i „fruwanie" pod sufitem. To wszak niezapomniane wspomnienia z dzieciństwa. Teraz będziecie mogli też uprawiać boks z „Tatą". Taką nazwę nosi bowiem skonstruowane w Chinach interaktywne urządzenie do nauki boksu. Tata-Punch to niewielkich rozmiarów przenośna mata do zawieszenia na worku bokserskim. Dzięki systemowi podświetlanych czujników urządzenie jest w stanie analizować każdy cios i wskazywać poprawne uderzenie, ucząc tym samym zasadniczych technik walki. Wszystko dzięki współpracy z mobilną aplikacją uwzględniającą i analizującą uderzenia w zależności od wybranego trybu sportowego. Notabene aplikacja pozwala też znaleźć partnerów do boksowania i wymieniać z nimi zdjęcia z treningów. Ponadto Tata-Punch śledzi i zapewnia analizę statystyk, w tym moc uderzeń, szybkość, czas reakcji oraz liczbę spalonych kalorii. Dane są przedstawione na wykresie ułatwiającym wizualizację i śledzenie postępów. Cena urządzenia to ok. 600 zł.

INTELIGENTNE ŚWIATŁA ROWEROWE

Mgła rano. Mgła wieczorem. Szadź. Mżawka. Słońce skryte za deszczowymi chmurami. Tak mniej więcej wygląda jesień tej zimy w Polsce i – gwoli ścisłości – od kilku lat przez większość dni pory zimowej. A to oznacza, że zagrożenie wypadkiem na drodze znacznie wzrasta, szczególnie wśród użytkowników jednośladów, którzy wciąż zbyt często nie potrafią zadbać o dobre oświetlenie. Rowerzystom z pewnością przyda się więc gadżet o nazwie Rayo – jak twierdzi producent – najjaśniejsze obecnie na rynku tylne światełka rowerowe. Mają kilka zalet. Na przykład rzeczywiście wyposażone są w ultrajasne diody LED, zestawione w układy optyczne, detekcję ruchu i funkcję łączności Bluetooth. Połączenie trzech diod LED i dwóch soczewek TIR o różnych parametrach poprawia widoczność zarówno z tyłu, jak i z boku. W dodatku detektor ruchu wykryje każde zmniejszenie szybkości i automatycznie uruchomi Rayo tak, by ostrzec pojazdy jadące za rowerzystą. Warto też zauważyć, że użytkownik może samodzielnie konfigurować wzory oświetlenia i tworzyć indywidualne „opcje sygnalizacji". Jest też możliwość ustawienia wspólnych, identycznych świateł dla rowerzystów jadących w grupie. Rayo posiada także funkcję ostrzegania o kradzieży, która powiadamia użytkownika za pośrednictwem aplikacji mobilnej o wykryciu nieznanego ruchu roweru. Ładowanie odbywa się za pomocą portu USB. Konstruktorzy urządzenia przekonują, że to jedne z najbardziej inteligentnych świateł rowerowych, i można odnieść wrażenie, iż z pewnością są bardziej inteligentne niż niejeden rowerowy szaleniec (często grasują w parach) uważający, że chodniki są dla rowerów, a nie dla pieszych. Pytanie, czy są warte ok. 150 zł, które trzeba wydać na Kickstarterze, by otrzymać je najwcześniej w kwietniu. ©℗

Wojciech Wybranowski

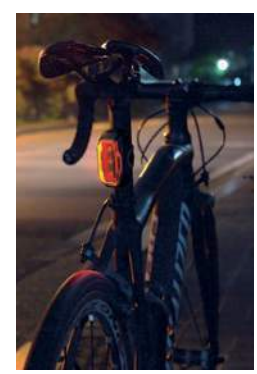

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d5eabde7d4

Uciec przed colitis

Katarzyna Pinkosz

Ze zdjęcia na facebookowej stronie uśmiecha się ładna kobieta wtulona w aparat fotograficzny. Trzyma go trochę tak, jakby chciała schować się przed światem

FOT. ALEKSANDRA DAMEK

Aleksandra Damek swoje życie dzieli na dwie części. Druga zaczęła się 16 lat temu, podczas letnich kolonii. Nastąpił pierwszy ostry rzut choroby: bóle brzucha, biegunki – nawet do 40 wypróżnień dziennie. Praktycznie całe dnie spędzała w toalecie: trochę stolca, reszta to woda i krew. Czas między wizytami w toalecie przesypiała. Wychowawczyni uważała, że to fanaberie 14-latki, i nawet nie zawiadomiła rodziców. Dopiero po powrocie Oli z kolonii rodzice zaniepokojeni tym, że schudła 12 kg, poszli z nią do lekarza. Pani doktor od razu skierowała ją do szpitala z podejrzeniem colitis ulcerosa.

ZMAGANIE Z CHOROBĄ

Colitis ulcerosa po łacinie brzmi ładniej niż wrzodziejące zapalenie jelita grubego (WZJG), choć polska nazwa bardzo dobrze oddaje istotę choroby. Obok choroby Leśniowskiego-Crohna WZJG jest jednym z tzw. nieswoistych zapaleń jelit. To choroby wynikające z zaburzeń odpowiedzi immunologicznej, podczas której w przewodzie pokarmowym toczy się nieustanny proces zapalny. Utrudnione są procesy trawienia i wchłaniania, pojawiają się krwiste biegunki, bóle brzucha, osłabienie, stany podgorączkowe, chudnięcie. Choroba przebiega przewlekle, daje o sobie znać ostrymi rzutami, kiedy można mieć kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt wypróżnień dziennie, często z obecnością krwi. Po nich następują okresy względnej poprawy – aż do kolejnego rzutu.

To źle rozumiane oszczędności

Z dr Małgorzatą Gałązką-Sobotką, dyrektorem Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Uczelnia Łazarskiego opracowała raport dotyczący chorób zapalnych jelit. Jakie były wnioski?

DR MAŁGORZATA GAŁĄZKA-SOBOTKA: W mojej wieloletniej pracy dwa raporty badawcze wywarły na mnie największe wrażenie. Pierwszy dotyczył depresji, drugi nieswoistych zapaleń jelit. Pokazały obraz całkowicie niewydolnego sytemu ochrony zdrowia, który ignoruje wpływ choroby na społeczeństwo i potencjał rozwoju gospodarczego Polski. Decydujemy się na rozwiązania, które nie są nastawione na najważniejszy cel, jakim powinno być zachowanie zdrowia oraz jak najszybsze i skuteczne reagowanie na chorobę, szczególnie gdy dotyczy ona osób młodych. Marnujemy ich potencjał, rezygnujemy z kapitału ich zdolności i produktywności.

Nieswoiste zapalenia jelit w 70 proc. dotykają osób poniżej 35. roku życia. Medycyna pozwala reagować już przy pierwszych objawach choroby, doprowadzić do remisji i pozwolić pacjentowi w miarę normalnie żyć, pracować, założyć rodzinę. Niestety, polski system zdaje się świadomie odrzucać zdobycze medycyny. W raporcie obliczyliśmy, że koszty związane z tym, iż chorzy na nieswoiste zapalenia jelit nie pracują lub znacząco ograniczają swoją aktywność zawodową, wynoszą rocznie ponad 56 mln zł. Tyle wypłaca im ZUS. Tyle tracimy przez to, że nie diagnozujemy i nie leczymy choroby tak, by następstwa były jak najmniejsze.

Z naszych badań wynika, że nieswoiste choroby zapalne jelit powodują utratę produktywności wynikającą ze zmniejszonej wydajności w pracy o ponad 34 proc. w przypadku chorych na chorobę Leśniowskiego-Crohna, a 23 proc. na WZJG. Skuteczne leczenie mogłoby zmniejszyć koszty pośrednie ponoszone przez społeczeństwo i państwo. To są źle rozumiane oszczędności. Nie stwarzając pacjentom możliwości skoordynowanego i nowoczesnego leczenia, gdy choroba nie jest zaawansowana, powodujemy konieczność interweniowania w stanach ostrych, sięgając po najbar-

eprasa.pl d5eabde7d4

Ponieważ już pierwszy rzut był ostry, Aleksandra od razu dostała leki sterydowe, które miały zmniejszyć stan zapalny. – Zaczęłam po nich puchnąć, miałam huśtawki nastrojów: śmiałam się, a po chwili płakałam i rzucałam książkami po pokoju. Przez ciągłe bóle brzucha, biegunki i osłabienie nie mogłam chodzić do szkoły, w gimnazjum i liceum miałam nauczanie domowe – opowiada.

W gimnazjum mama zapisała ją na kurs tańca – był ucieczką od choroby, braku przyjaciół, lęku przed kolejnym pobytem w szpitalu. Trener szybko zauważył, że ma do tego dryg. Zaproponował profesjonalne treningi. – Gdy tańczyłam, czułam się szczęśliwa. W klubie nikt mi nie dokuczał z racji choroby, choć nieraz musiałam w trakcie treningu biec do łazienki – dodaje.

Wtedy narodziła się też jej druga pasja – fotografia. Uwielbia robić zdjęcia ludzi w tańcu oraz dzieci.

DO LECZENIA BIOLOGICZNEGO

Leczenie sterydami nie przynosiło efektu, podobnie jak dokładane leki immunosupresyjne. Kolejne rzuty były ostre, pojawiły się powikłania: zapalenie stawów, konieczna była operacja przetoki okrężnicy. Choroba postępowała. Aleksandrze udało się dostać na konsultację do prof. Grażyny Rydzewskiej ze Szpitala MSWiA w Warszawie, krajowej konsultant ds. gastrologii, która zajmuje się najtrudniejszymi przypadkami WZJG. Dostała pierwszy lek biologiczny, potem kolejny. Niestety, pomagały na krótko.

Mimo choroby skończyła studia kosmetologiczne. Gorzej było z pracą. – Pracodawcy nie chcą zatrudniać osób, które często są na zwolnieniach – mówi.

Rok temu doszło do kolejnego, silnego rzutu choroby. – To bóle, jakby ktoś uderzył pięścią w brzuch, biegunka: do 40 wypróżnień dziennie. Nie można się na niczym skupić, nie można spać. Co 15–20 minut budziłam się, żeby iść do toalety – opowiada. Rzut był tak trudny do opanowania, że lekarze zastanawiali się nad operacją usunięcia jelita grubego i wyłonienia stomii.

Ostatnią deską ratunku był udział w badaniu klinicznym leku biologicznego o innym mechanizmie działania. – Większość leków biologicznych działa ogólnie, może więc powodować różne objawy uboczne, a także immunizację (czyli obronę organizmu przed lekiem), co powoduje, że przestają działać. Wedolizumab działa tylko w miejscach objętych stanem zapalnym, czyli w jelitach. W dodatku działa długo: wyniki badań pokazują, że po 50 tygodniach leczenia nawet u 63 proc. pacjentów leczonych występuje wygojenie błony śluzowej – podkreśla prof. Grażyna Rydzewska.

Dzięki udziałowi w badaniu klinicznym Aleksandra przyjmuje lek od roku. Od tego czasu nie miała żadnego rzutu choroby. Stara się żyć normalnie, tańczy brazylijską odmianę zouka. W tym roku była zapraszana jako fotograf i tancerka na wiele tanecznych wydarzeń w kraju i za granicą. Organizm jest jednak osłabiony latami walki z chorobą, zdarza się, że musi odwołać uczestnictwo.

Doskonali warsztat fotograficzny i ma pierwsze sukcesy: robiła zdjęcia dla „The Voice of Poland", jej fotografię wybrano też do plakatu reklamującego spektakl o Wandzie Rutkiewicz. Marzy, że gdy podreperuje zdrowie, uda się jej fotografowaniem zarabiać na życie. Pieniądze są ważne, bo renta socjalna, którą ma z powodu niepełnosprawności, nie wystarczyłaby na opłacenie mieszkania, jedzenia, lekarstw i biletów na pociąg z Bielska do Warszawy, do szpitala na podanie leku biologicznego.

Choroba zabrała jej dzieciństwo. – Od 14. roku życia całe miesiące spędzałam w szpitalu. Dzięki niej dojrzałam szybciej niż rówieśnicy, nauczyłam się cenić dzień, w którym nie boli mnie brzuch i nie muszę być w szpitalu – mówi.

Wylicza marzenia: żeby nic nie bolało, żeby nie trzeba było iść do szpitala, żeby nie nastąpił kolejny rzut. Pomagać tym, którzy też chorują. Mieć męża, dziecko, zwykłe, spokojne życie. I pracę, bo daje napęd do życia. Gdy opowiada o tańcu i fotografowaniu, oczy jej błyszczą, a głos staje się mocny.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Zdjęcia Aleksandry Damek można oglądać na stronie FB Alexandra Damek Fotografia i Wizaż.

dziej radykalne leczenie chirurgiczne, które jest bardzo drogie i trwale okalecza pacjenta. Narastają koszty ponoszone przez NFZ, ZUS i całą gospodarkę.

Mam w swoim otoczeniu osoby chore, widzę, jakie skutki przynoszą niewykrycie choroby na czas i brak odpowiedniego leczenia. To lawina cierpienia i rozpaczy.

Dzięki lepszemu leczeniu można by zaoszczędzić pieniądze wydawane potem przez ZUS?

Obliczyliśmy, że koszty wypłat ZUS z tytułu zwolnień lekarskich u tych chorych można by obniżyć średnio o 60 proc. Z 19,4 mln zł wypłacanych rocznie w formie zasiłków chorobowych można zaoszczędzić ponad 10 mln zł, które moglibyśmy przeznaczyć na lepszą diagnostykę, leki, ośrodki leczenia.

Dobre leczenie chorób zapalnych jelit byłoby efektywne?

Tak, młode osoby powinny pracować, zresztą one chcą realizować się zawodowo, pragną normalnego życia mimo choroby. Dzięki skoordynowanemu modelowi kompleksowej opieki nad pacjentami i lepszemu leczeniu ZUS zaoszczędzi, zyska Skarb Państwa w formie płaconych składek podatków, wytwarzanych dóbr i usług – czyli my wszyscy skorzystamy. Sądzę, że będzie bardzo szybko widoczna korelacja między zainwestowaniem większych pieniędzy w opiekę i leczenie a spadkiem wydatków ZUS i produktywnością gospodarki. Taką sytuację już widać w stwardnieniu rozsianym. W ostatnich latach jego leczenie poprawiło się, dzięki czemu spadły środki wydatkowane przez ZUS oraz koszty pośrednie ponoszone przez państwo. To pokazuje, że szczególnie osoby młode, produktywne, powinny być otaczane opieką, która pozwoli maksymalnie ograniczyć skutki choroby od strony aktywności zawodowej. To tak ważne dzisiaj, gdy codziennie dyskutujemy o braku rąk do pracy.

Raport wzbudził odzew ze strony decydentów?

Wysłaliśmy go do wszystkich członków sejmowej i senackiej Komisji Zdrowia. Kilku posłów podjęło interwencję, napisało list do ministra Radziwiłła, że dane zawarte w raporcie są alarmujące i niezbędna jest szybka interwencja. Wierzę, że wszystkich nas łączy troska o jak najbardziej efektywny system ochrony zdrowia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl d5eabde7d4

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Holsten – prawie Olsztyński

Pamiętnik Hieronima Holstena pokazuje potop szwedzki oczyma najeźdźcy, który w 1655 r. najechał Rzeczpospolitą. Bohater miał wówczas ok. 16 lat, co w XVII w. uznawano za wiek męski, pochodził z Holsztynu, był niemieckim szlachcicem, luteraninem, poddanym króla Danii. Po przybyciu do obozu w Wielkopolsce wpadł w złe towarzystwo i wyruszył z kolegami, aby łupić wsie. Bijąc i torturując chłopa, jego towarzysze dowiedzieli się o pobliskim dworze, który obrabowali. Jednak szlachcic i jego słudzy zaczęli ich ścigać. Holsten najpierw o mało nie utonął, przeprawiając się przez pławisko koło młyna, potem stłukli ich chłopi szablami, spisami, kosami i kłonicami. Jeden z nich zdzielił bohatera drągiem, rozbijając mu lewe ramię. Holsten został wybawiony przez nadciągającą kolejną partię rajtarów po to, aby… po powrocie do obozu zawisnąć na szubienicy za rabunki! Nie doszło do tego, bo przybył król Szwecji Karol Gustaw i wojsko gotowało się do wymarszu.

FOT. WIKIPEDIA

Wkrótce znów wyprawił się po łupy. Rozbijał skrzynie w komorze, kiedy za drzwiami zaczaił się wieśniak z siekierą. Na szczęście Holsten miał odbezpieczony karabin – odskoczył do tyłu, wystrzelił, a „chłop wypuścił siekierę i nakrył się nogami". Bohater brał udział w bitwie pod Żarnowem, która skończyła się klęską Polaków, zdobywał zamek Tenczyn, gdzie najeźdźcy wysiekli poddającą się załogę, a mieszkańców obrabowali do bielizny. W Lanckoronie zachorował na ospę, co uratowało mu życie, bowiem gospodyni wywlokła go w pole i „rzuciła na stare legowisko". W tym czasie do miasteczka wpadli Polacy i wybili wszystkich jego towarzyszy.

Prawdopodobnie brał udział w bitwie pod Warszawą w 1656 r., po której został odkomenderowany do Krakowa. Tutaj stracił konia i kupił sobie za 50 talarów polskiego wierzchowca, który był tak ognisty, że Holsten niechcący postrzelił szwedzkiego kwatermistrza, za co czekały go sąd i kara, od których jednak go uwolniono. Jesienią 1656 r. dostał się do niewoli. Od śmierci ocaliło go to, że miał przy sobie sakiewkę pełną dukatów, bowiem polski towarzysz, który go schwytał, spytał, „czy mam pieniądze albo mnie zastrzeli".

Holsten został uwięziony na zamku w Wiśniczu razem z kilkoma innymi żołnierzami. Niewolę umilał im jednak fakt, iż miał 20 dukatów zaszytych w pludrach, za które kupowali tytoń, piwo i gorzałkę. Pilnujący zaś „Szwedów" hajducy zarabiali, pokazując uwięzionych okolicznym mieszczanom i chłopom jak zwierzęta. Jeśli zaś przychodzili tacy, u których – jak pisze Holsten: „niektórzy z nas bywali aż nazbyt często […] w domach", to jeńcy wykrzywiali gęby, zmieniali mowę albo naklejali plaster na oczy, by ich nie poznano.

Wkrótce Holsten zgodził się przyjąć służbę w armii polskiej, złożył także przysięgę. Od tej pory aż do 1663 r. służył w rajtarii Jana Kazimierza, biorąc udział w wyprawie przeciwko Rakoczemu, w bitwach pod Cudnowem i Słobodyszczem w 1660 r., w zwadach, pojedynkach, na których opisanie nie wystarczy miejsca. Pojedynkował się konno ze szlachcicem polskim z Wielkopolski i ukrywał w klasztorze. W Lublinie zamiast w karczmie stanął w zamtuzie, gdzie udawał kolkę, aby nie dać się zwieść zwodnicom. Te zaś „były jednak bardzo biegłe w medycynie i dały mi wkrótce ciepłe, odurzające pocałunki. Same chciały mi je delikatnie ciepło kłaść na brzuch, po czym choroba miała błyskawicznie ustąpić".

W Polsce Holsten przeżył wielką miłość – do Zofii Katarzyny Gaszyńskiej, którą miłował i wspominał do końca życia. Dopiero kiedy w 1663 r. zlikwidowano jego oddział, wrócił, by objąć spadek po rodzicach, jednak do końca pozostał w wojsku. Był gawędziarzem, jak podaje Tadeusz Wasilewski – drugim Janem Chryzostomem Paskiem, tyle że służącym w cudzoziemskim autoramencie. I przy okazji typowym człowiekiem epoki, to znaczy wolnym rajtarem pełnym wisielczego humoru, rabusiem szczycącym się jednocześnie niezwykłym poczuciem honoru. Kiedy wstępował do wojska polskiego i złożył przysięgę, został puszczony wolno, mógł więc uciec. Jednak wrócił, wierny słowu, wystawiając poczet, z którym wojował przez następne sześć lat. Jego pamiętnik pokazuje też ogromną łatwość, z jaką kultura polska przyciągała cudzoziemców. Wszak gdyby nie choroba i śmierć Zosieńki, byłby ożenił się i został w Rzeczypospolitej, pewnie z Holstena stając się… Olsztyńskim. ©℗

eprasa.pl d5eabde7d4

TORT Z DZIECIŃSTWA KRZYSZTOFA ZIEMCA

Na specjalne okazje, np. na Nowy Rok czy czyjeś okrągłe urodziny, w moim rodzinnym domu przygotowywany był wyjątkowy tort kawowy, którego smak i zapach doskonale pamiętam do dziś. Pamiętam, jak mój tata mełł ziarna kawy (wszystko pod nadzorem babci, która – jak sądzę – przepis przywiozła jeszcze z kresów), a później w makutrze wyrabiał tortową masę. Nie pamiętam dokładnie, co było w tej masie, bo byłem za młody, by interesować się przepisami (a szkoda!), ale wychodziła doskonała – ani zbyt słodka, ani zbyt wytrawna.

Dokładnego przepisu z domu rodzinnego Krzysztofa Ziemca nie uda się odtworzyć, ale tort z przepisu poniżej powinien spełnić oczekiwania nie tylko miłośników kawy.

Składniki:

Biszkopt:
- 6 kurzych jaj
- 1 szklanka cukru
- 1 szklanka mąki pszennej
- 3 łyżki mąki ziemniaczanej

Krem:
- 400 ml słodkiej śmietany 36-procentowej
- 200 ml mascarpone
- 1 łyżka mielonej kawy ziarnistej
- trzy łyżki cukru

Przygotowanie:

Biszkopt:

Oddzielamy żółtka od białek, białka ubijamy na dość sztywną pianę, dodajemy powoli cukier i ubijamy dalej, aż cukier się rozpuści. Dodajemy żółtka, miksujemy na wolnych obrotach, dodajemy wymieszaną wcześniej mąkę pszenną i ziemniaczaną, mieszamy lub wolno miksujemy. Wylewamy na tortownicę wyłożoną papierem do pieczenia i pieczemy ok. 40 min w 160 st. C.

Krem:

Ubijamy śmietanę na sztywno, dodajemy cukier, mascarpone i delikatnie miksujemy. Zaparzamy kawę po turecku w małej ilości wody i po wystudzeniu dodajemy do kremu. Mieszamy.

Biszkopt przekrawamy na trzy blaty. Kładziemy pierwszy z nich, nasączamy ulubionym ponczem (np. ok. 0,6 l wody, 3–4 łyżki cukru, 50 ml spirytusu lub mocnego likieru, odrobina ulubionego aromatu spożywczego), rozsmarowujemy na nim ok. trzech czwartych kremu, kładziemy kolejną warstwę, nasączamy, wykładamy pozostały krem i przykrywamy ostatnią warstwą biszkoptu. Możemy oblać polewą z gorzkiej czekolady (na małym ogniu w rondlu rozpuszczamy dwie tabliczki czekolady ze 125 ml śmietany 30-procentowej, kiedy powstanie gładki krem, studzimy polewę i nakładamy na tort). ©℗

oprac. raw

Krzysztof Ziemiec jest dziennikarzem, prowadzącym „Wiadomości" w TVP1.

FOT. KRZYSZTOF KULCZYK/FORUM

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Historia nad zmywakiem

Zmywanie rzadko należy do ulubionych czynności domowych, chociaż są dewianci, którzy stojąc nad zlewem, umieją zaznać szczególnego stanu metafizycznego skupienia. Wydawałoby się, że zmywarka raz na zawsze rozwiązała problem brudnych garów; nawet wyjąwszy konieczność domycia szczególnie brudnych czy przypalonych, to jeśli nawet wszystko uda nam się umieścić w maszynie, to i tak trzeba będzie ją opróżnić.

Skarżąc się na te przykrości, pamiętajmy, że kiedyś bywało z tym znacznie gorzej. „W połowie XIX wieku kuchnie służyły wyłącznie do gotowania. Naczynia myło się w osobnej pomywalni, co oznaczało, że każdy talerz i garnek trzeba było zanieść do pokoju po drugiej stronie korytarza, aby został wyszorowany, wytarty i odłożony na półkę, a następnie przyniesiony z powrotem do kuchni, kiedy znów był potrzebny. Opublikowana w roku 1851 poczytna książka lady Marii Clutterbuck daje obraz obyczajów kulinarnych tamtych czasów. Propozycja menu obiadowego dla sześciu osób obejmowała: zupę z marchwi, turbota w sosie krewetkowym, paszteciki z homarem, duszone nerki, comber jagnięcy, gotowanego indyka, nóżkę wieprzową, ziemniaki tłuczone i pieczone, duszoną cebulę, cabinet pudding (podawany na gorąco i z sosem owocowym pudding chlebowy lub ciasto z kandyzowanymi owocami i bakaliami), budyń ze śmietaną i makaroniki. Obliczono, że do takiego posiłku użyto by 450 naczyń i sztućców, które później oczywiście trzeba było umyć".

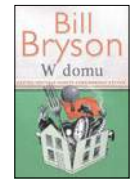

BILL BRYSON „W DOMU. KRÓTKA HISTORIA RZECZY CODZIENNEGO UŻYTKU" ZYSK I S-KA 2013

To cytat z arcyciekawej książki Billa Brysona „W domu. Krótka historia rzeczy codziennego użytku" (wyd. Zysk i S-ka, przekład Tomasz Bieroń). Temu, kto skrzywi się na jeszcze jedną z licznych pozycji opisujących historię widelca i krzesła, spieszę wyjaśnić, że na szczęście tu mowa jest głównie o ludziach, nie o rzeczach. Autor opisuje dom i jego funkcjonowanie – kuchnię, sypialnię, salon, jadalnię – i opowiada o tym z wielką werwą, imponując wiedzą o historii codziennego życia w dawnych wiekach. Bibliografia liczy ponad 400 pozycji! Kontekst tej opowieści jest anglosaski, co nam może wydać się egzotyczne. I trudno się dziwić, że Brysonowi, amerykańskiemu pisarzowi non fiction, udało się zebrać tak interesujące materiały źródłowe, bo dysponował nienaruszonymi materiałami archiwalnymi po obu stronach Atlantyku. W krótkim posłowiu prof. Jan Skuratowicz wyjaśnia, jak sprawy miały się w Polsce, i pozostawia nas w oczekiwaniu na rodzimy odpowiednik takiej książki.

Dom to nie schronienie przed historią, lecz miejsce, gdzie historia naprawdę zamieszkuje. ©℗

ebrasa.pl d5eabde7d4

NASZ TEST: BMW 640D XDRIVE GRAN COUPÉ

Uwodzicielskie, eleganckie, szybkie i... oszczędne. BMW serii 6 to jedno z najbardziej stylowych aut bawarskiego producenta. Smukła sylwetka sprawia, że „szóstka" Gran Coupé jest ładniejsza niż „piątka" i jednocześnie budzi o wiele więcej gorących emocji niż typowa limuzyna serii 7.

BMW 6 Gran Coupé to usportowiony, pięciometrowy sedan dla prezesów, którzy lubią sami czerpać radość z jazdy i którzy nie oczekują, aby na tylnej kanapie mogło wygodnie podróżować troje wysokich dorosłych.

W KABINIE

Wnętrze wykonane z wysokiej jakości materiałów jest luksusowe i stylowe. Oko można zawiesić zarówno na drewnianych, jak i ceramicznych zdobieniach.

Przednie fotele są wygodne i dobrze podtrzymują ciało podczas szybkiej jazdy po serpentynach. Miejsca z przodu jest sporo. Gorzej z przestrzenią z tyłu auta. BMW 6 teoretycznie jest pięcioosobowe, ale w praktyce komfortowo może nim podróżować maksymalnie czworo dorosłych (z tyłu lepiej jednak nie sadzać koszykarzy).

Piąty pasażer teoretycznie też co prawda znajdzie dla siebie na tylnej kanapie pas bezpieczeństwa – nie będzie miał jednak ani miejsca na nogi (ze względu na wysoki tunel środkowy), ani zbyt wiele przestrzeni nad głową.

Kabina jest świetnie wyciszona – silnika Diesla niemal nie słychać, a nawet gdy już jakieś odgłosy spod maski docierają do środka, to są to dźwięki wyjątkowo przyjemne dla ucha kierowcy.

Bagażnik o pojemności 460 l pozwala zabrać walizki na weekendowy wypad nie tylko dwojga dorosłych, lecz także dołożyć rzeczy dla dziecka.

JAZDA

Auto z trzylitrowym silnikiem Diesla o mocy 313 KM od zera do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 5,2 s. Prędkość maksymalna to aż 250 km/godz.

Świetny układ kierowniczy oraz napęd na cztery koła sprawiają, że nawet w fatalnych zimowych warunkach BMW prowadzi się pewnie i niezwykle przyjemnie. Niskie zawieszenie pozwala cieszyć się sportowymi wrażeniami z jazdy, a automatyczna skrzynia sprawnie radzi sobie z szybkim przełączaniem biegów.

Do wyboru jest kilka trybów zawieszenia: ekonomiczne, komfortowe, komfortowe+, sport oraz sport+ (który pozwala odłączyć układ elektronicznej stabilizacji i sprawia, że z głośników zaczyna dobiegać sztucznie podkręcony warkot silnika).

Średnie spalanie w mieście to 11 l/100 km, a na trasie – ok. 9 l/100 km. Niby mało nie jest, ale jak na takie osiągi jest nieźle.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP BMW serii 6 zdobyło komplet pięciu gwiazdek. W uniknięciu kolizji pomagają liczni elektroniczni asystenci, którzy ostrzegają zarówno przed nagle hamującymi samochodami, jak i przed pieszymi, którzy zwłaszcza zimą lubią nagle wyskoczyć przed maskę. Asystenci ostrzegają też przed niezamierzoną zmianą pasa ruchu i w razie potrzeby potrafią w mieście samodzielnie zatrzymać auto. Kamera termowizyjna w ramach pakietu BMW Night Vision pozwala zaś dostrzec pieszych lub zwierzęta w odległości nawet 300 m i przyhamować, zanim jakaś istota znajdzie się w świetle samochodowych reflektorów.

CENA

BMW 640D już w podstawowej wersji jest niewiarygodnie drogie. Za serię 6 w wersji Gran Coupé z silnikiem Diesla trzeba zapłacić minimum 440 tys. zł. A przecież to tylko cena wyjściowa. Wystarczy, że dołożymy trzy pakiety: sportowy M, innowacji oraz ogrzewania, aby kwota na fakturze przekroczyła pół miliona. A przecież wypadałoby dołożyć do opcji chociaż mały szyberdach...

KONKURENCI

Audi A7 Sportback, Mercedes CLS, Porsche Panamera

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d5eabde7d4

niepodległa | POLAND THE CENTENARY OF REGAINING INDEPENDENCE

POLISH AMERICAN LEADERSHIP SUMMIT

POLAND INVESTMENT ZONE

9 - 11 lutego, 2018 r.

Miami na Florydzie, USA

Najważniejsze wydarzenie w polsko-amerykańskich stosunkach gospodarczych w 2018 r.
300+ uczestników, przedstawicieli świata biznesu i polityki, liderów i decydentów z Polski i Stanów Zjednoczonych

W PROGRAMIE:

transfer wiedzy między USA i Europą Centralną
strategiczne bezpieczeństwo obronne i energetyczne oraz jego ekonomiczne konsekwencje dla regionu
odblokowanie potencjału transatlantyckiej wymiany handlowej
nawiązanie bezpośrednich relacji między krajami sojuszniczymi

SZCZEGÓŁOWA AGENDA I REJESTRACJA NA RTMX.PL

February 9th-11th, 2018

Miami, FL, USA

The most important event for Polish-American economic relations in 2018.
300+ Polish and American political and business leaders

ON AGENDA:

knowledge transfer between the USA and Central Europe
strategic defense and energy security and its economic implications for the CE region
unlocking transatlantic trade
creating direct business relations between two allied regions.

FOR DETAILED AGENDA AND REGISTRATION VISIT RTMX.PL

#PALS

leadershipsummit@rtmx.pl

Projekt realizowany w ramach obchodów stulecia odzyskania niepodległości

STRATEGIC PARTNERS: LOTOS, KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER: TALERON

PROGRAM PARTNERS: Polska Agencja Inwestycji i Handlu Grupa PFR

PATRONAGE: The American Institute of Polish Culture Inc.

ORGANIZED BY: PMPG Polskie Media SA, Round Table Mixer, Europejskie Centrum

MEDIA PARTNERS: wprost, Rzeczy, Historia, Super Historia.pl, inwestorzy.tv, nowy dziennik

CONTRIBUTORS: Polish-American Chamber of Commerce, WE, Polish American Chamber of Commerce in Texas, Chambre de Commerce et d'Industrie Polonaise en France, Dr. Matt

eprasa.pl d5eabde7d4

MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Bannon jeszcze powróci

MARCIN MAKOWSKI: Od „Kingmakera" do „Nieudolnego Steve'a". Ten ostatni zwrot to słowa Donalda Trumpa po tym, gdy dowiedział się, co na jego temat mówił Bannon w słynnej książce Michaela Wolffa „Fire and Fury". Koniec kariery?

MATTHEW TYRMAND: Na pewno koniec jakiegoś etapu. Zwiastuny tego upadku było widać od pewnego czasu, szczególnie gdy Bannon uparł się na promowanie Roya Moore'a na senatora z Alabamy. To był zły kandydat, odwodziłem go od tej decyzji, ostatecznie plany Bannona zawiodły i wygrał demokrata, Doug Jones. Wtedy w głowach establishmentu republikańskiego zadzwonił dzwonek ostrzegawczy.

Dlaczego żaden nie dzwonił w głowach ludzi, którzy wpuścili Wolffa do Białego Domu? Gdyby nie mógł się w jego korytarzach swobodnie poruszać i nie słyszał wielu rozmów, nie napisałby również książki, która wywołała trzęsienie ziemi w amerykańskiej polityce.

Nie mam pojęcia, dlaczego tak się stało. Wystarczyło przeczytać jego wcześniejszą książkę o Rupercie Murdochu, aby zdać sobie sprawę, że to nie jest człowiek, przy którym można rozmawiać swobodnie. Nie ma jednak co płakać nad rozlanym mlekiem, tylko warto się zastanowić co dalej. Jak ustosunkować się do wizji prezydentury Trumpa, którą przedstawił na kartach książki. Myślę, że na jej niekorzyść przemawiają jedno fundamentalne wręcz przekłamanie i główna myśl przewodnia Wolffa.

Jaka?

Że Donald Trump i jego otoczenie nie wystartowali do wyborów prezydenckich, aby je wygrać, tylko po to, aby podratować biznes, wypromować się, dostać robotę w mediach. Totalna bzdura. Znam osobiście właściwie wszystkie osoby wspomniane w książce Wolffa. Obserwowałem proces wyborczy z bliska, przez kilka miesięcy rozmawiałem w tym czasie z Bannonem, dowiadywałem się o kulisach strategii i planach na odbicie demokratycznego elektoratu centralnych stanów USA. Oni naprawdę szli po zwycięstwo. Przecież to jest jak szyte na miarę pod narrację liberalnej lewicy. „Patrzcie, Trump i jego ludzie to oszuści, którzy wygrali przez przypadek i nie byli na to gotowi". Skoro tak, to po co mieliby „kolaborować" z Putinem i Rosją? Po co mieliby wpływać na wynik wyborów, skoro chodziło tylko o marketing, a nie politykę? Jeśli ktoś odwodził Trumpa od tego pomysłu, to część ustawionych w Waszyngtonie republikanów, którzy zaczęli pielgrzymować na 26. piętro Trump Tower.

A może w rzeczywistości było tak, jak opisuje Wolff, że zwycięstwo na początku nie było brane pod uwagę, do momentu, w którym okazało się, iż jest na wyciągnięcie ręki? Dopiero wtedy Trump zaangażował się w kampanię całym sobą.

Według tego, co wiem, to nie jest prawda. Trump od lat flirtował z ideą startu w wyścigu o Biały Dom. Ten pomysł nie narodził się po jakiejś naradzie w jego drapaczu chmur ze specami od PR. Sam Nunberg, były doradca polityczny Trumpa, twierdził, gdy z nim rozmawiałem jeszcze przed kampanią, że Donald poważnie bierze pod uwagę taką możliwość. Wtedy nie byłem do tego pomysłu przekonany, ale dzisiaj wystarczy posłuchać jego przemówienia na corocznym zjeździe TEA Party w Myrtle Beach ze stycznia 2015 r. Już tam były obecne wątki imigracyjne, zaostrzenie kontroli granicznej, słabnięcie gospodarcze Ameryki, krytyka globalizmu i ONZ. Wszystko to, co później stało się szkieletem programu, wzbogaconym o strach przed ewentualną wygraną Hillary Clinton.

Skąd w takim razie popularność „Fire and Fury" i następstwa polityczne, które wywołała, jeśli przekłamuje rzeczywistość?

Stąd, że Michael Wolff bardzo plastycznie i adekwatnie oddał cechy charakteru

eprasa.pl d5eabde7d4

Steve Bannon (z prawej) i Michael Flynn w Gabinecie Owalnym z prezydentem Donaldem Trumpem FOT. DREW ANGERER/GETTY IMAGES

i osobowość opisywanych przez siebie osób. To go uwiarygodniło. Niestety, nie był tak samo precyzyjny, jeśli chodzi o relacjonowanie faktów, które interpretuje w sposób publicystyczny. Dlatego pod względem autentycznego zrozumienia mechanizmów prezydentury Trumpa jego książka to porażka. Jeśli zaś chodzi o wartość literacką i poczucie „wniknięcia w umysł" najważniejszych graczy tego dramatu – to ciekawa lektura.

Nawet gdy przedstawia Donalda Trumpa jako targanego emocjami płytkiego mizogina?

Wszyscy wiedzieli, jaki był i jaki jest Trump. Niestety, często zachowywał się niegodnie wobec swoich podwładnych, do tej pory potrafi kaprysić jak dziecko. Z drugiej strony, i to też pobrzmiewa w książce Wolffa, Trump to facet z instynktem zwycięzcy. Upada i wstaje, nie da mu się wyperswadować z głowy drogi, którą raz obrał. Ten impuls, który doprowadził go do Białego Domu, przeraził lewicę, dlatego trzeba było zrobić z niego lunatyka, który trafił na najważniejszy urząd świata przypadkiem. Myślę, że ta książka tylko go zmotywowała.

Wracając do Stephena Bannona, co czułeś, gdy Trump zatweetował, że błagał go niemal na kolanach o niewyrzucanie z Białego Domu i od tej pory wszyscy inni zwalniają go z pracy „jak psa"?

To były ostre słowa, ale Steve był ostrym zawodnikiem. Myślę, że się po tym nie załamał. W końcu mówił, co mówił, na temat Ivanki i Jareda Kushnera – nie cierpiał tych zakonspirowanych demokratów w otoczeniu Trumpa. Wydaje mi się jednak, że został potraktowany nieuczciwie, jeśli patrzeć na kluczową rolę, jaką odegrał w końcówce kampanii. Nie ma co jednak rozpaczać. Dwie osoby o tak ogromnym ego, budujące wobec siebie kult jednostki i czerpiące satysfakcję z hejtu, który jest na nich wylewany, nie mogły za długo wytrzymać na bliskiej orbicie. W końcu musiało się to tak skończyć. Wierzę w rewolucję populizmu, konserwatyzmu, zacieśnianie granic i dbanie o interes narodowy, ale jeśli te idee mają się utrzymać, nie mogą być fundowane właśnie na kulcie liderów. To była jedna z przyczyn porażki PO, która kręciła się wokół osobowości Donalda Tuska, i jedna z przyczyn sukcesu PiS, którego lider Jarosław Kaczyński potrafi wycofać się w cień. Tego w pewnym momencie Bannonowi po prostu zabrakło. Chociaż zawsze operował z drugiego szeregu, to nagle chciał zostać frontmanem i przelicytował. Również na froncie wojny z czołowymi republikanami, których chciał zastąpić bardziej „ludowymi" kandydatami. Dodatkowo chciał skompromitować mainstreamowe media, grając przeciekami z Białego Domu, w kontrze do przecieków Ivanki czy Powella. To nie wypaliło.

W środę 10 stycznia okazało się, że Bannon przegrał również swój własny portal i podał się do dymisji.

Bannon nie tyle podał się do dymisji, ile dymisję na nim wymuszono. Coś w stylu historii Marka Magierowskiego w KPRP czy ministra Krzysztofa Łandy podczas forsowania ustawy „Apteka dla aptekarzy" – chodzi o zachowanie twarzy. Oczywiście w przypadku Steve'a to znacznie większa skala. Za jego decyzją stała rodzina Mercerów, szczególnie Rebeca, którą finansuje portal Breitbart. Sam wyrok ogłosił jednak Larry Solov, CEO portalu, a wpływ na niego miała również postawa Susie – wdowy po Andrew Breitbarcie – założycielu całego przedsięwzięcia. Jednym słowem, Bannon stał się dzisiaj toksyczny dla tego środowiska, które chce być w awangardzie filozofii i polityki Donalda Trumpa. A skoro prezydent wydał rozkaz, to trzeba było Steve'a pogrzebać. Myślę, że on na jakiś czas schowa się przed mediami.

A jaka przyszłość czeka media, które do niedawna prowadził? Wytrzymają tę próbę?

Znam wiele osób pracujących dla portalu. Szczerze mówiąc, nie sądzę, aby Breitbart utrzymał się na rynku w takiej formie jak choćby przed wyborami. Wystarczyło, aby Bannon poszedł do Białego Domu, a siła oddziaływania Breitbarta błyskawicznie zmalała. On miał jakiś szósty zmysł do tego, jak używać mediów do wojny informacyjnej, w której zwycięstwem było przeforsowanie populistycznej narracji. W redakcji nadal pracuje masa jego zwolenników, którzy nie pogodzili się z tą decyzją.

Jak długo będzie trwała banicja Bannona? Co po niej – bo chyba wierzysz, że wróci?

Na pewno wróci. Myślę, że potrzebuje kilku miesięcy, żeby wszystko przemyśleć i zebrać pokaźne fundusze na nowe media konserwatywne. Da radę, w końcu zjadł zęby jako inwestor, Wall Street zna jak własną kieszeń. Dzisiaj niektórzy nie chcą go znać, ale Ameryka zawsze daje drugą szansę ludziom z ambicjami. Szybko spadasz na dno, ale jeśli przedstawiasz sobą jakąś wartość, to szybko wracasz do gry. Tak ten kraj działa. Poza tym zobacz, jak gwałtownie w dzisiejszych czasach zawiera się i niszczy sojusze. Jak zmienia się polityczny krajobraz i ewoluują idee. Steve popełnił po drodze wiele błędów, ale jednego się nie oduczył. Umie walczyć i dostosowywać do sytuacji. ©℗

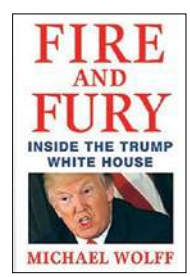

MICHAEL WOLFF „FIRE AND FURY" HENRY HOLT & CO 2018

ROZMAWIAŁ **MARCIN MAKOWSKI**

eprasa.pl d5eabde7d4

OKIEM BLOGERKI

Miłosierni

KATARYNA

BARBARA NOWACKA: *Rozkazujecie kobietom: „Urodź i oddaj do adopcji". A dzieci? Jaki los im gotujecie, przedmiotu do oddania? Jakiego uczycie szacunku dla dziecka, mówiąc: „Urodź i oddaj". To jest poniżające dla wszystkich dzieci.*

Obrona przed poniżeniem przez odpowiednio wczesne zabicie. Troska o dobro dziecka zwolenników aborcji na życzenie i bardzo późnej aborcji eugenicznej (projekt Ratujmy Kobiety dopuszcza aborcję aż do samego porodu, jeśli „upośledzenie lub choroba uniemożliwia płodowi samodzielne życie" – przyznacie, że termin „samodzielne życie" jest tak pojemny, iż zmieści się w nim to wszystko, co będzie trzeba, żeby się zmieściło) zawsze mnie wzrusza. Ale przecież zakłamanie jest tu po obu stronach.

Dlaczego godzimy się na zabijanie dzieci tylko dlatego, że ojciec był gwałcicielem?

Zastanawialiście się, dlaczego autorzy projektu zakazującego aborcji dzieci ciężko chorych nie chcą zakazać aborcji dzieci pochodzących z gwałtu? Jeśli uznajemy aborcję za zabijanie – a ja uznaję – dlaczego godzimy się na zabijanie dzieci tylko dlatego, że ojciec był gwałcicielem? Czy odmawianie dzieciom poczętym z gwałtu prawa do życia nie jest dyskryminacją równie nieakceptowalną jak odmawianie prawa do życia dzieciom śmiertelnie chorym, które urodzą się tylko po to, żeby wkrótce w strasznym cierpieniu umrzeć? Czy wybiórcze miłosierdzie autorów ustawy „Zatrzymaj aborcję" ograniczające się tylko do dzieci ciężko chorych nie trąci trochę hipokryzją? Dlaczego zwolennicy prawa do życia żądają tego prawa dla dzieci, które szansy na życie nie mają, a odpuszczają sobie walkę o prawo do życia dla dzieci, które mają szanse urodzić się zdrowe i nawet być szczęśliwe – wszak liczne są przypadki matek, które dziecko z gwałtu naprawdę pokochały?

Być może jest to tylko polityczny pragmatyzm, ale to by znaczyło, że obrońcy życia wcale nie różnią się od tak przez siebie krytykowanych obrońców kompromisu, którzy właśnie z politycznych względów nie chcą ustawy zmieniać, żeby kiedyś lewica nie zmieniła jej w drugą stronę. A może po prostu nawet zagorzali przeciwnicy aborcji rozumieją, choć wstydzą się do tego publicznie przyznać, że nawet dla nich istnieje jakaś granica cierpienia matki, której w antyaborcyjnej krucjacie nie powinno się przekraczać, nawet mając szansę na większość w Sejmie. Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że to właśnie miłosierdzie wobec matki, a nie polityczny pragmatyzm zdecydowały, iż z obecnie obowiązującej ustawy próbują usunąć tylko jedną z trzech przesłanek dopuszczalności aborcji.

Konieczność donoszenia ciąży będącej skutkiem gwałtu musi być okrutnym cierpieniem i mimo wszystko dobrze, że ustawodawca się kobiecie w to cierpienie nie wtrąca. Tylko czy na pewno konieczność donoszenia ciąży jedynie po to, żeby to dziecko pochować, na pewno jest cierpieniem mniejszym? Zwolennicy bezwzględnego zakazu aborcji zdają się mieć tę pewność. I to mnie, szczerze mówiąc, przeraża. ©℗

PODSŁUCHANE

Kto za kogo

Dobrze, Jarku, czyli tak: jeśli pan Antoni odchodzi, to musimy zrobić pewne roszady.
A Andrzej miał jakieś kolejne postulaty?
Nie, tylko w sprawie pana Antoniego. Powiedział, że poza tym jest mu wszystko jedno, możemy nawet zrobić Krystynę Pawłowicz ministrem spraw wewnętrznych.
To by może było niezłe.
Ale to po wyborach w 2019.
Skupmy się: skoro na miejsce pana Antoniego ma iść Mariusz, to kto za Mariusza?
Za Mariusza Joachim, już z nim gadałem.
Niech będzie, to i tak twoja działka, te siłowe resorty. Teraz tak: Beata mówi, że musimy coś dać Heniowi, bo inaczej ona odejdzie.
To może Henia za Szyszkę wstawić?
A on się coś zna na środowisku?
Mateusz, jasne, że się zna. Ogródek uprawia.
A, to spokojnie. Poradzi sobie. Gorszy od pana Janka nie będzie.
Teraz to nowe ministerstwo... nie pamiętam, od czego.
Od innowacji.
Ministerstwo Innowacji?
Nie, przedsiębiorczości.
Wiesz co? Weź od pani Basi taki duży blok rysunkowy i rozrysuj mi to. Bo się potem okaże, że daliśmy przez pomyłkę Pawłowicz do MSZ. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wyobraźmy sobie młodą dziewczynę, która zachodzi w ciążę. I co? Ona tę aborcję usunie w ten czy inny sposób, tylko w podziemiu aborcyjnym".

RYSZARD PETRU, *były przewodniczący Nowoczesnej, odnosząc się do projektu #RatujmyKobiety*

eprasa.pl d5eabde7d4

Nie takie święte

fot. Jerzy Gumowski

Ludzie potrzebują świętych. Również świeckich świętych. Ergo: idoli, bożyszcz, gwiazdorskich bóstw, którym oddaje się pełną uwielbienia cześć. Każdy taki świątek ma własną *„story”* o szlachetności niepokalanej, więc robi się lekki smród, gdy te biograficzne historyjki zostają zdemaskowane, okazując się fałszywą mitologią. Bywa, że tylko lokalnie śmierdzi, na swojskim terytorium. Doradca polityczny Eryk Mistewicz: *„ — Za granicą nikt się nie przejmuje tym czy legenda Wałęsy jest oparta na prawdzie. Świat nie chce przyjąć do wiadomości, że Wałęsa, zgodnie z ustaleniami historyków, był agentem SB. Zrozumiały mechanizm, który sprawia, iż nikt nie chciałby się dowiedzieć, że Matka Teresa sprzeniewierzyła pieniądze biedaków, Mahatma Gandhi zachowywał się niegodnie wobec dzieci, a Martin Luther King bił żonę”* (2017). Zostawmy wszakże panów (Murzyna brutala, Hindusa pedofila, etc.) i przyjrzyjmy się dziś wyłącznie uświęconym/wyświęconym paniom. Dlaczego zostały objęte deifikacją? Jak w tym *„humorze z zeszytów”*: *„Cel uświęca sierotki”*.

Zacznijmy od Elżuni i Wikci — dwóch XIX–wiecznych ukoronowanych pań. Śliczna bawarska księżniczka Elżbieta zwana pieszczotliwie *„Sissy”* została żoną (1854) najsławniejszego z austriackich cesarzy, Franciszka Józefa, nosiła tytuł *„królowej Węgier”*, kochała antyczną sztukę grecką i wielbiła twórczość Heinego (wystawiła mu nawet pomnik). Stała się ogólnoświatowo popularna u schyłku XIX wieku, bo włoski anarchista zamordował ją pilnikiem (1898), a jeszcze bardziej dzięki powojennej kinematografii, bo filmów o niej nakręcono dużo (większość miała ten sam tytuł: **„Sissy”**). Grały ją urodziwe aktorki (Arielle Dombasle i in.), zaś same filmy były ckliwymi/łzawymi historyjkami o słodkiej i wrażliwej monarchini, zupełnie nie rozumianej i źle traktowanej przez oziębłego, oschłego, pozbawionego wyższych uczuć męża. Ten fałszywy (krzywdzący cesarza) obraz wszczepiła publice zwłaszcza popularna seria filmów z Romy Schneider grającą cesarzową (lata 50–e ubiegłego wieku). Badania historyczne ostatnich lat całkowicie zburzyły ów mit — to nie Franz Josef zaniedbywał żonę, lecz na odwrót. *„Sissy”* lekceważyła małżeństwo wałęsając się nieustannie po Europie, stąd dzisiaj pisze się o niej tak: *„Egoistyczna i kapryśna cesarzowa skwapliwie wykorzystywała swe przywileje, lecz wykręcała się od obowiązków. Zawiodła jako żona monarchy, gdyż dbała tylko o swoją autokreację”*. Z kolei żyjąca w tym samym czasie królowa Anglii, Wiktoria, została zapamiętana przez pokolenia jako symbol pruderii obyczajowej, ukuto nawet słynny termin: *„moralność wiktoriańska”* (co znaczyło: quasi–purytańska). Tymczasem od paru lat wiemy (wcześniej o tym szeptano, teraz udowodniono), że *„dawała”* swym służącym (także kolorowym), lubiła sprośne gry i zabawy, kolekcjonowała obscena (ikonografię z wyuzdaną golizną), itp.

Przejdźmy do XX wieku. Gdy A. D. 1956 sławna hollywoodzka blondgwiazda Grace Kelly została księżną, poślubiając władcę Monaco, Rainiera z rodu Grimaldich — media całego globu oszalały, całymi miesiącami temat nie schodził z *„czołówek”*. Nasładzano się ględzeniem, iż książę wybrał akurat tę aktoreczkę nie tylko przez jej urodę, lecz i przez jej cnotliwość (pisano wręcz: *„dziewiczość”*), tak rzadką w Hollywood. Mylono się (grubo). Książę wżenił się w milionerską rodzinę Kellych, by ratować księstwo, które bankrutowało wówczas. Wielomilionowy posag zezwolił temu minipaństewku stanąć na nogi, zaś sławna Grace przyciągnęła tam gromady celebrytów (m.in. Edith Piaf, Marc Chagall, Andy Warhol, Marlon Brando, następca tronu brytyjskiego książę Karol, Arystoteles Onassis), co również skutkowało lawiną pieniędzy, choćby inwestowaniem fortun. A gdy idzie o cnotliwość księżnej, to bredzono o niej przez kilka dekad, póki dziennikarze śledczy nie zdemaskowali faktów. Panna młoda już jako licealistka była aktywną nimfetką, od piętnastego roku życia zadawała się erotycznie ze starszymi żonatymi panami (tzw. *„typ ojca”*), kiedy natomiast została aktorką, jeszcze wzmogła tempo, rżnąc się z kim popadnie i *„przekraczając łóżkowo normy Hollywoodu”* (w końcu mocno wyśrubowane). Inna ówczesna megagwiazda, Zsa Zsa Gabor, prychnęła później bez pardonu: *„ — Kelly w ciągu miesiąca miewała więcej kochanków niż ja przez całe życie!”* (byli wśród nich Cary Grant, Fred Zinnemann, Frank Sinatra, Bing Crosby, Aly Khan, John F. Kennedy, Marlon Brando). Według ekspertów: *„Z puszczalskiej zrobiono «dziewicę» dla względów strategicznych”*.

Dla podobnych względów Salon uczynił świątobliwą męczennicę z księżnej Diany, żony księcia Karola. Liczni socjologowie twierdzili, że *„Lady Di”* pełniła dla Anglików rolę Madonny (nieobecnej w protestanckim anglikanizmie), stąd masowe uwielbienie Diany Spencer i pośmiertny kult (jej pogrzeb zgromadził dwa razy więcej płaczących milionów niż pogrzeb Jana Pawła II).

Tadeusz Boy–Żeleński:
„Nie każda jest taka święta...”

Lecz później, dzięki memuarowej niedyskrecji jej służby, jej współpracowników i jej amantów, wyszło na jaw, że to była prawdziwa *„spice girl”* (ostra dziewczynka) — zmieniała łóżkowych partnerów (zwłaszcza egzotycznych) jak rękawiczki. Definitywny cios zadała „martyrologicznej” legendzie Diany jej terapeutka i przyjaciółka od serca, która w książce **„Diana — The Last Word”** (2005) ujawniła m.in. pikantny jednonocny romans *„królowej serc”* z Johnem F. Kennedym Juniorem (*„Szalona noc, hotel «Carlyle», 1995”*). Po tej nocy „święta” zwierzyła się terapeutce: *„ — Niesamowity jebur! W pierwszej dziesiątce moich kochanków!”*. Dzisiaj głosy piętnujące Dianę za zły charakter i rozwiązłość są już zbyt częste, by jej kult mógł trwać (Ann Coulter: *„Nie była dobrą matką, jej dzieci wiedziały, że ona sypia z tymi wszystkimi facetami”*; Ted Harrison: *„Była próżna, mściwa, słynęła z intryg. Dziś w krainie mitu o nieskazitelnej księżnej żyją już tylko nieliczni dianofile”*).

Za czasów chwały Diany zwano ją *„brytyjską Matką Teresą”*. Sama natomiast Matka Teresa (Albanka Gonxha Bojaxhiu), założycielka Zgromadzenia Misjonarek Miłości, mianowana laureatką Nobla (1979), błogosławioną (2003) i świętą (2016) — ma dziś coraz gorszą *„prasę”*, i to nie wskutek wrogości lewicowych komentatorów (jak Christopher Hitchens), lecz wskutek przerażających wprost zeznań jej podwładnych (pielęgniarek, stażystek, wolontariuszek) na temat ośrodków szpitalnych, którymi zarządzała. Panował tam straszliwy brak higieny i głód, nie używano żadnych medykamentów, igły pobierające krew stosowano wielokrotnie i przemywano zimną wodą (nie zezwalała kupować urządzeń grzewczych), a boleści pacjentów im były większe, tym bardziej pożądane (cierpiącym makabrycznie ludziom tłumaczyła, że w ten sposób całuje ich Jezus, oni zaś bezskutecznie błagali: *„ — Zmiłuj się, powiedz Jezusowi, żeby przestał!!...”*). Pieniędzy, które wpływały na tajne konta Matki Teresy od donatorów (grubo ponad 100 mln dol.), nie odnaleziono do dziś.

Najnowszy skandal ze świętą mało świętą to żądanie setek tysięcy ludzi (podpisujący petycję), by odebrać Pokojową Nagrodę Nobla (1991) legendarnej birmańskiej opozycjonistce, Aung San Suu Kyi, która po 28 latach stawiania oporu juncie wojskowej sama zdobyła władzę i teraz zezwala na brutalne czystki etniczne w birmańskim stanie Rakhine, choć wcześniej słynęła jako symbol walki o *„prawa człowieka”*. Lata temu kolumbijski mędrzec Dávila bezbłędnie diagnozował zjawiska tego rodzaju: *„Malowniczy strój rewolucjonisty niezauważalnie przybiera barwę surowego munduru policjanta”*... ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl d5eabde7d4

PGE
Zapewniamy energię

Prąd, jak wszystko w życiu, może być lepszy z dodatkami. Wybierz energię od PGE w stałej cenie i dowolną usługę dodatkową.

JEST LEPSZY Z DODATKAMI

Świeć przykładem i wybierz nawet 10 żarówek LED

Poznaj receptę na brak zdrowia i energii.

Wykonaj dobry ruch i ubezpiecz własność

Jeśli nie lubisz zmian, wybierz niezmienną

Koniec napięcia z powodu przepięcia, wybierz pomoc

Zadzwoń
422 222 222
lub wejdź na
www.zapewniamyenergie.pl

eprasa.pl d5eabde7d4